KLUCZOWY SPÓR III RP

Wojna Wałęsy z Kaczyńskim – Cenckiewicz odsłania kulisy

Warzecha miażdży książkę Biedronia

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 49/301 3–9 GRUDNIA 2018

BYLI SZEFOWIE MSZ O SWOJEJ POLITYCE
- WIZJA WASZCZYKOWSKIEGO
- WIZJA SIKORSKIEGO

Semka wprost z Ukrainy

CO WOLNO AMBASADOROWI

Mocna rozmowa z Georgette Mosbacher, ambasador USA w Polsce

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 80 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 52c03eeb8a

POMAGANIE PRZEZ ZBLIŻANIE

Wesprzyj akcję PKO Banku Polskiego

Płatności zbliżeniowe telefonem w ramach naszej akcji to pomoc dla wychowanków domów dziecka w ich starcie w dorosłość.

Jesteś klientem PKO Banku Polskiego?

- **Dołącz do akcji**, rejestrując się na stronie www.pkobp.pl/milionzblizen, gdzie znajdziesz jej regulamin
- **Płać zbliżeniowo telefonem**
- **Pomagaj!**

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie kraju;
w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora, +48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Jedna płatność zbliżeniowa telefonem to 50 gr od Banku przekazane Fundacji PKO Banku Polskiego na pomoc. Akcja trwa od 5 listopada 2018 r. do 31 grudnia 2018 r. albo do wcześniejszego zgromadzenia puli 500 000 zł.

eprasa.pl 52d88eeb8a

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Partnerstwo czy podległość

Dawno już żaden inny list nie wywołał takiego szoku jak pismo skierowane przez ambasador USA Georgette Mosbacher do premiera Mateusza Morawieckiego. Nic dziwnego. Zarówno jeśli chodzi o osobliwość tonu i stylu (wraz z błędem w nazwisku i niewłaściwą funkcją adresata), jak i treści (wyraźny ton łajania, strofowania i przywoływania do porządku polskich polityków), list ten jest czymś niezwykłym. Co gorsza, warto pamiętać, że – jak wynika z późniejszych słów przedstawiciela Departamentu Stanu – jest on akceptowaną i, zdaniem Amerykanów, właściwą formą komunikacji z polskim rządem.

Doprawdy trudno sobie wyobrazić coś równie osobliwego. Ciekawe, jak potraktowano by podobny list polskiego ambasadora do premiera jednego z mniejszych państw, gdzie akurat działa jakaś duża polska firma? Jestem pewien, że świat zatrząsłby się z oburzenia, piętnując przejaw „polskiego neokolonializmu". Podobnie zaskakuje, że ambasador Mosbacher tak surowo traktuje opinie polskich polityków na temat mediów – są one przecież znacznie łagodniejsze od sądów, które wypowiada prezydent Donald Trump pod adresem mediów amerykańskich.

Różnie można oczywiście całe to zdarzenie interpretować. Można powiedzieć, że ambasador USA zachowuje się tak, jak wynika to z układu wzajemnych relacji Polski i Ameryki. Skoro polscy politycy na wyścigi niemal głoszą, że jedyną gwarancją bezpieczeństwa jest obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce, że tylko Ameryka da Polsce pewność i stabilność, że nie ma takiej ceny i takiego wysiłku, którego nie warto byłoby dokonać, byle tylko Amerykanie umieścili w Polsce swoją bazę, to, trzeba przyznać, nie wzmacnia to naszej pozycji negocjacyjnej i zachęca Amerykanów do działań takich, które podejmuje pani ambasador. Skoro jedna strona o coś tak bardzo zabiega, skoro twierdzi, że gotowa jest na dowolne wyrzeczenia, to druga strona z tego korzysta. Taki był, jest i będzie zawsze układ w polityce międzynarodowej.

Jeśli mówi się, że tylko Ameryka jest gwarantem niepodległości Polski, to trudno oczekiwać, żeby owa Ameryka z tego nie korzystała. Ambasador USA zatem zrobiła to, co do niej należało: nie licząc się specjalnie z wrażliwością i nastrojami polskich polityków, pokazała, gdzie jest ich miejsce. Ma pilnować interesów amerykańskich i to robi. Mogłaby się wykazać mniejszą brutalnością, to prawda, ale że jest osobą w dyplomacji nową i nienawykłą do urzędniczego stylu, nie bawi się w niuanse.

Czy ten obraz jest prawdziwy? Obawiam się, że tak. Obawiam się, że sposób prowadzenia negocjacji z Amerykanami wytworzył w Waszyngtonie przekonanie, że Polska zaakceptuje wszystko. Można by zatem wyciągnąć wniosek, że główną odpowiedzialność za to, jak wykonuje swoje obowiązki ambasador USA, ponoszą ci polscy politycy, którzy tak bardzo zabiegali o dobre relacje z Waszyngtonem, że aż zbudowali przekonanie, iż nie chodzi tu o partnerstwo, ale podległość. Tak często, konsekwentnie i pryncypialnie mówili, że partnerstwa z USA nie da się niczym zastąpić, iż sojusz przemienił się w podporządkowanie.

Nie znaczy to, że Polska o obecność amerykańską zabiegać nie powinna. Jednak chyba nie w taki sposób jak do tej pory. Amerykanów trzeba przekonywać, że dobre relacje z Polską są korzystne również dla nich, jednak partnerstwo oznacza pewnego rodzaju równość. W przeciwnym razie coraz częściej Polacy będą mieli poczucie, że jedną podległość zastąpili drugą, że walcząc o suwerenność wobec Unii, oddali się pod kuratelę Waszyngtonu. W pewnym momencie może się okazać, że koszty tej opieki i tej gwarancji są tak wielkie, iż pojawi się proste pytanie, czy jeszcze się to Polsce opłaca. Oby było to tylko dmuchanie na zimne, a cała sprawa z listem okazała się jedynie przypadkowym incydentem. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 52d88eeb8a

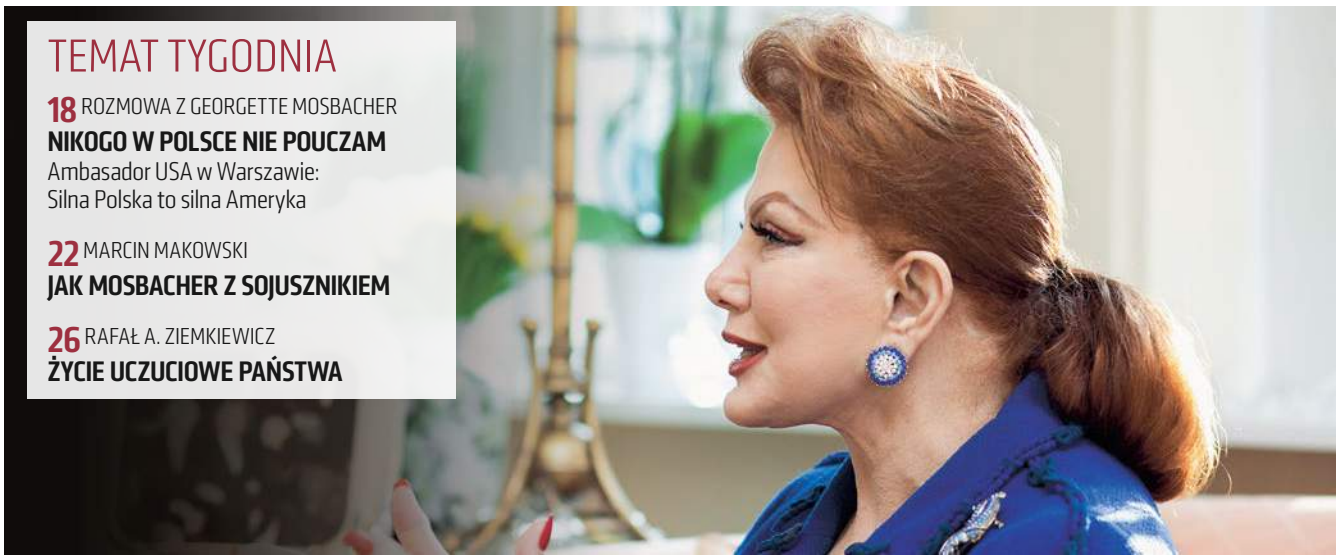

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z GEORGETTE MOSBACHER
NIKOGO W POLSCE NIE POUCZAM
Ambasador USA w Warszawie: Silna Polska to silna Ameryka

22 MARCIN MAKOWSKI
JAK MOSBACHER Z SOJUSZNIKIEM

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ŻYCIE UCZUCIOWE PAŃSTWA

KRAJ

28 ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM
JEST W PIS SYNDROM ROKU 2007
Nie wiadomo, czy Tusk będzie miał do czego wracać

30 PIOTR GOCIEK
MOJA PIĄTKA MORAWIECKIEGO

32 ŁUKASZ WARZECHA
ROBERT BIEDROŃ, CZYLI WYDMUSZKA

34 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
WAŁĘSA – KLĄTWA KACZYŃSKICH

38 ROZMOWA Z KS. DANIELEM WACHOWIAKIEM
TRWA WOJNA DUCHOWA

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRZYPADEK BASI

KULTURA

42 MONIKA MAŁKOWSKA
WŁOSKI KOCHANEK PROFILEM
Marcello Mastroianni – legendarna gwiazda włoskiego kina

48 ROZMOWA Z PROF. RAFAŁEM WIŚNIEWSKIM
WARTO ŁAMAĆ KONWENANSE

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA Z RADOSŁAWEM SIKORSKIM
WOJNA NA DWA FRONTY TO SAMOBÓJSTWO
Nowa książka byłego ministra spraw zagranicznych

59 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
PLATFORMA ODDA SUWERENNOŚĆ

62 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
GORZKIE SŁOWA NA STULECIE

HISTORIA

66 JACEK KOMUDA
HOLOKAUST CHMIELNICKIEGO
Kozacy mordujący Żydów

72 MARIA KĄDZIELSKA
PADEREWSKI NA EKRANIE

ŚWIAT

74 PIOTR SEMKA
UKRAIŃSKA HUŚTAWKA STRACHU
W co gra Putin z Ukrainą

78 JACEK PRZYBYLSKI
POLACY NA MARSIE

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK
INTERES NA PRĄDZIE
Czy Polaków czeka ubóstwo energetyczne?

PREZENTOWNIK

85
POLACY NA ŚWIĄTECZNYCH ZAKUPACH

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
CZY PALENIE SIĘ OPŁACA
Jak rozstać się z nałogiem

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (65), ZYCHOWICZ, KOPER (70), KOWALCZUK (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (81), KOMUDA (92), TYRMAND (96), JASTRZĘBOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 52d88eeb8a

butiki **SWISS**

swiss.com.pl

Drodzy Czytelnicy!

Dziś list od kandydata PiS startującego w ostatnich wyborach samorządowych na prezydenta Siedlec, a także o tym, jak nas piszą w Wikipedii po francusku. Nieustannie zachęcamy do przesyłania listów i e-maili na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Sygnał od Suwerena" – Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 46/2018

Szanowny Panie Redaktorze,
w tygodniku „Do Rzeczy" z 13 listopada 2018 r. ukazał się Pana artykuł „Sygnał od Suwerena", w którym opisał Pan przyczyny porażki PiS w dużych miastach. Cytuję: „W wielu przypadkach jest to kara wymierzona przez wyborców za pychę, którą było przynoszenie kandydatów »w teczce«, z centrali. [...] W podobny sposób stracił PiS Siedlce, gdzie na miejsce rządzącego od wielu kadencji popularnego prezydenta wziął syna jednego z ministrów [...]".

Panie Redaktorze, czytam z przyjemnością Pana książki i artykuły, szanuję Pana punkt widzenia, ale w tym artykule mija się Pan z prawdą.

1. Prezydenta Wojciecha Kudelskiego nikt z centrali nie usunął. Prezydent Kudelski sam stwierdził, że po trzech kadencjach i osiągnięciu wieku 69 lat nie będzie więcej startował. W pełni popierał moją osobę w kampanii wyborczej.

2. Stwierdzenie, że przyjechałem „w teczce" z centrali, jest dla mnie wysoce krzywdzące, gdyż to zarząd powiatowy

PiS w Siedlcach rekomendował mnie, abym startował w wyborach. Przedstawianie mnie tylko jako „syna ministra" jest dla mnie krzywdzące. Jestem od 12 lat radnym Sejmiku Województwa Mazowieckiego, w 2006 r. startowałem z 18. miejsca na liście i zdobyłem prawie 6 tys. głosów. W 2014 r. oddało na mnie głos ponad 28 tys. wyborców. Jestem wiceprzewodniczącym Komisji Budżetu i Finansów Województwa Mazowieckiego. Budżet województwa to ponad 3 mld zł. Przez 11 lat pracowałem w domu maklerskim na wszystkich szczeblach zawodowych. W 2014 r. zdałem egzamin na członków rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa. Od 2016 r. jestem prezesem Przedsiębiorstwa Energetycznego w Siedlcach sp. z o.o. Kiedy obejmowałem funkcję, spółka miała za rok rozrachunkowy 2015 32 mln zł kredytu i 9 mln zł zysku. Za rok 2017 przedsiębiorstwo miało 23 mln zysku i 8 mln kredytu. Sytuacja firmy znacznie się poprawiła.

Panie Redaktorze, przedstawianie mnie tylko jako syna ministra, jest co najmniej nie na miejscu i wpisuje się w ogólnopolską kampanię hejtu, nie oddaje całej złożoności sytuacji. Jedyny zarzut, jaki stawiali mi przeciwnicy w kampanii, to to, że moja partia to PiS oraz fakt, że jestem synem ministra. Działam lokalnie od wielu lat. Jestem przewodniczącym Klubu Radnych PiS Sejmiku Województwa Mazowieckiego i członkiem Zarządu Okręgowego PiS okręgu siedlecko-ostrołęckiego. Są to funkcje z wyboru, a nie z mianowania. Pragnę dodać, że w wyborach 2018 r. oddało na mnie głos prawie 13 500 mieszkańców Siedlec, co stanowiło 44 proc.

Z wyrazami szacunku
Karol Tchórzewski

Polska po francusku

Po otworzeniu portalu Wikipedii po francusku https://fr.wikipedia.org/wiki/Portail:Pologne byłem zaskoczony faktem, że nie ma nikogo w kraju ani za granicą, kto by zadbał o to, aby ta strona była właściwie uzupełniona i zredagowana.

Zaczynając od kolejności, w której ułożona jest treść: kategorie „Polityka i instytucje" czy „Ekonomia" są usytuowane po „Sporcie", zaś „Geografia" i „Język" są poprzedzone wolnymi komentarzami. W ten sposób wiedza o Polsce, pobierana przez miliony internautów z Wikipedii, zaczyna się od szczegółów o „pierwszym nazistowskim obozie zagłady przeznaczonym do mordowania Żydów". Dalej już nie ma co czytać.

Ten sam wpis w języku niemieckim czy angielskim jest czytelny i logiczny. Od czego są historycy, media, profesorowie uniwersytetów i inne organizacje, żeby dopuścić do takiego lekceważenia tej publikacji w języku francuskim?

Z poważaniem
Jerzy Kowal, Bruksela

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja) **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Magdalena Złotnicka** (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Hulimka, Adobe Stock, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 80 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 52d88eeb8a

PGE
Zapewniamy energię

Oszczędzaj z rabatem na urządzenia AGD z grupy Whirlpool w PGE eSklep

Wybierz ofertę na prąd od PGE i odbierz rabat na energooszczędne urządzenia AGD z grupy Whirlpool.

Poczuj oszczędności, które płyną z prądem.

Jesteś klientem PGE?

Korzystaj z kuponów rabatowych i oszczędzaj nawet 50% podczas zakupów w sieciach popularnych sklepów. Kupony dostępne na PGE eSklep lub PGE eBOK.

Wejdź na sklep.gkpge.pl

422 222 222

O szczegóły zapytaj konsultanta w Biurze Obsługi Klienta.
Infolinii PGE lub sprawdź w regulaminie na www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl 52d88eeb8a

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie zaznacie spokoju

W Hiszpanii od ponad pół roku trwa zawierucha wokół ekshumacji zwłok gen. Franco. Hiszpański przywódca w pierwszą rocznicę zakończenia wojny domowej, w 1940 r., ogłosił decyzję o budowie wielkiego monumentu Valle de los Cados (Doliny Umarłych). W tym ossuarium pomyślanym jako pomnik pojednania dawnych wrogów złożono szczątki poległych po obu stronach konfliktu – zarówno republikanów, jak i bojowników antykomunistycznych. Puentą tych starań miał być pochówek samego Franco, po jego śmierci w 1975 r., w bazylice będącej integralną częścią memoriału. Jednak wiele okoliczności spowodowało, że Dolina Umarłych nie była znakiem zgody.

W latach 80. i 90. parę rodzin przewalczyło w sądach prawo do usunięcia kości bliskich z Doliny Umarłych. Od przełomu XX i XXI w. pojawiła się na lewicy nowa tendencja – to nie republikanie powinni być usuwani z ossuarium, ale Franco powinien być wyrzucony z memoriału.

Partido Popular – partia premiera Mariano Rajoya – blokowała te pomysły lewicy tak długo, jak mogła, ale po powstaniu socjalistycznego rządu Pedro Sáncheza w czerwcu br. postępowa koalicja socjalistów, Katalończyków i partii Podemos przegłosowała ustawę nakazującą usunięcie szczątków Franco z Doliny Umarłych.

Rodzina Franco próbowała zablokować ekshumację w sądach, ale w końcu uległa. Bliscy generała uznali, że nowym, godnym miejscem spoczynku winna być madrycka katedra katolicka Almudena, gdzie spoczywa już jego córka. Pomysł zaakceptował arcybiskup Madrytu Carlos Osoro. Jeśli ktoś myślał, że na tym sprawa się skończy, to się mylił. Hiszpańscy socjaliści ogłosili, że nie pozwolą na pochówek w stołecznej katedrze, gdyż świątynia stanie się „sanktuarium faszystów". Wobec akceptacji abp. Madrytu dla pochówku Franco w katedrze hiszpańscy deputowani lewicy zwrócili się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zablokowanie tej decyzji.

Jakie wnioski można wysnuć z całej sprawy? Polski czytelnik na pewno zauważy jedno. Gdy polska lewica walczyła w obronie zachowania na Powązkach grobów Bieruta czy Jaruzelskiego, szafowano argumentem, że nie wolno mścić się na szczątkach zmarłych. A poczet postępowych katolików grzmiał z oburzenia, że kto na prawicy lansuje takie pomysły, ten nie ma prawa zwać się chrześcijaninem.

W drugą stronę takie skrupuły nie działają. Lewica hiszpańska uważa za coś oczywistego, że ma prawo decydować, kogo madrycki arcybiskup może pochować we własnej katedrze. A jeśli Kościół hiszpański stawia opór, to trzeba złamać jego sprzeciw, naciskając na papieża Franciszka. I nikt z hiszpańskiej lewicy nie wzywa, by dać już gen. Franco spokój. Przypomina się dowcip o sowieckim sposobie myślenia: „Co nasze, to nasze. Co wasze – o tym będziemy dyskutować".

A nad Wisłą slogany o pojednaniu są dobre tylko wtedy, gdy trzeba powalczyć o zachowanie ulicy hiszpańskich dąbrowszczaków w Warszawie. O ekshumacji Franco „Gazeta Wyborcza" pisze już z wyraźną satysfakcją. ©℗

FOT. BELGIAN AIR FORCE/TWITTER

ROSJANIE STRASZĄ NAD BAŁTYKIEM

Cztery belgijskie F-16, stacjonujące czasowo w bazie na Litwie, przechwyciły w zeszłą środę rosyjskie myśliwce, które bez zezwolenia latały nad Morzem Bałtyckim (fotografia z akcji). To kolejny taki incydent. Tydzień wcześniej dwa rosyjskie bombowce z podwieszonymi bombami przeleciały nad okrętem marynarki wojennej Belgii, uczestniczącym w ćwiczeniach NATO. ***(jap)*** ©℗

CZYTAJ TAKŻE „UKRAIŃSKA HUŚTAWKA STRACHU" NA STR. 74

eprasa.pl 52d88eeb8a

Wybrany przez Boga

O jednej z najbardziej znanych postaci Starego Testamentu opowiada film fabularny „Samson" z 2018 r., który za tydzień będzie można kupić z „Do Rzeczy"

Anioł przepowiedział rodzicom Samsona (jego matka była niepłodna), że narodzi im się syn, którego przeznaczeniem będzie wyzwolenie Izraela z filistyńskich więzów. I mimo tego to właśnie Filistynkę biblijny bohater zechciał pojąć za żonę.

Słabość do kobiet była powodem kłopotów herosa, który gołymi rękoma potrafił rozszarpać lwa. Tuż po swoim weselu, kiedy zrozumiał, że został zdradzony przez żonę, która wyjawiła jego sekret, w szale zabił 30 Filistynów.

To tylko jedna ze scen z Pisma Świętego, w której Samson jawi się jako awanturnik. Gniew ten nie był jednak przypadkowy – miał wywołać zatarg z Filistynami, którzy panowali wówczas nad częścią Izraela.

Jakie są dalsze losy ostatniego z Sędziów opisanego w Księdze Sędziów? Jaką rolę odegra w nich kolejna jego miłość Dalila? Czy heros, który mógł być pierwowzorem mitologicznego Herkulesa, został pokonany? Kto nie pamięta z biblijnej opowieści, ten może się przekonać, oglądając film „Samson", wyprodukowany przez studio Pure Flix – największego na świecie niezależnego producenta filmów chrześcijańskich. Kto doskonale zna losy Samsona, ten i tak nie powinien być zawiedziony zrobionym z rozmachem filmem akcji.

W roli Samsona Taylor James, znany m.in. z „Ligi Sprawiedliwości". W filmie występują także. Jackson Rathbone (saga „Zmierzch"), zdobywca Złotych Globów Rutger Hauer („Batman – Początek"; „Blade Runner", czyli „Łowca androidów") czy Billy Zane („Titanic"). ©℗ ***(raw)***

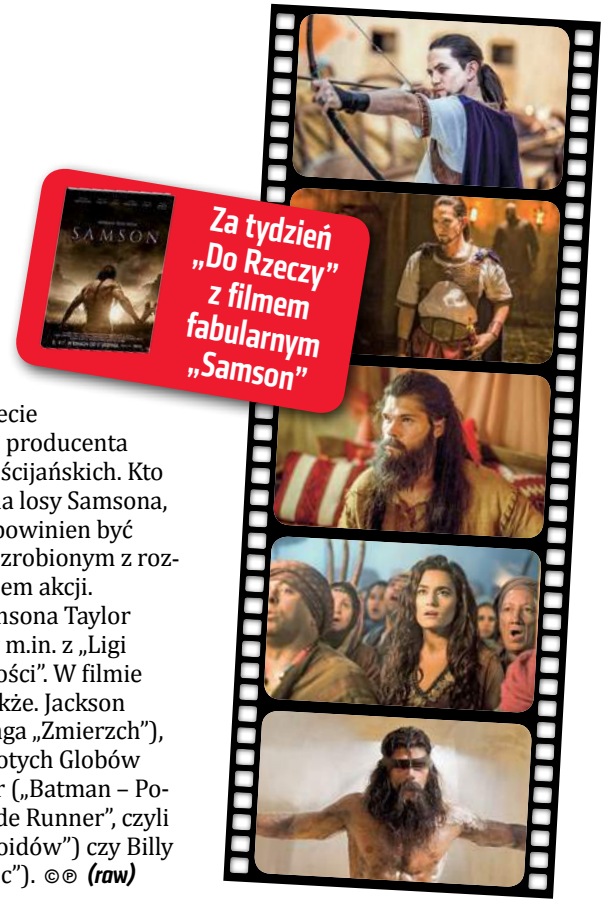

Za tydzień „Do Rzeczy" z filmem fabularnym „Samson"

REKLAMA

Inspirujemy Świętego Mikołaja

Wydawnictwo Albatros

Prawdziwa uczta dla fanów Kurta Vonneguta – 98 opowiadań kultowego amerykańskiego pisarza

Thriller autorki bestsellera „Za zamkniętymi drzwiami"

Tajemnicza przypadłość i zwykły człowiek, który w upiornym miasteczku Castle Rock wywoła rewolucję

Przypadkowe spotkanie, które może stać się szansą na szczęście, mimo tysięcy kilometrów, upływu lat i słodko-gorzkich wyroków losu…

eprasa.pl 52d88eeb8a

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nic właśnie

Gdzie jak gdzie, ale w Polsce szczególnie prawdziwa jest maksyma jednego z amerykańskich polityków: „There is no public opinion anymore, there is only public impression". Nie ma już opinii publicznej, jest tylko „publiczne wrażenie". Coś na ludziach robi wielkie wrażenie albo coś spotyka się z obojętnością, albo w ogóle umyka uwadze – i tak naprawdę nie wiadomo dlaczego.

Sprawy, które jak najbardziej powinny Polakami wstrząsnąć, nie wstrząsają

Czasem wielkim wstrząsem skutkują rzeczy zupełnie przypadkowe – to, że jakiś mało znany posełek zażądał firanek w samochodzie, to, że w menu, przy którym towarzystwo załatwiało swe szemrane interesy, znalazły się ośmiorniczki. Zachęca to macherów do prób wstrząśnięcia Polakami demaskacjami tego rodzaju, jak np., że bliski współpracownik Antoniego Macierewicza studiował na tej samej amerykańskiej uczelni co sowiecki szpion (przypadek? – nie sądzę!), ale – trzeba przyznać – nie wychodzi im to. Przyczyna, dla której pewne sprawy wywierają publicznie wrażenie, choć teoretycznie na to nie zasługują, jest równie niezrozumiała jak nagły wybuch popularności Jożina z bażin.

Bywa i odwrotnie – sprawy, które jak najbardziej powinny Polakami wstrząsnąć, nie wstrząsają. I to jest przypadek niedawnego przesłuchania przed sejmową komisją do spraw VAT prof. Chojny-Duch, byłej wiceminister finansów. Przesłuchania, z którego wyłonił się obraz państwa już nawet nie z dykty, ale wprost – państwa mafijnego. Państwa Tuska, w którym lobbystka zatrudniona jako „społeczna asystentka" ministra napisała ustawy rozszczelniające system podatkowy i umożliwiające grabież w majestacie prawa setek miliardów złotych, o ich przyjęciu zadecydował ponad głową ministra polityk niemający żadnych ustawowych kompetencji w sprawie, ale bliski premierowi, sejmowa komisja rzekomo zajmująca się uwolnieniem gospodarki od biurokracji była zbiorowiskiem grandziarzy i oszustów borujących dziury w prawie pod kątem „dojenia" państwa, a opinii fachowców i pracowników ministerstwa nikt nie brał po uwagę.

I co? Odnoszę wrażenie, że „nic właśnie", bo obywatele tak już są przekonani, że „wszyscy kradną", iż szczegóły mało kogo obchodzą. Jeśli zaś nie ma opinii publicznej, której by zależało na satysfakcjonującym rozliczeniu kradzieży w ciągu kilku lat rocznego budżetu państwa – to komu ma zależeć? ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Rechot Repnina

Pewien oburzony generał, za czasów PO pełniący funkcję koordynatora działań wywiadów sił zbrojnych NATO, w czasie, gdy te właśnie wywiady zostały zaskoczone rosyjską agresją na Ukrainę, grzmiał ostatnio: „Jaki jest cel tego artykułu". Kilku innych „ekspertów" perorowało o rosyjskiej agenturze i drżało na myśl, co to będzie, gdy Stany Zjednoczone się obrażą. A wszystko to przez kilka artykułów „Do Rzeczy" o bulwersującym zachowaniu ambasador Mosbacher.

„Nie niszczcie stosunków polsko-ukraińskich" i dalej w ten deseń, wybrzmiało to samo środowisko, złożone w części z wyznawców teorii o Polsce jako brzydkiej pannie na wydaniu, a w części z dawnych polityków „czarnosecinnej prawicy" teraz pożądających akceptacji salonów. A to dlatego, że polskie władze zareagowały na skandaliczne zatrzymanie przez ukraińskie władze Polaków, którzy na cmentarzu Orląt we Lwowie realizowali film o polskich bohaterach.

Podobne reakcje „autorytetów" politycznych i medialnych wymieniać można długo: sprzeciw wobec ukraińskich planów zburzenia „polskich lwów" na wspomnianej nekropolii to „podważanie sojuszu polsko-ukraińskiego", krytyka Nord Stream 2 jest „psuciem stosunków polsko-niemieckich", niezgoda na uderzające w Polskę działania KE to „pchanie Polski w ręce Rosji", z kolei przekop Mierzei Wiślanej bez zgody Putina ma być „drogą do wojny z Rosją" i tak dalej, i tak coraz zabawniej.

Największy ubaw jednak muszą mieć, w swoim siódmym kręgu piekieł, Nikołaj Repnin i Jakob Sievers, ambasadorowie carycy Katarzyny, realizatorzy polityczno-korupcyjnego systemu, który dziś można by nazwać grantowym. Minęły ponad dwa wieki, u Lachów zmieniło się tyle, a nic się nie zmieniło. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

NOTATNIK MALKONTENTA

Do którego prezesa w sprawie aborcji?

ŁUKASZ WARZECHA

Posłowie, w liczbie 79, którzy zaapelowali do prezes TK Julii Przyłębskiej, aby Trybunał zajął się w końcu czekającym tam od roku wnioskiem w sprawie aborcji eugenicznej, pomylili prezesów. Ich list powinien trafić do innego prezesa, bo dopóki nie będzie jego zezwolenia, dopóty sprawa na obrady TK nie trafi. Aż tak samodzielna pani prezes Przyłębska nie jest.

Zabawnie brzmią tyrady części opozycji o tym, że PiS klęczy przed biskupami. Świadczą albo o złej woli, albo o głębokiej niewiedzy. PiS nie tylko przed biskupami nie klęczy, ale wzajemne relacje partii rządzącej z polskim Kościołem są – jeśli można tak powiedzieć – chłodno tolerancyjne. Wkrótce zaś mogą się stać zimniejsze, właśnie w związku z tym, że PiS nie zrobił literalnie nic w sprawie aborcji.

Wśród wielu pułapek, czyhających na partię rządzącą w najbliższym czasie, ta jest kolejna

W organizacjach pro-life narasta zniecierpliwienie. Co jednak ciekawsze, rośnie ono także wśród hierarchii. „Ja myślę, że oczekiwanie i zniecierpliwienie ze strony katolików i także wyborców partii rządzącej jest pod tym względem ogromne. Wycofanie się PiS z tej obietnicy byłoby wielkim wyrzutem sumienia, który będzie miał dla nich złe skutki" – powiedział portalowi Niedziela.pl przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki. A trzeba wiedzieć, że pod tym względem ksiądz arcybiskup nie jest radykałem i daleko idące pomysły, prezentowane kiedyś przez organizacje pro-life, takie jak karanie kobiet za aborcję, nie napawały go entuzjazmem.

Sam byłem niedawno świadkiem bardzo emocjonalnej wypowiedzi jednego z hierarchów, który – najdelikatniej mówiąc – odnosił się mocno krytycznie do postępowania partii rządzącej. Hierarcha ów stwierdził, że kierownictwo partii sądzi zapewne, iż ci, którzy czekają na zaostrzenie przepisów antyaborcyjnych, i tak, z braku lepszej opcji, pójdą głosować na PiS. Jednak wcale tak być nie musi – zaznaczył.

Wśród wielu pułapek, czyhających na partię rządzącą w najbliższym czasie, ta jest kolejna. Opóźnianie rozprawy w TK jest o tyle niezrozumiałe, że ciężar decyzji można przecież zrzucić na grono prawników, a sprawa zakazu aborcji eugenicznej nie wzbudza takich sprzeciwów jak ewentualny całkowity jej zakaz.

Paradoks polega na tym, że Trybunał pod kierownictwem znienawidzonego przez PiS prof. Rzeplińskiego w 2015 r. orzekł o dopuszczalności lekarskiej klauzuli sumienia, a sam Rzepliński został wcześniej odznaczony przez kard. Nycza krzyżem Pro Ecclesia et Pontifice. Wygląda więc na to, że Trybunał za kojarzonego z PO prezesa był wierniejszy chrześcijańskim wartościom niż dziś. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Twitterowy folklor

Miniony tydzień upłynął pod znakiem spektakularnych wpadek. Proszę zapiąć pasy, oto Donald Tusk zwraca się do wicenaczelnego „Wyborczej": „Jarku, gratulacje! Robisz doskonałą robotę. Obiektywizm Gazety Wyborczej wielu poraża. Ale tak się dzieje gdy komuś obce są lub nie potrafi zrozumieć tolerancyjnych wartości europejskich i liberalnej demokracji dzięki której Polska i Gazeta Wyborcza tak dobrze sobie radzą" – czytamy (pisownia oryginalna). Niestety, po bliższym przyjrzeniu się okazuje się, że to DonaldT75296330. Czyli krótko mówiąc: troll.

„Dziękuję Donaldzie za słowa, których adresatem jest cały znakomity zespół Gazety Wyborczej. Dziś w PL obrona liberalnej demokracji, wolności słowa i praw człowieka, wymaga charakteru. Ani Tobie, ani nam go nie brakuje, o czym na co dzień świadczą złe emocje tzw. drugiej strony" – odparł prawdziwy i niczego nieświadomy Jarosław Kurski (również pisownia oryginalna). A potem, przy ogólnotwitterowej wesołości, wpis wykasował.

Teraz trochę prywaty. Gdy podczas zamieszek na ulicach Paryża stwierdziłem, że trudno sobie wyobrazić reakcję zachodnich mediów i polityków na ułamek tego samego na polskich ulicach, odezwał się były szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. „Zamieszki w Paryżu są częścią kultury politycznej tego kraju, są protestem przeciwko zmianom w polityce socjalnej, a nie łamaniem Konstytucji i podstaw demokratycznego państwa jak to ma miejsce w #Polska. Nie porównujmy jabłek z pomarańczami" – uświadomił prostych zjadaczy chleba Marcin Zaborowski.

„A gdy podczas Dnia Bastylii płonie kilkaset aut, to też element kultury politycznej?" – postanowiłem zapytać. „Przecież tak się dzieje przy okazji wprowadzenia jakiegokolwiek pakietu reform we Francji. Średnio raz na rok. Element folkloru politycznego, nic więcej" – usłyszałem. A skoro jesteśmy już przy polityce międzynarodowej i folklorze, na koniec cenna rada od Ryszarda Petru. „Eskalacja napięcia między Rosją i Ukrainą na Morzu Azorskim wymaga reakcji całej Unii Europejskiej. Polska powinna być ambasadorem Ukrainy w Unii. Trudno odgrywać taką rolę, jeśli polski rząd jest skłócony z UE". Azorskie, Azowskie? Chodzi ta Portugalia po głowie. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

CEL OSIĄGNIĘTY?

Barbara Kurdej-Szatan miała już dość krążących plotek o swojej ciąży i postanowiła osobiście wszystko zdementować. Zrobiła to w dość ciekawy sposób. Podczas przyjęcia z okazji 18. urodzin serialu „M jak miłość" wrzucała do sieci filmiki, z których wynikało, jak świetnie się bawi. – Drodzy państwo, chciałam oficjalnie ogłosić, że nie jestem w ciąży. Nawet produkcja „M jak miłość" się bała. Ja pierdzielę! Jak się brzucha nie wciągnie, to od razu jest się w ciąży? Biedne my kobiety – stwierdziła na jednym z filmów. Następnego dnia celebrytka odniosła się do swoich wynurzeń z poprzedniej nocy i wyznała: – Właśnie obejrzałam filmiki z wczoraj... Zawsze, jak się upiję, to wrzucam jakieś durne filmiki. No i się udało! Teraz żaden plotkarski portal nie pisze już o ciąży celebrytki, tylko o durnowatych filmikach, które wrzuca po pijaku. Tylko czy to aby na pewno lepiej?

WIZERUNEK DETEKTYWA

Detektyw Krzysztof Rutkowski przeżywa nie najłatwiejszy czas. Otóż niejaka Dominika Zasiewska, znana jako Wodzianka (bo jeszcze nie tak dawno półnaga nosiła wodę w programie Kuby Wojewódzkiego), opowiada na prawo i lewo o tym, że miała romans z detektywem, gdy ten był w związku z Mają, którą zamierza poślubić i która jest matką jego dziecka. Rutkowski plotkom zaprzecza, więc Wodzianka postanowiła opublikować SMS-y, które detektyw do niej wypisywał. Cała historia jest pod każdym względem żenująca, choć momentami też zabawna. Otóż Rutkowski stwierdził, że panna Wodzianka mylnie zinterpretowała jego intencje, gdy zapraszał ją do siebie do domu. – Złamałem swoje zasady. Nidy nie powinienem zapraszać do domu kobiety, której intencje nie są dla mnie do końca zrozumiałe. Być może Dominika stworzyła sobie inny obraz kontaktu ze mną – mówi. Uważa też, że Wodzianka ma obsesję na punkcie jego i jego związku z Mają. – Ona ma obsesję na punkcie mojego związku. Na siłę chce niszczyć wizerunek mój i Mai – mówi detektyw. Jak można zniszczyć coś, czego nie ma? To zagadka godna najlepszego detektywa!

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

FOT. PAWEŁ GROMADA

JAK WYJŚĆ Z SZUFLADY

Aktorka Marta Wierzbicka, rozstając się w ubiegłym roku z serialem „Na Wspólnej", emitowanym w TVN, tłumaczyła, że chce zerwać z wizerunkiem aktorki jednego serialu. Liczyła, że to pomoże jej w karierze. – Wierzbicka biła się z myślami przez kilka tygodni, zanim ogłosiła producentom serialu swoją decyzję – opowiadał wtedy informator „Faktu". – Marcie po prostu znudziło się granie w „Na Wspólnej". Trochę bała się też zaszufladkowania. Zrozumiała, że odchodząc, daje sobie szansę na nowe, ciekawsze role – dodawał. Minął rok, a Wierzbicką niebawem zobaczymy... w serialu „Pierwsza miłość" w Polsacie. Spektakularne to jej wyjście z szuflady!

NATURALNA JAK DODA!

Doda nam chyba wydoroślała i dojrzała. Przynajmniej na to wygląda. Piosenkarka pracuje teraz nad swoim nowym teledyskiem i w jednym z wywiadów zdradziła, że będzie tam całkiem naturalna, bez mocnego makijażu i wyzywających spódniczek. Całkiem jak nie ona! – Po prostu chciałam zaryzykować, poeksperymentować, pokazać siebie w innym anturażu – tłumaczy swój zamysł w jednym z wywiadów. – Ta piosenka, te treści w niej są dla mnie tak ważne, że jakby bieganie w kusych spódniczkach i z kocim okiem byłoby niesmaczne i odwracałoby uwagę od najważniejszego – dodaje Doda. Tak, ta sama Doda, którą trudno sobie wyobrazić bez krótkiej spódniczki i kociego oka. To nie koniec, bo piosenkarka mówi, że zmieniła się też prywatnie. – W ogóle się nie maluję od 30. roku życia, czyli cztery lata, tyle lat już kompletnie nie nakładam makijażu na co dzień, od roku w ogóle nie farbuję włosów – dodała w wywiadzie, występując w pełnym makijażu, zrobionych włosach i krótkiej kiecce.
I jak jej nie wierzyć?

ZAPAŚĆ NA UMYŚLE

Krystyna Janda wreszcie przekonująco wytłumaczyła to, dlaczego ciągle wypowiada się na tematy polityczne i opowiada w nich to, co opowiada. Okazuje się, że tak ogromnie cierpi z powodu wygranej PiS w 2015 r., że przekłada się to na jej zdrowie. Także umysłowe. – Dla mnie to jest tak traumatyczne przeżycie te ostatnie dwa lata, to jest tak ciężkie doświadczenie, z każdej strony. Ja zapadłam na zdrowiu i na umyśle, naprawdę – wyznała aktorka w rozmowie z Jarosławem Kuźniarem w Onecie. – Na umyśle też? – dopytywał zaniepokojony prowadzący. – Na umyśle też – odparła Janda. Cóż, my jej wierzymy. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nie dajcie się zwieść propagandzie prawackiej, na którą niedawno dał się naciągnąć nawet „Newsweek". Jeśli Pan Premier Donald Tusk powróci do tego kraju, iżby na nowo pojednać nas z Europą, to na pewno nie przybędzie na białym osobokoniu. Jesteśmy przekonani, iż Pan Premier wybierze ekologiczne źródło transportu, odpowiednio zbalansowane i przyjazne środowisku naturalnemu. Z pewnością nie będzie przykładał ręki do wykorzystywania osobokoni, a jako człowiek skromny, który samodzielnie robi zakupy, z pewnością stanie w kolejce po np. bilet na pociąg.

Oczyma wyobraźni zobaczyliśmy przy okazji, jak wyglądałby powrót Kaczafiego do kraju: kopcącym dieslem z wyciętym DPF-em albo karocą zaprzężoną w cztery osobokonie słaniające się na nogach. Wszystko of kors w pędzie i pośpiechu obrazującym, jak Kaczafi spieszy się do władzy.

A Pan Premier Tusk jak będzie wracał, to powoli, niespiesznie, z klasą i elegancko. Bez zbędnego pośpiechu, iż i tak wie, że wszyscy tu na niego czekamy!!!

Tymczasem w naszym korpo Nowy z Tarnowa rozpoczął przygotowania do obchodów Winter Holidays, czy – jak on to tam nazywa – Bożego Narodzenia.

Mamy więc za sobą już pierwsze obowiązkowe roraty, a także wspólne ćwiczenie kolęd, iż Nowy ubzdurał sobie, iż zaprosi do nas na jasełka pracowników z zagranicznych oddziałów naszego korpo. Jest więc nam strasznie wstyd.

Przede wszystkim dlatego, iż w ogóle będziemy musieli brać udział w takim przedstawieniu, a po drugie, iż nasi frendzi z zagranicznych oddziałów korpo albo zabiją nas śmiechem, albo zerwą z nami wszelkie kontakty za próby zdelaicyzowania Winter Holidays.

Nie po to od lat walczymy o to, iżby grudzień był miesiącem w swojej neutralności niedyskryminującym nikogo, aby teraz dać się w tak prosty sposób skompromitować. Myślimy więc o tym, iżby role w jasełkach rozdzielić na podstawie płci kulturowej oraz zanegować brak osób pigmentalnie uposażonych wśród trzech króli (pomalowany pastą do butów kolega gej się nie liczy). Być może nasze korpojasełka zakończą się skandalem, o którym będzie pisała postępowa prasa kulturalna w całym tym kraju! Bądźcie czujni!!! ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
W PREZENCIE
KSIĄŻKI PRZEMYSŁAWA SŁOWIŃSKIEGO:
„KOBIETY DESPOTÓW" ORAZ
„KOBIETY WYWIADU" + E-WYDANIE

Cena: 142 zł
Oszczędność: 213 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 52d88eeb8a

dwaj panowie g

Na początek sławni i lubiani. To znaczy, zależy gdzie. Zatem gwiazda minionego tygodnia Georgette Mosbacher, namiestnik USA w Vistula County. Po jej słynnym liście do premiera Mateusza, w którym sugerowała, że ręka podniesiona na Tefaueny zostanie przez sprawiedliwość amerykańską obcięta, wszelkie możliwe programy TVP próbowały ją zaprosić. Była jednak twarda, nawet gdy kuszono występem w paśmie lifestyle'owym.

Rozpytujemy i rozpytujemy w sprawie rekonstrukcji rządu, ale wiewiórki z Nowogrodzkiej się zaklinają, że to fakt medialny, dziś zwany fake newsem. „Partia jeszcze nie doszła do siebie po poprzedniej rekonstrukcji" – mówi nam jedna z ważnych wiewiórek. Hm, no to może tym bardziej jest dobry moment?

Skoro zwalniają, to będą zatrudniać. Od razu nam się przypomniała ta mądrość Lejzorka Rojtszwańca, kiedy słyszeliśmy kiedyś o redukcji liczby ministrów i wiceministrów. Tak się bowiem składa, że w najbliższym czasie pojawi się trochę nowych wiceministrów. Anna Krupka to dopiero początek. Wspomnicie nasze słowa.

Apropos zwalniania. Świeża nowelizacja ustawy o służbie zagranicznej wywalająca z MSZ wszystkich kapusiów bezpieki może okazać się bezprzedmiotowa. Otóż kapusie odkryły, że jeśli zostaną zwolnieni na mocy tej ustawy, to mogą zapomnieć o wszelkich odprawach. Masowo zgłaszają się więc dobrowolnie, by już teraz przechodzić na emerytury na starych zasadach i przytulić trochę kasy. Pal sześć. Warto było.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

W związku z wysypem etatów do obsadzenia rozmaici bonzowie dobrej zmiany pielgrzymują teraz do MSZ, by znaleźć posady w dyplomacji dla swoich krewnych i znajomych. Problem polega jednak na tym, że nasza dyplomacja nie potrzebuje aż tylu fachowców będących wirtuozami zmywaka, geniuszami rozmieszczania towarów na sklepowych półkach i mistrzami świata w obsłudze kas fiskalnych. Nie potrzebuje także farmaceutów.

Wracając do rekonstrukcji – wielkiej może na razie nie będzie, ale mała owszem. Na przykład rekonstrukcja Ministerstwa Infrastruktury i Budownictwa. Resort utracił budownictwo przy poprzedniej rekonstrukcji. Teraz słyszeliśmy, że i infrastruktura ma zostać włączona do Ministerstwa Inwestycji i Rozwoju. Tak, plotki na ten temat krążyły już rok temu, ale teraz ponoć wreszcie są prawdziwe.

Badamy za to kulisy rekonstrukcji badań CBOS na temat tego, komu ufa naród. Jak wiadomo, w ostatnim rankingu nie była uwzględniona ukochana premier ludu polskiego Bełata. Nie dlatego, że już jej nikt nie lubi, ale dlatego, że jej nie wymieniono w kwestionariuszu. Mamy dobrą wiadomość – zwolennicy Bełaty już interweniowali i w następnym miesiącu wraca do zestawienia.

Wyjaśniamy, edukujemy, bawimy. W sprawie boju o sejmik mazowiecki musimy napisać dwa słowa, bo w mediach się zrobił straszny bałagan na ten temat. Zatem informujemy, że słynny niedoszły bezimienny koalicjant PiS w mazowieckim, który zmienił zdanie godzinę przed posiedzeniem, inny, który zrezygnował, bo bał się, że mafia go zniszczy, oraz jeszcze inny, do którego do Kołobrzegu jeździł Karczewski – to nie jest jedna i ta sama osoba. To trzy zupełnie różne osoby, a sieci zarzucono nawet na więcej, co pokazuje skalę kaczystowskiej operacji.

To nie koniec boju o Mazowsze. Ciąg dalszy nastąpi wiosną. Tak się bowiem składa, że marszałek Struzik Adam bardzo chce być kandydatem Peezel w eurowyborach. A gdy rozstanie się z funkcją, będą nowe wybory marszałka i okazja do nowej koalicji. Kupiliśmy popcorn i orzeszki.

Kto wie, może zabawnie będzie wcześniej? Różni peezelowcy z Mazowsza i innych województw już po cichu testują baronów PiS „a co by było, gdybym?", „a za ile?". Ktoś nawet sobie przypomniał, że ma kuzynkę, która w zupełnie innym województwie przejętym przez PiS jest kierowniczką ważnej placówki. Nas to oczywiście brzydzi, ale jakby co, przypominamy, że do odwołania marszałka jest potrzebna większość trzech piątych głosów.

Tymczasem na Śląsku. Ohydna plotka mówi, że kaczyści wpadli na straszliwy pomysł. Otóż żona posła PeŁo Budki Borysława, niejaka Katarzyna Kuczyńska-Budka, miałaby mimo zmiany władzy pozostać szefem gabinetu marszałka województwa śląskiego. Kaczyści zamierzają ją obnosić jako symbol koncyliacji i budowania mostów ponad podziałami, a także wysyłać jako reprezentanta marszałka na różne uroczystości i odczytywać jego listy, w których chwali on rządy PiS, krytykuje opozycję i roztacza wizje owocnej współpracy rządu z samorządem. Przyznacie sami, że taka perfidia mogła zrodzić się jedynie w głowie Kaczora Dyktatora.

Apropos posła Budki Borysława i Śląska. Nie insynuujemy, tylko pytamy – panie pośle, czy nie zechciałby się pan podzielić z ludem doświadczeniami z kampanii wyborczej z 2005 r.? Źli ludzie opowiadają, że często widywali pana wtedy przesiadującego w lokalnym sztabie wyborczym PiS, ale nie wiemy, czy im wierzyć.

Tak nam się przypomniało przy okazji – niektórzy pukali się w czoło, kiedy informowaliśmy wiosną, że Kaczor Dyktator wydał tajną dyrektywę na kampanię samorządową: cel – zdobyć osiem sejmików. I w ilu sejmikach rządzi PiS? W ośmiu. Paczajcie i uczajcie się, ludziska.

Zamykając temat – mogło być 10. O manewrach wokół mazowieckiego już pisaliśmy, teraz o pięknym

eprasa.pl 52d88eeb8a

województwie lubuskim. Tam też przeciąganie liny trwało do samego końca, mimo niekorzystnych warunków bojowych. „Jak blisko było zwycięstwo?" – zapytaliśmy jedną z wiewiórek negocjujących. „Zabrakło półtorej Kałuży" – odparła ze smutkiem wiewiórka.

Wybory samorządowe za nami, wybory europejskie przed nami. Zapytaliśmy ważnego PiS-owca, czy nie czas przygotować listy kandydatów. „Ależ listy są już zamknięte" – odparł z czarującym uśmiechem nasz rozmówca. Domyślamy się, że w głowie Kaczora Dyktatora.

Nowy prezes IPN się szykuje. Z tym „nowy" to może trochę przesadziliśmy, bo właśnie stuknęła mu siedemdziesiątka. Chodzi o prof. Włodzimierza Suleję, którego część kolegium IPN chętnie widziałaby jako szefa przy Wołoskiej. A co ze starym, lecz wciąż młodym prezesem Jarosławem Szarkiem? Jest takie miejsce, do którego trafiają ludzie zasłużeni. To europarlament.

Przecież chodzi po prostu o to, żeby jeśli już odsuwać PiS od władzy, to od razu na bardzo długo

Wiemy, że to zaskakujące, ale teraz trochę o piłce. Robert Lewandowski, nasz eksportowy futbolista, od pewnego czasu smutną ma twarz. I my wiemy dlaczego. Tak się składa, że utopił w inwestycji w GetBack grube pieniądze. Jak grube? Bardzo grube. Coś z kilkadziesiąt milionów ziko. Jego smutek jest więc zrozumiały. No i sami widzicie, jak to z nami jest – miało być o piłce, a znów wyszło o Leszku Czarneckim.

Czas na element humorystyczny. Jak informowaliśmy, Eine Totalopposition dzieli już przyszłe zaszczyty, zastanawiając się jedynie, czy lepszy Donald prezydent i Władek premier, czy odwrotnie. O ambicjach Konia Romana, który chciałby zostać ministrem sprawiedliwości, informowali inni. Jest jednak jeszcze jeden pretendent w tej commedii dell'arte – Michał Kamiński rozpowiada, że chciałby zostać prezesem TVP. Kiedyś „Miś z okienka", teraz miałby być „Misio z okienka". Czyli jednak historia powtarza się jako farsa.

Peezel w ogóle ma wielkie plany. Nie tylko Władek K.K. Otóż urodził się tam pomysł, żeby skoro kadencje samorządów są pięcioletnie, to wydłużyć także kadencje Sejmu. Do sześciu lat. Dodatkowo raz na dwa lata miałyby się odbywać wybory uzupełniające na jedną trzecią mandatów. Takie polskie midterms. W poparcie dla midterms nie wierzymy, w sześć lat bardziej. Przecież chodzi po prostu o to, żeby jeśli już odsuwać PiS od władzy, to od razu na bardzo długo.

Na koniec geografia. Nie rozumiemy, jak ludzie mogą nie wiedzieć, gdzie znajduje się Morze Azorskie. To proste: zaraz za półwyspem Krem. Najbardziej znane porty: Marianpol i Rostowski nad Donem. Tylko niewykształceni złośliwcy mogą atakować Ryśka Petru za to, że wie lepiej. ©℗

REKLAMA

PRENUMERATA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA
W APLIKACJI MOBILNEJ

w prezencie książka **B. Sławińska** „Ja Orzeł. Z kedywu do celi śmierci" + słuchawki STARS

Cena: 99 zł
Oszczędność: 67 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 52d88eeb8a

Doceniamy nasze

Łukasz Zboralski

Po raz trzeci „Do Rzeczy" uhonorowało polskich przedsiębiorców w konkursie „100% Polski Produkt"

Trzy tygodnie temu wręczaliśmy nagrody Strażnik Pamięci, a dziś wręczamy wyróżnienia 100% Polski Produkt. To ma wiele ze sobą wspólnego, bo silne państwo to to, które jest dumne ze swojej przeszłości, ale i takie, które potrafi w gospodarce stawiać na to, co własne – mówił na otwarciu imprezy konkursowej Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy".

Nominowanych do nagrody przedsiębiorców, polityków, dziennikarzy i gości zgromadzonych w hotelu Polonia Palace witał też na gali Jan Krzysztof Ardanowski, minister rolnictwa i rozwoju wsi. – Jestem wdzięczny redakcji za organizowanie tego typu konkursów, wyróżniających producentów, którzy upatrują skuteczności i szansy dla siebie w polskich surowcach – mówił minister. – To pomaga odejść od tego utrzymującego się latami pejoratywnego podejścia do polskich produktów, a zwłaszcza do polskiej żywności. Bo nasza żywność jest dziś synonimem wysokiej jakości i znakiem rozpoznawczym na świecie. I jeśli nie zmarnujemy szansy, jaka teraz przed Polską stoi, to będziemy silnym i liczącym się na globie producentem – zauważał.

Specjalny list skierowany do organizatorów i uczestników konkursu napisała wicepremier Beata Szydło. „Inicjatywa ta, która doczekała się już trzeciej edycji, jest godna najwyższego uznania. Nowoczesny patriotyzm polega bowiem także na tym, by wspierać rodzimy handel. Dziś zapomnieliśmy już o niegdysiejszym powiedzeniu »swój do swego po swoje«. Warto jednak do niego powrócić i wcielać do życia codziennymi decyzjami zakupowymi. Taka postawa może się stać podstawą wyzwolenia olbrzymiej energii ekonomicznej naszego kraju" – napisała wicepremier. I dodała: „Mam nadzieję, że to przedsięwzięcie nie tylko będzie kontynuowane w kolejnych latach, lecz także zyska naśladowców".

MISTRZOWSKI SOK

Na gali najpierw przyznano wyróżnienia. Laureatom wręczali je Piotr Gabryel,

PATRONAT HONOROWY:

MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU
Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej PATRONAT HONOROWY
Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
FUNDACJA FIRMY RODZINNE

PARTNER MERTYTORYCZNY:

pwc

eprasa.pl 52d88eeb8a

Laureaci i wyróżnieni w trzeciej edycji konkursu „100% Polski Produkt"
FOT. PIOTR SZAFRAN

zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy", a także reprezentujący wydawcę tygodnika Robert Pstrokoński oraz Mariusz Dziurdzia, partner w firmie doradczej PwC, która zajmuje się analityczną stroną konkursu „Do Rzeczy".

Uhonorowano Fabrykę Cukierników „Pszczółka" za Czekoladowe Sympatie oraz firmę MDG Dominik Gawroński za Prompter Premium. Wyróżnienie odebrał też przedstawiciel firmy Red is Bad za nadruk sublimacyjny „Bitwa pod Kłuszynem 1610". – Zwłaszcza w kontekście tego, co dziś dzieje się na Wschodzie, ten produkt przypomina o naszym zwycięstwie nad Cesarstwem Rosyjskim – powiedział Paweł Szopa, prezes firmy produkującej patriotyczną odzież.

Nagrodę główną w kategorii „Nowość" odebrał Marek Szafraniec, twórca Polskiej Rzeczy – sklepu z dobrymi polskimi produktami, i bloga internetowego. – Kiedyś w sieci spotkałem się z takim komentarzem napisanym przez Polaka pracującego w oddziale francuskiej firmy: „Tutaj nawet długopisy i papier toaletowy są francuskie". A jak jest u nas? W naszych firmach i domach? – mówił Szafraniec, odbierając nagrodę. – My chcielibyśmy i mam nadzieję, że tak się stanie, żeby wszystkie produkty zastępować tym, co jest polskie i dobre.

W kategorii „Usługa" zwyciężyło Centrum Analiz Genetycznych sp. z o.o. – Zajmujemy się testami genetycznymi, które mają ułatwić życie każdemu z nas. Już podczas zakładania firmy zastanawialiśmy się, co zrobić, żeby to było polskie, żeby z tego korzystali Polacy – opowiadała Zuzanna Połanecka-Purwin. – Wiedzieliśmy, że musi być laboratorium w Polsce. To się udało. I że raport o genach musi być po polsku. I to też się udało. Teraz wychodzimy z naszą usługą dalej, poza granice – ujawniła.

Nagrodę główną 100% Polski Produkt, którą wręczył redaktor naczelny „Do Rzeczy", otrzymała firma Victoria Cymes sp. z o.o. za sok utrwalany technologią HPP. Nagrodę odebrała reprezentująca przedsiębiorstwo Elżbieta Wrzecionkowska. – Ta technologia utrwalania soku przy wykorzystaniu wysokiego ciśnienia pozwala unikać pasteryzacji – opowiadała podczas gali Justyna Juszczak, szefowa marketingu Victoria Cymes.

Wyjątkowo – w roku 100. rocznicy odzyskania niepodległości – jury konkursu przyznało dodatkową nagrodę specjalną Polska Marka Stulecia. Wręczono ją polskim liniom lotniczym LOT. Odbierający statuetkę członek zarządu LOT Michał Fijoł przypominał, że firma już za rok obchodzić będzie 90-lecie istnienia. – Linie powstały w 1929 r. i od razu odnosiły sukcesy gospodarcze. Jedną z pierwszych po krajowych trasach była trasa z Helsinek do Bejrutu. Dwa tygodnie temu ogłosiliśmy uruchomienie trasy z Warszawy do Bejrutu – powiedział. I opowiedział, że na spotkaniach biznesowych w Niemczech pokolenie 30-latków nie zna już pogardliwego pojęcia o polskiej niegospodarności „polnische Wirtschaft". – Ostatnie lata polskiej gospodarki to coś zupełnie przeciwnego, a na rynku niemieckim jesteśmy poważną marką – zauważył Fijoł. – Latamy po ośmiu niemieckich miastach, przewożąc tam miliony osób. Oczywiście nie tylko tam eksportujemy usługi. Co drugi pasażer LOT to pasażer spoza Polski, a w tym roku przewieziemy w sumie 9 mln podróżnych i zwiększymy obrót do 3 mld zł.

POLSKIE I SMACZNE

Podczas ubiegłotygodniowej gali wręczono także nagrody Ministerstwa Rolnictwa i Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa „Polska Smakuje". Polskim rolnikom wyróżnienia wręczali minister Ardanowski i szef KOWR Piotr Serafin.

Uhonorowano podlaską firmę Olejowe Smaki, która tłoczy na zimno oleje roślinne, oraz hodowlę pstrąga Pstrąg Ojcowski, znajdującą się w centrum Ojcowskiego Parku Narodowego. – Zostałyśmy już z mamą nagrodzone w Brukseli jako najbardziej innowacyjne rolniczki w Europie. Nasza innowacyjność polega na powrocie do tradycji – mówiła reprezentująca pstrągarnię Agnieszka Sendor. – Nasza pstrągarnia była jedną z pierwszych w Europie w latach 30. Produkujemy może na niewielką skalę, ale za to wysokojakościową żywność – podkreślała.

Wyróżnienie odebrał też Piotr Urtnowski z gospodarstwa rolnego Spod Czarcich Gór. To rolnik, który wielokrotnie był nagradzany za swoje produkty, m.in. na Festiwalu Smaku w Grucznie. – Recepta jest prosta: powrót do tradycyjnych smaków – tłumaczył. – Ludzie wiedzą, czego chcą, starsi pamiętają dawne smaki mleczarskie, a młodsi konsumenci chcą mieć pewność, że jedzą coś z mleka od konkretnej krowy, która chodzi po łące.

Nagrodę KOWR otrzymały też gospodarstwo rolne Warzywa z Doliny Baryczy oraz przedsiębiorstwo Moje Owoce Marii Figiel z Klementowic, która zajmuje się uprawą i przetwórstwem owoców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PARTNERZY:

eprasa.pl 52d88eeb8a

Nikogo w Polsce nie pouczam

Z Georgette Mosbacher, ambasador USA w Polsce
rozmawia Marcin Makowski

FOT. ANDRZEJ HULIMKA

MARCIN MAKOWSKI: Czy sądzi pani, że jesteśmy w tej chwili świadkami kryzysu dyplomatycznego na linii Polska – USA?

GEORGETTE MOSBACHER: Powiedziałabym, że to po prostu polityka. Owszem, nie zawsze zgadzamy się we wszystkich kwestiach, ale obecna sytuacja na pewno nie urasta do rangi kryzysu. Stosunki polsko-amerykańskie są dzisiaj solidne – nie tylko ze względu na dyplomację, lecz także ze względu na wspólną historię. To, co łączy nasze kraje, jest wyjątkowe. W Stanach Zjednoczonych mieszka ponad 10 mln Polaków.

Mieszka i głosuje.

Działaliśmy razem dotąd ramię w ramię – tak jak nasi żołnierze w wielu niebezpiecznych miejscach na świecie. Nasze relacje są za bardzo ugruntowane, żeby mogły je podważyć jakieś drobne nieporozumienia.

Z czego w takim razie wynikają uwaga i krytyka mediów, które pojawiły się po pani wystąpieniu w Sejmie 21 listopada?

Nie wiem.

Jak to sobie pani tłumaczy?

Nadal próbuję to zrozumieć, dla mnie osobiście te kwestie nie urosły do takiego znaczenia. Starałam się po prostu wykonywać powierzone mi obowiązki. Jednym z moich istotnych zadań jako ambasadora USA w Polsce jest zabezpieczenie 43 mld dol. amerykańskich inwestycji w waszym kraju. Chciałabym im zapewnić równy start i równe traktowanie. To moje zadanie. Wie pan, zanim tu przyjechałam, poznając historię Polski, cofnęłam się do X stulecia. Zastanawiam się teraz, co pominęłam, że moje intencje tak rozminęły się z odbiorem społecznym.

Może pani pomogę?

Proszę.

Może nie chodziło o same słowa, ale o to, jak zostały wypowiedziane? Polacy to naród wrażliwy na punkcie swojego honoru i obcych wpływów. Sądzę, że dla niektórych osób styl pani wypowiedzi mógł brzmieć jak pouczenia, a nie jak partnerskie relacje między państwami.

Cóż, to naprawdę trudne, bo dotyczy percepcji i subiektywnego odbioru znaczenia słów. Coś jak ze szklanką w połowie pustą albo w połowie pełną. Być może w tej sytuacji widzieliśmy tę samą szklankę, słyszeliśmy te same wypowiedzi, ale odbieraliśmy je zupełnie inaczej. Mogę zapewnić, że w moich intencjach nie było niczego więcej niż chęć wykonania powierzonych mi zadań. Niemniej staram się uwrażliwić na inne punkty widzenia.

Może również na różnice kulturowe, które istnieją między naszymi państwami?

Szanuję takie podejście, jestem otwarta na poszerzanie wiedzy. Moim zadaniem jest prowadzenie dyplomacji w obopólnym interesie. Chcę zobaczyć Polskę i Amerykę, które odnoszą sukces, bo silna Polska to silne Stany Zjednoczone. Jeśli jest cokolwiek, co mogę zrobić, aby przybliżyć się do tego celu, to będę słuchać i wyciągać wnioski.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Czy mogłaby pani w takim razie wyjaśnić, bo na pewno wiele osób zadaje sobie to pytanie, co panią motywowało podczas pisania słynnego już, osobistego listu do premiera Mateusza Morawieckiego, ministra Joachima Brudzińskiego i prezydenta Andrzeja Dudy?

Szanuję moich odpowiedników i rząd w Polsce, dlatego nie będę komentować treści prywatnej, dyplomatycznej korespondencji. Powiem jednak, że gdy prezydent Donald Trump wysłał mnie do Polski, powierzył mi misję rozwoju trzech priorytetów naszych relacji. Po pierwsze, rozwoju bezpieczeństwa ekonomicznego, po drugie – energetycznego, po trzecie – militarnego. Z punktu widzenia ekonomii Polska to niesamowita historia sukcesu, inaczej nie byłoby tutaj amerykańskich inwestycji na sumę 43 mld dol. – takie rzeczy nie dzieją się w państwach, które nie są otwarte i przyjazne biznesowi. Przecież wy przez 30 lat nieustannie rośniecie pod względem PKB, nie ma drugiego takiego kraju w regionie. To model dla innych. Gdy przylatywałam do Warszawy, robiłam to właśnie z przekonaniem, że Polska ma realny potencjał do bycia liderem NATO oraz dominującą siłą tej części Europy, tuż obok Niemiec, Francji i w kooperacji z innymi członkami Unii Europejskiej.

To naprawdę miłe komplementy, ale...

Ale ja tak myślę.

Wiem, że nie chciałaby pani tłumaczyć treści swojego listu, jednak muszę spytać...

Jest pan dobrym dziennikarzem, rozumiem, że będzie pan drążył (śmiech).

To w końcu główne pytanie, jakie ludzie sobie teraz zadają. Treść treścią, ale te literówki w nazwiskach? Pomylenie funkcji członków naszego rządu. Zostało to odebrane jako brak szacunku.

Raz jeszcze powiem, że byłoby nieprofesjonalne z mojej strony komentować dyplomatyczną korespondencję. Wyjdę jednak nieco z mojej roli i powiem wprost.

To jest nieco nietypowa sytuacja.

Jest nietypowa dlatego, że nastąpił wyciek listu do mediów. Jednak wbrew zaleceniom moich doradców powiem tak... nie ma wytłumaczenia dla moich literówek. Pisownia jest chaotyczna, jestem tym zażenowana. Nie da się tego bronić.

Dziękuję za szczerość.

Jestem tym zawstydzona i nie mogę tego wyrazić bardziej wprost niż teraz. W końcu to moja odpowiedzialność.

Literówki to może jednak nie najważniejsza ze spraw, które narosły po opublikowaniu korespondencji.

To jest bardzo ważna sprawa dla mnie.

Niemniej jednak, abstrahując od zawartości listu, bo podobne rzeczy w kontekście obrony wolnych mediów powiedziała pani w Sejmie, czy sądzi pani, że gdyby analogiczne słowa do Donalda Trumpa skierował polski ambasador w Waszyngtonie – a wiemy, że ostatnio dziennikarz CNN Jim Acosta został wyrzucony z Białego Domu, sąd musiał mu przywracać akredytację – nie byłoby w Ameryce małego skandalu? Czy to są właściwe środki, tzn. ambasador pouczający prezydenta o wolności mediów we własnym kraju?

Użył pan słowa „pouczał".

Chodziło mi bardziej o „wyrażał swoją opinię".

To dobrze, bo ja nikogo w Polsce nie pouczam. Nadrzędną wartością, na której opiera się Ameryka, jest wolność słowa i wolność mediów oraz debaty intelektualnej. Dlatego chcę podkreślić, że również prezydent USA ma prawo wygłaszać swoją opinię odnośnie do tego, z czym się nie zgadza. Prostować doniesienia, które jego zdaniem są nieprecyzyjne czy napisane nie fair. To jest właśnie wolność słowa – ona działa w dwie strony. Dzięki niej może pan napisać, cokolwiek się panu podoba, a ja mogę to prostować albo się z tym nie zgadzać.

Chyba nikt w Polsce nie odbiera tego prawa prezydentowi Trumpowi, podczas wizyty w Polsce i spotkania z Andrzejem Dudą poruszył on nawet bezpośrednio temat „fake newsów". Pytam jednak o co innego: Jeśli Donald Trump może być krytyczny wobec krajowych mediów, to dlaczego np. minister Joachim Brudziński nie może robić tego samego w stosunku do stacji TVN?

O mój Boże, to chyba sedno naszej debaty i nieporozumienia. On ma absolutnie prawo powiedzieć, co mu się podoba, i wyrażać krytyczną postawę. To wolność słowa. Mogę się nie zgadzać z tym, co pan o mnie mówi, ale będę walczyć o pana prawo do wyrażania swojej opinii, tyle że – jak wcześniej powiedziałam – ono działa również wobec mnie. Ja też mogę wyrazić swoje zdanie. Wolność słowa nie dotyczy jednej firmy, nie jest subiektywna – to nienaruszalna wartość. Jeśli stajesz w obronie wolności słowa lub wolności prasy, to dotyczy to wszystkich mediów w równym stopniu. To prawda, dbam o amerykańskie interesy, ale robię to w tej samej przestrzeni swobodnej debaty jak każda inna osoba czy każdy polityk w Polsce. Siedzę tutaj przecież z panem i cieszę się, że mogliśmy się poznać. Dał mi pan w kilku tekstach wycisk, ale szanuję pana, bo ma pan do tego prawo.

Sądzę, że w tej kwestii nie ma większego sporu – wolność słowa to jest nadrzędna wartość. Mam jednak wrażenie, że źródło napięcia, które powstało po pani wypowiedziach, leży gdzie indziej. Do tej pory żaden ambasador USA nie wypowiadał się tak otwarcie o wolności mediów w Polsce, nawet gdy za poprzedniej władzy służby wchodziły do redakcji tygodnika „Wprost", kiedy ten opublikował niekorzystne dla rządu nagrania z podsłuchów. Dlaczego w takim razie tak bezpośrednia interwencja teraz? Co się zmieniło?

Nie mogę się wypowiadać za wcześniejszych ambasadorów. Nie znam ich instrukcji ani priorytetów dyplomatycznych. Nie do końca rozumiem jednak pana pytanie. Czy pyta mnie pan, dlaczego wystąpiłam w obronie wolności słowa?

> **Wbrew zaleceniom moich doradców powiem tak... Nie ma wytłumaczenia dla moich literówek. Pisownia jest chaotyczna, jestem tym zażenowana. Nie da się tego bronić**

Nie, pytam o coś, o co zapewne chciałoby zapytać wiele osób, siedząc na moim miejscu. Czy nie jest tak, że wolność słowa została „wyłożona na stół" właśnie w tej chwili, ponieważ problem dotyczy nastawienia rządu do telewizji, która jest w posiadaniu Amerykanów?

To uczciwe pytanie. Będę reagować i jestem do tego zobligowana, aby zabierać głos za każdym razem, gdy zaistnieje sytuacja, w której amerykańskie firmy mogłyby nie być traktowane fair. W tym przypadku jednak zarówno kapitał, jak i wolność debaty publicznej złożyły się w jedną nierozdzielną sprawę.

Gdyby ten problem dotyczył innej firmy, pani reakcja byłaby taka sama?

Tak. Gdy chodzi o tę wartość, moja reakcja byłaby analogiczna niezależnie od tego, jaka to jest redakcja. Proszę zrozumieć, tutaj trudno jednak rozdzielić wolność

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. ANDRZEJ HULIMKA

mediów od zachowania wobec amerykańskiej firmy, które uznałam, że może być nieuczciwe. Czy zgadzam się tym samym z jej punktem widzenia? Podpisuję się pod wszystkim, co głosi? To nie jest istotne. Prezydent nie dyskutował ze mną na ten temat i ja nie uważam, abym musiała to traktować osobiście. Raz jeszcze powtarzam: będę bronić swobody debaty publicznej i interesów kapitału ze Stanów Zjednoczonych – reszty nie oceniam. W przyszłości zrobiłabym to samo wobec każdego innego wydawcy, gdyby jego prawa zostały zagrożone.

Zmieniając nieco temat. Jak zareagowała pani na decyzję wicepremiera Jarosława Gowina, aby zrezygnować z dwustronnego spotkania po pani wypowiedzi w Sejmie odnośnie do mediów?

To jego prerogatywa. Ma prawo anulować dowolne spotkanie i szanuję jego decyzję.

„Do Rzeczy" doniosło również o pani spotkaniu z przedstawicielami polskiego rządu dotyczącym podatku dochodowego i zmian w tym zakresie, które uznała pani za niekorzystne dla amerykańskiego biznesu. Nasze źródła z rządu donoszą, że pani interwencja została odebrana jako wyjście poza prerogatywy ambasadorskie oraz ingerencja w wewnętrzne prawo podatkowe. Miała się pani domagać wsparcia m.in. dla Ubera. Jaka jest pani perspektywa odnośnie do tego spotkania?

Mój punkt widzenia jest bardzo prosty. W USA mamy 64 tys. stron tekstu dotyczącego prawa podatkowego. Gdyby ktoś chciał zliczyć, ile razy inne rządy w Waszyngtonie interweniowały u nas w tej sprawie, chyba nie dałby rady – tak wyglądają życie i polityka. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ja muszę reagować, gdy widzę, że jakieś prawo może być niekorzystne dla amerykańskich firm. Tak samo zapewne robią inni ambasadorzy. Nie mówię jednak Polakom, co mają robić. Nie jestem tutaj, żeby mówić innym, jak mają urządzać swoje państwo, i nie mam takiej mocy, ale mam zobowiązania, z których muszę się wywiązać. Dlatego podnoszę te kwestie otwarcie.

Ameryka jest zmotywowana i zaangażowana w zwiększanie swojej obecności wojskowej w Polsce. W tej chwili dopinane są szczegóły stałej obecności naszych wojsk

Zastanawiam się nad jedną rzeczą, słuchając, jak pani odpowiada. Czego nauczyła się pani z całej sprawy listu, mediów i relacji z polskim rządem? Jakie wnioski wyciągnęła pani po fakcie?

Owszem, mam kilka refleksji. Pierwsza brzmi: nie czytać Twittera (śmiech). Cokolwiek się dzieje, po prostu nie sprawdzać komentarzy. Nigdy wcześniej, zanim przyleciałam do Warszawy, nie zajmowałam się mediami społecznościowymi i chyba już wiem dlaczego. Po drugie, zrozumiałam, że muszę być bardziej przewidująca, wrażliwa na odmienne punkty widzenia i różnice kulturowe mimo naszej wspólnej historii. Czasami są one niesamowicie subtelne i po prostu nie da się ich nauczyć z książek. Tych, które już teraz poznałam, nauczyłam się pod ostrzałem, ale jestem chętna do nauki. Rzecz trzecia, której się nauczyłam, to przekonanie, że nie abdykuję z wypełniania moich obowiązków, nawet jeśli narażą mnie one na wygłaszanie opinii, których inni nie chcieliby usłyszeć.

Korzystając z okazji, chciałbym wyjaśnić kwestię, która została poruszona przez rzecznika Departamentu Stanu. Czy to prawda, że ma pani polskie korzenie? Wcześniej o tym nie słyszeliśmy.

Dorastałam w polskiej dzielnicy. Codziennie w drodze powrotnej ze szkoły bawiłam się w parku im. Tadeusza Kościuszki, w którym na środku stał jego pomnik. Jako dzieci myśleliśmy, że poprawna wymowa to „Koskiesko". To jedno z moich pierwszych wspomnień, ciągle tak nazywam to miejsce, chociaż nauczyłam się, że inaczej się to słowo wymawia (śmiech). Moja prababcia karmiła nas pierogami ze śliwkami albo z serem i ziemniakami.

Czy ona pochodziła z Polski?

Wiemy, że pochodziła z tego regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Chciałabym przypieczętować w takim razie swoje korzenie, one są po części właśnie tutaj i w moim wychowaniu. Te historie to część tego, kim dzisiaj jestem.

Jedną z pierwszych zapowiedzi, które padły z pani ust już w Polsce, była osobista obietnica zniesienia wiz dla naszych rodaków. Z tym problemem borykali się już poprzedni ambasadorzy i prezydenci. Dlaczego akurat pani ma się udać?

Wiem, że będzie mnie pan teraz trzymał za słowo i jak nie dam rady dotrzymać tej obietnicy, nawet sobie nie wyobrażam, co o mnie napiszecie. Jednak trudno, jestem gotowa wziąć na siebie tę odpowiedzialność. Oczywiście za zniesienie wiz odpowiada Kongres, istnieje kilka prawnych obostrzeń, które muszą zostać spełnione. Zarówno prezydent Trump, jak i prezydent Duda – a rozmawialiśmy na ten temat – chcą, aby tak się stało. Pewne kroki zostały już poczynione, ze strony obu państw zawiązano grupy zadaniowe, które pracują nad kwestią wizową. Została stworzona „mapa drogowa", z konkretnymi datami i punktami do wykonania. Jedyną rzeczą, której oba rządy nie są w stanie kontrolować, jest konieczność zejścia Polski poniżej progu 3 proc. odrzucenia wniosków wizowych. Na szczęście wszystko idzie w tej sprawie w dobrym kierunku. Jesteśmy bardzo blisko celu. Jestem przekonana i wiem, że damy radę. Może pan napisać, że zobowiązuję się, iż wizy zostaną zniesione do końca przyszłego roku. A potem piszcie, co chcecie, jeśli tego nie dopnę.

Będziemy trzymać panią za słowo. Na koniec chciałbym zapytać o przyszłość tzw. Fortu Trump, czyli stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Czy ten cel również zostanie zrealizowany?

Ameryka jest zmotywowana i zaangażowana w zwiększanie swojej obecności wojskowej w Polsce. Tutaj nie ma żadnych wątpliwości. Byłam na spotkaniu w Waszyngtonie z sekretarzem Mattisem i ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem. To były bardzo owocne obrady, w tej chwili dopinane są szczegóły stałej obecności naszych wojsk. Niedługo można się spodziewać pierwszych oświadczeń w miarę załatwiania spraw. Tego jestem pewna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

WIELKI ATLAS ZDROWIA

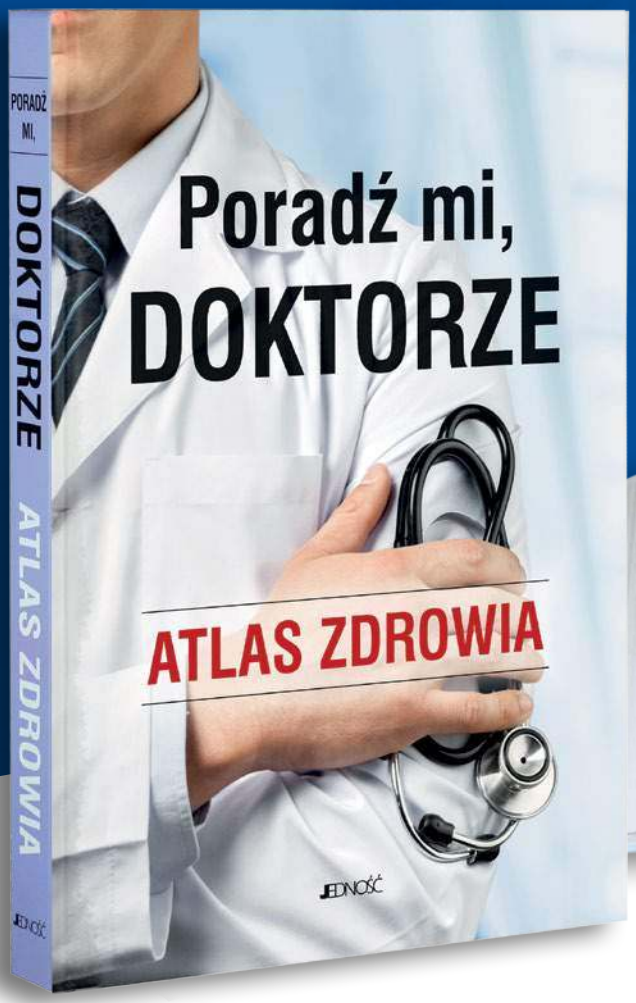

Po co jest gorączka?
Jak bronić się przed alergią na kurz?
Jak uniknąć infekcji pokarmowych?
Co powoduje wzrost ciśnienia krwi?
Jakie choroby przenoszą kleszcze?

Jeśli zdrowie Twoje i bliskich Ci osób jest dla Ciebie ważne,
to jest książka właśnie dla Ciebie!

Poradź mi, doktorze
Atlas zdrowia
format 237x340 mm, oprawa twarda, s. 288
cena ~~49,00~~ zł

Zeskanuj kod i zajrzyj do książki na www.jednosc.com.pl

KOMPENDIUM WIEDZY O ZDROWIU DLA KAŻDEGO
BEZ WZGLĘDU NA WIEK I STYL ŻYCIA!

„To książka długo przeze mnie oczekiwana. Pomoże wstępnie ustalić chorobę na podstawie objawów i jej przyczynę oraz podpowie, jak się ją leczy według najnowszych osiągnięć medycyny. Napisana przez fachowców godnych zaufania".

Zbigniew T. Nowak
autor wielu bestsellerów o zdrowiu

25% RABATU na cały koszyk

Wejdź na stronę
www.jednosc.com.pl
Wpisz w koszyku kod kuponu o treści DORZECZY
i skorzystaj z rabatu na Twoje świąteczne prezenty

JEDNOŚĆ

* Rabat łączy się z promocjami na stronie

Oferta ważna do 31.12.2018 r.
Regulamin promocji na www.jednosc.com.pl

Dział sprzedaży tel. 41 349 50 50

eprasa.pl 52d88eeb8a

Jak Mosbacher z sojusznikiem

Marcin Makowski

Jak doszło do tego, że polskim władzom wysłano niechlujnie napisany list w obronie wolności mediów – a naprawdę w obronie kapitału USA?

Biznesswoman, która nie była nigdy dyplomatą, przekonała biznesmena, który nie był nigdy politykiem, aby jako prezydent uczynił z niej ambasadora – mówi mi jeden z byłych amerykańskich urzędników, gdy pytam, co myśli o Georgette Mosbacher, nominowanej przez Donalda Trumpa, a zatwierdzonej w czerwcu przez komisję senacką na stanowisko ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce. Podobnych opinii jest wiele, płyną one głównie z polskich kręgów rządowych. Niektórzy, tak jak Ryszard Czarnecki czy minister Mariusz Błaszczak, wypowiadają je publicznie. – List, który ambasador USA wysłała do premiera w obronie TVN, to efekt „nieporozumienia" i „braku doświadczenia" – powiedział w środę 28 listopada w Polskim Radiu szef MON. Kim właściwie jest kobieta, która znalazła się na ustach całego kraju?

„IT TAKES MONEY, HONEY"

„Petarda", „temperamentna", „uparta", „charakterna", „zdeterminowana" – słyszę najczęściej z ust moich rozmówców, gdy pytam, jakim słowem opisaliby Georgette Mosbacher. Urodzona w 1947 r. pod panieńskim nazwiskiem Paulsin ma życiorys jak ze scenariusza filmu o drodze na amerykański szczyt. W pewnym uproszczeniu Mosbacher to self-made woman. Uboga rodzina, wcześnie zmarły ojciec, konieczność wzięcia odpowiedzialności za dom, rodzeństwo i własny los sprawiły, że Georgette musiała szybko wejść w dorosłość. Zarabiać, docenić wartość pieniądza i wykształcenia, które uzyskała na Uniwersytecie Indiany, gdzie już w latach 60. związała się z kręgami republikańskimi. Złośliwi mówią, że doszła do prawdziwych pieniędzy i weszła do elity poprzez cztery kolejne małżeństwa z wpływowymi mężczyznami z pogranicza biznesu i polityki. Zaczynając od szefa koncernu Faberge, na późniejszym sekretarzu handlu w gabinecie George'a W. Busha – po którym

FOT. JACEK TURCZYK/PAP

eprasa.pl 52d88eeb8a

zostawiła nazwisko – kończąc. To tylko część prawdy.

W rzeczywistości obecna ambasador w Polsce zdawała sobie sprawę, że na prawdziwą pozycję w świecie elit Nowego Jorku, gdzie mieszkała przez większość życia, musi zapracować sama. W latach 80. i 90. kupowała, restrukturyzowała, zarządzała i sprzedawała kolejne zakłady kosmetyczne. Równolegle z powodzeniem prowadziła firmę zajmującą się doradztwem marketingowym, była pierwszą kobietą przewodniczącą stowarzyszenia republikańskich gubernatorów, trzymała w garści finanse republikanów, werbując do partii nowych wpływowych członków. – Georgette jest w tym świecie tyle lat, że zna z imienia chyba wszystkich kongresmenów i senatorów w Waszyngtonie – mówi mi jedna z osób, która współpracowała z Mosbacher. W pewnej mierze jej „success story" przypomina drogę Trumpa, z którym również jest na „ty".

W latach 90. Mosbacher uśmiechała się z okładek książek motywujących kobiety do wzięcia w garść swojego życia i portfela. „Feminine Force", „It takes money, honey" – tytuły mówią wszystko. Jest w tym wszystkim jedno „ale". Chociaż zasiada w gronie międzynarodowego think tanku Atlantic Council i doradzała dyplomatycznie Barackowi Obamie, nigdy nie robiła tego zawodowo. – Mosbacher ma dużo pieniędzy, to daje pewność siebie. Mogłaby jutro odejść i jej życie by się nie zmieniło. Słyszałem, że ambasador mówiła, iż to ostatni etap w jej karierze, a potem przechodzi na emeryturę. A jak nic z niego nie wyjdzie, świat się nie zawali. To jest to podejście. Ona po prostu prosiła Trumpa, czy mógłby ją gdzieś wysłać jako ambasador, więc wybrał jej Polskę – mówi mi jedna z osób w rządzie odpowiedzialnych za relacje polsko-amerykańskie. – Jest otoczona ludźmi z Departamentu Stanu, starymi demokratami, którzy mają na nią ogromny wpływ – dodaje inny polityk związany z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

NAJPIERW SENAT, PÓŹNIEJ SEJM

Pierwszy sygnał ostrzegawczy, że coś może pójść nie tak, przyszedł na początku czerwca tego roku, gdy przyszła ambasador odpowiadała na pytanie amerykańskiej komisji senackiej, która zatwierdza mianowanych przez prezydenta kandydatów. Mosbacher mówiła wtedy m.in., że „będzie pracowała z polskim rządem, aby wziął do kraju sprawiedliwą część uchodźców". Oskarżyła również autorów nowelizacji ustawy o IPN o wzrost nastrojów antysemickich w Europie Wschodniej. „Niestety został on wywołany przez prawo dotyczące Holokaustu, które Polska niedawno uchwaliła. […] będę pracować nad tym, aby takie rzeczy nie trafiały do prawodawstwa" – usłyszeliśmy. W Polsce większość mediów potraktowała te słowa jako nieistotne didaskalia. W tym samym czasie w Niemczech, gdy nowo mianowany ambasador Richard Grenell stwierdził w wywiadzie dla portalu Breitbart, że będzie pracował nad wzmocnieniem roli konserwatystów w Berlinie, został wezwany przez tamtejsze MSZ na dywanik za mieszanie się w wewnętrzną politykę kraju.

Bez echa w Warszawie nie przeszło już spotkanie z sejmową Komisją ds. Relacji Polsko-Amerykańskich. Pod koniec listopada Mosbacher wprost mówiła parlamentarzystom, na jakie rozwiązania prawne odnośnie do mediów amerykański Kongres nie wyrazi zgody. W tle prokuratorskich oskarżeń wobec współautora reportażu wcieleniowego „Superwizjera" TVN o propagowanie neonazizmu słowa ambasador brzmiały jednoznacznie. – Ja odbieram je jako sygnał, że jeśli Polska chce być traktowana po partnersku, to musi również dbać o fundamenty demokracji, do których należą praworządność i wolność mediów oraz nienaruszalność praw własnościowych – mówi „Do Rzeczy" Katarzyna Lubnauer, przewodnicząca Nowoczesnej i członkini sejmowej komisji.

– Na pewno nie jest bez znaczenia, że TVN jest w rękach amerykańskich. Gdyby jednak Amerykanie chcieli działać tylko w sposób biznesowy, zbliżyliby się z rządem i brali od niego pieniądze, zamiast zajmować się kwestią wolności słowa. Polska sama wielokrotnie interweniowała w sprawie mediów w innych państwach, np. na Ukrainie. W celu oddziaływania na Białoruś rząd założył również telewizję Biełsat, więc nie jesteśmy tutaj święci, działamy podobnie jak Ameryka, ale swoimi środkami – dodaje Cezary Tomczyk z Platformy Obywatelskiej, obecny na spotkaniu z ambasador.

– Odnośnie do spotkania mam wrażenie, że każdy usłyszał na nim to, co chciał usłyszeć. Ja odbieram wypowiedź ambasador w ten sposób, że dla Amerykanów kwestia wolności mediów jest istotna i w tym sensie Georgette Mosbacher poprosiła, że gdyby w Polsce były przygotowane regulacje prawne na ten temat, chciałaby zabrać głos w dyskusji i przedstawić swoje stanowisko. Nie tworzyłbym innej teorii, nie odniosłem wrażenia, że ambasador jest zaniepokojona stanem mediów w Polsce – mówi wiceprzewodniczący komisji Zbigniew Gryglas z PiS.

Jednak jego koledzy i koleżanki z rządu odebrali słowa ambasador nieco inaczej. Dla wielu z nich była to ingerencja w ustawodawstwo suwerennego państwa. – Po wystąpieniu ambasador w Sejmie jej wpływy w Polsce spadły o jakieś 50 proc. – mówi jeden z wysoko postawionych polityków Zjednoczonej Prawicy. – My ją przyjęliśmy godnie, Jarosław Kaczyński pojawił się na spotkaniu, miała nieskrępowany dostęp do ministrów, interweniowała w różnych sprawach. Wiedzieliśmy jednak, że prędzej czy później może dojść do podobnego kryzysu na posiedzeniu grupy polsko-amerykańskiej. Miesiąc miodowy się jednak skończył po upublicznieniu tego wystąpienia. Poczuliśmy się po prostu pouczani w sprawie, która jest wewnętrzną domeną polskiego rządu – dodaje.

Jak poinformowaliśmy jako pierwsi w „Do Rzeczy", po opublikowaniu zapisu spotkania w Sejmie ze spotkania dwustronnego z ambasador zrezygnował Jarosław Gowin. – Nie wolno pozwolić na traktowanie Polski jako na poły kolonii – mówi tygodnikowi jeden z bliskich współpracowników wicepremiera.

WOLNE MEDIA CZY BIZNES?

Wątpliwości w Zjednoczonej Prawicy co do szczerych intencji Georgette Mosbacher i jej troski o sytuację mediów w Polsce budzi przede wszystkim bezpośrednie zaangażowanie w obronę stacji TVN. Nie jest bowiem tajemnicą, że telewizja odkupiona z rąk jednego amerykańskiego właściciela (Scripps Networks) przez drugiego (Discovery Communications) stanowi największą amerykańską inwestycję w Polsce. Wiadomo także, że Mosbacher to dobra znajoma właściciela całej grupy, Davida Zaslava. – Pani ambasador niedawno zrobiła małą wewnętrzną awanturę o tweety kilku naszych polityków krytyczne wobec TVN, na co my jej pokazaliśmy kilkanaście, a mogliśmy kilkadziesiąt, tweetów prezydenta Donalda Trumpa na temat amerykańskich mediów – mówi jeden z polityków związany z KPRM. – Relacje z Ameryką są bardzo dobre, ale one nie zawsze przekładają się na relacje z samą ambasador, która momentami zachowuje się jak lobbystka. Byli w historii ambasadorzy, którzy po pracy w dyplomacji przechodzili na pozycje

eprasa.pl 52d88eeb8a

lobbingowe, np. ambasador Victor Ashe, który swoją drogą zachęcił firmę Scripps Networks do zainwestowania w TVN. To były burmistrz Knoxville w Tennessee, gdzie funkcjonuje spółka. Nigdy jednak takich rzeczy nie robił czynny ambasador – twierdzi wysoko postawiony polityk PiS. Z podobną opinią nie zgadza się jednak posłanka opozycji, zajmująca się relacjami polsko-amerykańskimi. – Mosbacher przeszkadza, że PiS to socjaliści, a ona jest republikańskim reaganowskim biznesmenem. Wolność mediów ma również znaczenie własnościowe, nie tyle ideologiczne – mówi „Do Rzeczy".

Dla wielu polityków rządu miarka przebrała się dopiero 19 listopada, gdy ambasador – jeszcze zanim do domu operatora „Superwizjera" weszli funkcjonariusze ABW – wysłała osobisty list do premiera Mateusza Morawieckiego, prezydenta Andrzeja Dudy i szefa MSWiA, Joachima Brudzińskiego. Jako pierwsi ujawniliśmy jego fragmenty na portalu DoRzeczy.pl. To wówczas ruszyła dyplomatyczna lawina.

Według naszych źródeł w Kancelarii Premiera pismo zostało odebrane jako skandaliczne i niepoważne. Roiło się w nim od niezręczności, literówek, mylenia funkcji osób.

Ambasador bezpośrednio – wraz z dopiskiem, że trzeba rozwiązać problem i „zająć się poważnymi sprawami" – oskarżała Brudzińskiego o atakowanie dziennikarzy TVN. „Chciałbym zapewnić wszystkich, że ilekroć będę uważał, że należy krytykować media (wszelakie), to będę to robił" – napisał Brudziński na Twitterze w poniedziałek, jeszcze przed ujawnieniem treści listu.

– Jestem przekonany, że forma listu była wyjściem przed szereg. Oczywiście Departament Stanu po fakcie wsparł ambasador, ale do samej formy jej wypowiedzi się nie ustosunkował. List wyglądał na jej własną inicjatywę – stąd błędy – obudowaną ogólnymi wytycznymi administracji Trumpa, która kazała się troszczyć o amerykański kapitał. Dziwię się, że Eric Green, który jest zastępcą ambasador i działa w dyplomacji od 20 lat, tego listu nie przytrzymał, bo to jest osoba, która moim zdaniem do pewnego stopnia czuwa nad działaniami Mosbacher. To on przedstawiał jej konkretnych polityków i osoby publiczne w Polsce – słyszę od wpływowego polityka prawicy.

– Problem z ambasador Mosbacher polega na tym, że nie jest typową dyplomatką – mówi „Do Rzeczy" senator Anna Maria Anders, posiadająca polskie i amerykańskie obywatelstwo.

– Jej poprzednicy, mimo że byli demokratami, wyrażali swoje poglądy znacznie dyskretniej. Pani ambasador została powołana przez prezydenta Trumpa do utrzymania i polepszenia stosunków polsko-amerykańskich, zamiast tego mamy mały kryzys. List do premiera i jego forma są oburzające. Dyplomata nie może mówić rządowi suwerennego państwa, co ma robić. Takie rzeczy powinniśmy uzgadniać w partnerskim dialogu. Inaczej wyglądamy słabo, i nikt się z nami nie będzie liczyć – twierdzi.

Według źródeł „Do Rzeczy" ambasador miała też wyrazić dezaprobatę wobec wsparcia wysyłanego przez polski rząd do Syrii

Z perspektywy Departamentu Stanu problemu oficjalnie jednak nie ma. „Ambasador Mosbacher dobrze sobie radzi, reprezentując Departament Stanu i rząd USA w Polsce. Podziela również nasze idee i wartości, m.in. wolność prasy" – oświadczyła rzecznik resortu. „Co do samego listu, nie będę tego komentowała" – dodała. Według naszych źródeł poruszenie w ambasadzie USA w Warszawie było jednak realne, a wiele osób dowiedziało się o liście i jego formie dopiero z mediów.

BAZY, PODATKI I WYCISZANIE SPORU

Jak ujawniliśmy na portalu DoRzeczy.pl, nie tylko list ambasador wywołał konsternację w polskim rządzie. Problematyczny stał się również bezpośredni lobbing, „wzywanie na rozmowy" ministrów i zabieganie o korzystne dla amerykańskich spółek w Polsce prawo podatkowe. – Wyglądało to na bardzo poważną interwencję ze strony pani ambasador w sprawie tzw. podatku u źródła – mówi nam zorientowany w temacie Przemysław Wipler. – Chodzi o zmianę przepisów, które zwiększają odpowiedzialność zarządów firm międzynarodowych w dużej mierze za płatności licencyjne. To dotyczy również „podatku od innowacyjności", czyli tego, co może uderzyć także w koncerny amerykańskie. Przepisy, które się w tym zakresie pojawiły, zostały bardzo chłodno przyjęte przez kluczowe podmioty z USA w Polsce. W tym momencie jest dla mnie oczywiste, dlaczego Georgette Mosbacher interweniowała w tym zakresie, dziwię się tylko, że tak późno. Odbyło się nawet spotkanie wyjaśniające z udziałem premiera, na granicy kryzysu dyplomatycznego – dodaje.

Według naszych źródeł to nie była pierwsza sytuacja, która zdaniem członków polskiego rządu wykraczała poza tradycyjne interwencje dyplomatyczne. Podczas jednego ze spotkań z premierem Mateuszem Morawieckim ambasador Mosbacher miała również wyrażać swoją dezaprobatę wobec pomysłu wysyłania przez rząd pieniędzy do Syrii „w celu wspierania reżimu Baszara Al-Asada" – chodziło o wsparcie charytatywne dla ludności poszkodowanej przez wojnę w Syrii.

Obecnie, pomimo poszczególnych i dosyć uszczypliwych w tonie wypowiedzi polityków PiS, oficjalną strategią komunikacyjną KPRM oraz ambasady USA jest gra na wyciszenie konfliktu. „Nie zamierzamy bezpośrednio odnosić się do treści listu ambasador USA Georgette Mosbacher ani faktu jego opublikowania w mediach. Polska i Stany Zjednoczone pozostają w bardzo dobrych relacjach i nie zmieni tego jeden incydent" – podkreśliła 28 listopada rzeczniczka rządu Joanna Kopcińska w oświadczeniu.

– Ambasada nie komentuje oficjalnej korespondencji dyplomatycznej – usłyszeliśmy z kolei z ust amerykańskich urzędników.

Czy ten kryzys może zaszkodzić projektowi stałej bazy US Army w Polsce? – pytam na koniec jednego z najważniejszych polityków obozu rządowego.

– Tam, gdzie chodzi o armię i grube miliardy, Amerykanie wystawiają profesjonalistów – odpowiada.

Sama ambasador na Twitterze podsumowała zamieszanie wokół swojego listu tak: „Relacje PL-USA są bardzo dobre, a moim priorytetem jest pogłębianie tej przyjaźni. Wśród podstawowych wartości niesamowicie ważnych dla USA i dla mnie są wolność słowa, wolność mediów i wolność intelektualnego dyskursu".

– Co się stało, to się stało. Dzisiaj powinniśmy współpracować i nie pozwalać naszym wrogom wykorzystywać tej sytuacji na szkodę relacji Polska-USA – podsumowuje minister Anna Maria Anders.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 3 GRUDNIA 2018

DZIEWIĘTNASTY ODCINEK SERII

Bitwa Warszawska

Zwycięstwo bez cudu. Jak uratowaliśmy świat przed komunizmem.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl 52d88eeb8a

Życie uczuciowe państwa

Premier Mateusz Morawiecki i ambasador USA w Polsce Georgette Mosbacher

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Polityka, która nie jest prowadzona pod kątem interesów, skazuje na gorzkie rozczarowania

Jestem dziwnie pewien, choć oczywiście udowodnić tego nie sposób, że pani ambasador Mosbacher swym listem okazała nam, we własnym przekonaniu, życzliwość. Oczywiście zrobiła to z gracją słonia w składzie porcelany czy raczej z uważaną w Europie za niedopuszczalną szczerością amerykańskich „business talks", ale w dobrej intencji. Uwaga, kochani Polacy, znowu włazicie na skórkę banana i zaraz znowu będziecie bici po de ze wszystkich stron, jak po tej nieszczęsnej ustawie, która tak rozjuszyła Żydów; lepiej od razu odpuśćcie.

To fakt, że akurat ten prezydent, który mianował ją ambasadorem w Polsce, zasłynął z łamania amerykańskiego tabu, którym jest jakakolwiek krytyka przez polityków tzw. wolnych mediów. Nawet w czasach wojny w Wietnamie, gdy amerykańskie media toczyły otwartą wojnę przeciwko własnemu państwu, walnie przyczyniając się do wiekopomnego upokorzenia Ameryki i zwycięstwa komunistów, prezydenci, a tym bardziej niżsi rangą politycy nie odważali się odmawiać im prawa do nastawiania opinii publicznej przeciw polityce władz. Nawet w czasach wojny w Zatoce Perskiej, kiedy to, wyciągnąwszy z poprzedniej klęski wnioski, amerykańskie władze wzięły swe media na bardzo krótką smycz, zachowywano tę smycz w pełnej dyskrecji i oficjalnie nikt się do żadnego cenzurowania mediów nie przyznawał, a tym bardziej tym nie chwalił. Donald Trump jest pierwszym prezydentem USA, który pozwala sobie na otwarte deprecjonowanie mediów. Jednak, po pierwsze, nie budzi to entuzjazmu nawet w jego własnym obozie. A po drugie – co wolno wojewodzie, to nie panu Brudzińskiemu albo innemu politykowi z prowincjonalnego kraiku aspirującego do amerykańskiej protekcji.

Oczywiście nawet w Ameryce ludzie nie są tacy głupi – w każdym razie nie wszyscy – żeby wierzyć, że amerykańskie media, nie mówiąc już o innych, naprawdę są niezależne. Są one uzależnione od swoich właścicieli, od reklamodawców, od politycznych sponsorów. Niby to wiadomo, wymyślono nawet na to uzależnienie eufemistyczne określenie „brand journalism" – ale jak to zwykle bywa, właśnie dlatego, iż rzeczywistość coraz bardziej odbiega od oficjalnie realizowanego ideału, tym usilniej dba się o pozory.

Czy można otwarcie przyznać, że media współczesne, szczególnie te elektroniczne, zarządzane przez koncerny będące immanentną częścią biznesowo-politycznych konglomeratów, wcale nie opisują rzeczywistości, tylko same stwarzają rzeczywistość alternatywną – a więc że

eprasa.pl 52d88eeb8a

nie dostarczają wyborcom przesłanek do podjęcia wyboru, tylko sterują ich wyborami poprzez manipulowanie emocjami, dostępem do wiedzy, narzucanie interpretacji, warunkowanie etc.? To by przecież znaczyło przyznać, że demokracja nie działa, i to coraz bardziej nie działa. Że wszyscy żyjemy w podobnym urojeniu, w jakim żyli przez z górą sto lat Rzymianie, rządzeni przez cesarzy i dworskie kamaryle, a wmawiający sobie, że są republiką i, jako „lud rzymski", suwerenem kontrolującym władzę przez swoich senatorów, konsulów, trybunów i innych obieralnych urzędników.

Dlatego właśnie zachowanie „wolności" mediów, czyli ich bezkarności w posługiwaniu się w interesie swych mocodawców wszelkimi metodami propagandy, włącznie z powszechnie potępianymi, ma tak kolosalne znaczenie. A tu władze polskie otwarcie oskarżają telewizję TVN o to, że jest politycznym narzędziem do destabilizowania państwa. Niechby nawet i była – ale tak mówić o telewizji należącej do firmy amerykańskiej nie wolno. Nawet jeśli jej amerykański właściciel z niewiadomych przyczyn pozwala, aby należąca doń telewizja nadawała program jak z marzeń Putina i jego służb – to na głos nie wolno i już.

Jednak Polacy nie tak dawno zachowali się, jakby nie wiedzieli, że nie wolno też podważać tabu holokaustianizmu, więc może nie wiedzą, na co się narażają, snując plany jakiejś kolejnej nieszczęsnej ustawy, tym razem o „dekoncentracji mediów". Pani ambasador lubi Polaków, więc chciała nam uświadomić, że znów leziemy prosto na urwisko. Tyle że zrobiła to kopniakiem, a nie łagodną perswazją.

@

Polacy zrozumieli z tego tylko tyle, że znowu zostali kopnięci. I nawet nie to boli, bo przecież już przywykliśmy – tylko że kopnął nas przyjaciel, któremu okazujemy tyle serca. Trump. Jak on mógł?

Po raz kolejny ujawnia się ta niepojęta polska niezdolność do zrozumienia, czym jest polityka międzynarodowa, a raczej, do przyjęcia do wiadomości, czym nie jest. Nie jest mianowicie formą życia towarzyskiego i uczuciowego. Nie rządzi się tymi prawami co stosunki międzyludzkie. Szczyty przywódców międzynarodowych to nie imprezy integracyjne, na których przywódcy państw mają się lepiej poznać, zadzierzgnąć przyjaźnie i sprawić, żeby polubiły się ich narody. A celem, któremu służą wszystkie te działania, umowy międzynarodowe i rezolucje, nie jest to, żeby po prostu było na świecie miło.

A nam się wciąż tak wydaje. Chcemy być dla wszystkich mili i nade wszystko zależy nam na jednym – żeby w zamian za to nas wszyscy polubili, pochwalili, a najlepiej użalili się publicznie nad naszym ciężkim losem.

Naprawdę nie mam już sił tego powtarzać. Zachowujemy się jak jakiś totalny „prawdziwek", który przyszedł szukać sobie przyjaciół w banku i wyszedł stamtąd mile połechtany i z polisolokatą. A kiedy przychodzą wezwania do zapłaty, nie może się posiadać ze zdziwienia – czyżby tym miłym ludziom chodziło tylko o jakieś przyziemne szwindle?

Polityka prowadzona nie pod kątem interesów, a pod kątem zaprzyjaźniania się, skazuje nas na gorzkie rozczarowania. Tak bardzo chcieliśmy się zaprzyjaźnić z Europą, a ona okazała się traktować nas jak swą kolonię. Remedium na tę zdradę miało być zaprzyjaźnienie się z Ameryką, ale i Ameryka, ilekroć w tej przyjaźni się zapomnimy, traktuje nas z buta. Co zabawne, tu nasze pokłady życzliwości są tak niewyczerpane, że nad każdym otrzymanym od Wuja Sama prztyczkiem, za który Niemcom albo Rosjanom zapisalibyśmy w duszy dożywotnią zemstę, przechodzimy do porządku dziennego i z łatwością na śmierć o nim zapominamy. Ameryka przecież raz już zdyscyplinowała rząd PiS bardzo stanowczo, gdy Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji próbowała nałożyć na TVN symboliczną karę w kwocie równej cenie bodaj 17 sekund reklamy emitowanej na tej antenie w tzw. prajmtajmie. Postawienie Polski do pionu było wtedy zręczniejsze, ale nie mniej stanowcze.

Tej tezy – że o sprawie, która pokazała, jak pryncypialne są USA i jak z punktu kończą się wszelkie pozory tej przyjaźni słonia z mrówką, kiedy ktoś choć symbolicznie zamachnie się na amerykańską własność, po prostu już na śmierć zapomniano – nie jestem do końca pewien. Nalot ABW na operatora TVN, uczestniczącego w prowokacji z „wafel SS", daje się wpisać w ciąg podobnych katastrof i zinterpretować jako celowy sabotaż wymierzony w Mateusza Morawieckiego. Jakoś przypadkiem tak się zawsze dzieje, że ilekroć udaje się PiS zbliżyć do celu, który wyznaczył był premierowi Komendant, i choć trochę uspokoić nastroje i relacje z Zachodem – np. kapitulując w sprawie sędziów Sądu Najwyższego – niemal natychmiast zdarza się coś, co znowu roznieca przygasający pożar i zmusza premiera do uganiania się z gaśnicą.

To oczywiście, powtórzę, przypadek, podobnie jak przypadkiem jest, że owe kolejne draki prowokowane są zawsze przez tę samą frakcję. I im bardziej one szkodzą PiS, tym frakcja ta wydaje się zyskiwać, a Komendant okazywać wobec jej wybryków coraz bardziej bezradny… Jednak to temat na osobny posubotnik.

@

Wróćmy do naszej polityki zagranicznej. Nie dość, że błąkamy się po całym świecie i szukamy przyjaciół, tak jak Koziołek Matołek Pacanowa, to jeszcze przyjaźnie budować chcemy na wspólnocie emocji. Jeśli ktoś jest nielubiany przez tych, którzy nie lubią i nas – oto murowany kandydat na kumpla!

Szukamy więc wspólnoty z antyestablishmentowymi ruchami zachodnimi, bo są one znienawidzone przez te same liberalne salony, które od kilku lat zioną nienawiścią do Polski. Jednak francuski Front Narodowy czy Alternatywa dla Niemiec wolą się lubić z Putinem, choć akurat z Putinem chętnie lubią się także owe liberalne salony. Bardzo chcieliśmy się polubić z „prawicowym" kanclerzem Austrii Kurzem, a ten nagle dowalił nam jak Timmermans, za naturalnego sojusznika uznaliśmy premiera Włoch Salviniego, a ten nam się odwdzięczył, oznajmiając, że powinniśmy wziąć część zalewających Włoch imigrantów, jak nie chcemy dobrowolnie, to pod przymusem tej samej Komisji Europejskiej, która go nie lubi i uwaliła mu budżet.

Człowiek prywatny, mając tak nieudane życie towarzyskie, albo popada w depresję i pije wódkę, albo – jak w sławnym opowiadaniu Mrożka – zostaje chuliganem i tłucze szyby. Państwo jako takie urżnąć się na smutno nie może, na chuliganienie jest zwyczajnie za słabe, ale podobnie jak odrzucony człowiek leczy kompleks niższości popadaniem w kompleks wyższości, rządzący szukają kompensacji, rzutując emocje nieudanej polityki zagranicznej na swych wyborców. A to już prosta droga do emocjonalnego paroksyzmu, który wymusza brnięcie w politykę jeszcze bardziej irracjonalną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Z prof. Waldemarem Paruchem, pełnomocnikiem premiera ds. utworzenia i funkcjonowania Centrum Analiz Strategicznych
rozmawia Kamila Baranowska

Jest w PiS syndrom roku 2007

KAMILA BARANOWSKA: Coraz częściej pojawiają się głosy, że rząd i cały obóz rządzący są w defensywie, że nie potrafią już kreować tematów, zarzucać pomysłami. Jak pan to widzi pół roku przed wyborami do Parlamentu Europejskiego i rok przed wyborami krajowymi?

PROF. WALDEMAR PARUCH: Premier Mateusz Morawiecki w swoim exposé rok temu nakreślił pewne zadania, było ich ok. 20, i nie były to zadania o charakterze rewolucyjnym. Zadaniem rządu Prawa i Sprawiedliwości na drugi okres rządzenia jest ustabilizowanie sytuacji i skonsumowanie reform przeprowadzonych w ramach tzw. dobrej zmiany. Dlatego trudno oczekiwać, że rząd będzie tak ofensywny, jak był w pierwszych dwóch latach. Takie podejście jest w dużej mierze odpowiedzią na wyraźny sygnał, wysyłany przez znaczną część społeczeństwa, które jest dziś zadowolone z życia, pełne optymizmu i nie czuje potrzeby dalszych, głębokich zmian. W pierwszym dwuleciu PiS przeprowadził fundamentalne zmiany, obiecane w wyborach w 2015 r., bardzo wiele parametrów życia codziennego zmieniło się na lepsze. Totalna opozycja wprowadziła jednak nieprawdziwą narrację, że mamy do czynienia z jakimś chaosem, rewolucją, radykalizmem. Dlatego teraz nad niektórymi kwestiami trzeba się głębiej zastanowić – czy i jak dokonywać zmian, aby one nie oddziaływały negatywnie w dniu wyborów.

Czyli łagodzenie kursu, a nie jego zaostrzanie?

O wynikach wyborów 2019 r. rozstrzygną wyborcy, którzy nie są politycznie ani ideologicznie zdeterminowani. Dzisiaj mamy polaryzację według jasnego schematu: ok. 20 proc. chodzi na wybory, żeby Jarosław Kaczyński wygrał, a 20 proc. chodzi na wybory, żeby Jarosław Kaczyński przegrał. Zwycięzcę zaś wskazują ci pozostali, którzy głosują z różnych powodów: kontekstowych, sytuacyjnych, wizerunkowych, interesownych.

Albo z powodu strachu przed PiS, tak jak w 2007 r.

Jest w PiS syndrom roku 2007. Tamten czas to okres najlepszych w dziejach III RP wskaźników gospodarczych. Paradoks polega na tym, że dobrą gospodarką nie wygrywa się wyborów, złą gospodarką na pewno się je przegrywa. Było wtedy wyraźnie widać, że Polacy są optymistycznie nastawieni do rzeczywistości i, mówiąc w uproszczeniu, zamiast wielką polityką wolą się zajmować grillowaniem, chcą spokoju. PiS poszło wbrew tym oczekiwaniom i postawiło na pogłębianie reform, rozciągnięcie ich na inne obszary, na mocną walkę z korupcją. Dzisiaj znów mamy bardzo dobre wskaźniki makroekonomiczne i wyciągając wnioski z 2007 r., trzeba pozwolić ludziom w spokoju konsumować ów dobrobyt, bo oni tego właśnie chcą. Nie da się w demokratycznym państwie rządzić wbrew oczekiwaniom społecznym, zwłaszcza gdy nie jest się na zakręcie, a w Polsce nie mamy żadnego stanu rewolucyjnego. Jednocześnie odpowiadanie na oczekiwania społeczne nie może oznaczać, że rząd będzie tylko administrował.

Platforma Obywatelska rządziła w ten sposób dwie kadencje.

PiS jest klasyczną partią zmiany i trudno byłoby jej nagle przekształcić wizerunek na partię, która tylko zarządza i administruje. Natomiast potrzebna jest refleksja nad tym, co zmieniać i jak głęboko zmieniać, żeby nie tracić akceptacji społecznej.

Tej refleksji zabrakło przy reformie wymiaru sprawiedliwości. Obóz rządzący stracił mnóstwo energii, a efekty dla zwykłego obywatela są nieodczuwalne.

Oczekiwania społeczne co do reformy wymiaru sprawiedliwości są dość precyzyjne: 80 proc. społeczeństwa negatywnie ocenia funkcjonowanie sądów, ale też wysyła bardzo jasne oczekiwania, co trzeba zmienić – chodzi np. o zmianę języka, jakim sędziowie komunikują się z obywatelami, o zmianę ich stosunku do interesantów. Tego nie da się zrobić w rok, a nawet w trzy lata, a dla ludzi to jest najważniejsze.

To dlaczego reformę sądownictwa zaczęto od zmian kadrowych?

Sądownictwo jest zhierarchizowane i kształtowane odgórnie, nie oddolnie, i nie dało się go zreformować, zaczynając od dołu. Dla zasadniczej większości Polaków sądy nie są synonimem sprawiedliwości, a nie może dobrze funkcjo-

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl/52d88ecb8a

nować państwo demokratyczne, w którym jedna z władz ma minimalne zaufanie społeczne i w którym obywatele powątpiewają w sprawiedliwość wyroków sądowych. Te zmiany trzeba było przeprowadzić i trzeba będzie je mądrze dokończyć.

Na razie mamy wycofanie się ze zmian w Sądzie Najwyższym, co jest interpretowane jak kapitulacja rządu.

Ostatnie zmiany w ustawie o Sądzie Najwyższym zmieniły tylko kwestie emerytalne, to nie jest tak, że zrezygnowano z reformy tej instytucji, że wycofano się z nowych rozwiązań strukturalnych. Czy ta szczegółowa w sumie kwestia będzie rzutowała na całość reformy wymiaru sprawiedliwości? Moim zdaniem nie. PiS, chcąc kontynuować reformę wymiaru sprawiedliwości, musi to robić rozsądnie, by jednocześnie uniemożliwić opozycji narrację o polexicie. W tym sensie kompromis z Brukselą to bardzo dobry krok w kierunku rozbrojenia tej szkodliwej dla PiS narracji. PiS jest partią typowo europejską, która od samego początku opowiada się za obecnością Polski w Unii. Porozumienie Centrum chyba jako pierwsza partia wpisało wejście Polski do wspólnoty europejskiej do swojego programu. Tymczasem, jak pokazały wybory samorządowe, dla części wyborców nie miało to znaczenia, bo łatwo poddali się manipulacji o polexicie. Co ciekawe, bardziej podatni na manipulację okazali się mieszkańcy dużych miast.

Czy obóz rządzący ma pomysł, jak tych mieszkańców dużych miast do siebie przekonać? To oni mogą przesądzić o wyniku eurowyborów.

Myślę, że PiS jest właśnie na etapie tworzenia strategii politycznej. Każde wybory muszą mieć swoją strategię, nie jest tak, że za pomocą jednej i tej samej strategii można wygrywać wszystkie możliwe wybory. Wiemy z analiz naukowych, że wygrywanie wyborów przez ostatnie dekady poważnie się zmieniło. Skończyło się myślenie kategoriami: lewica, prawica, centrum i rozumowanie, że jak PiS pozyska owo mityczne centrum, to na pewno wygra. Kluczem do zwycięstwa są chwiejni, niezdecydowani wyborcy, którzy nie rozumują politycznie, tylko kierują się kontekstem, sytuacją, wizerunkiem, emocjami. To oni wskazują zwycięzcę wyborów.

Skoro każde wybory muszą mieć własną strategię, to znaczy, że kampania PiS w 2019 r. będzie się zasadniczo różnić od tej z 2015 r.?

Żadnych wyborów, żadnej kampanii powtórzyć się nie da. PiS będzie w innej sytuacji – obrońcy pucharu, co ma swoje wady i zalety. Z jednej strony partia rządząca dysponuje sporymi zasobami, które się wiążą z rządzeniem i do których opozycja nie ma dostępu. Z drugiej strony, w opozycji można rządzących bezkarnie krytykować. Pamiętajmy też, że w 2015 r. PiS wygrał wybory wbrew prawie wszystkim mediom, które w większości przedstawiały ten sam obraz rzeczywistości. Dzisiaj PiS jest w sytuacji o tyle dobrej, że media są dużo bardziej pluralistyczne, zwłaszcza widać to w telewizji. Kolejna dokonana zmiana to redystrybucja prestiżu. Obecnie możliwość kontaktowania się z Polakami mają ludzie: dziennikarze, eksperci, artyści, którzy przedtem nie mogli pojawić się w żadnej telewizji, bo ich nie zapraszano. Wybory 2019 r. nie będą wyborami, które tylko wskażą rządzących, one rozstrzygną, czy dobra zmiana będzie kontynuowana i zostanie ugruntowana na wielu różnych poziomach, czy – jak zapowiada Grzegorz Schetyna – będziemy mieli powrót do sytuacji sprzed 2015 r.

Pana zdaniem oferta powrotu do stanu sprzed 2015 r. może dziś przekonać wyborców?

Opozycja będzie próbowała zrobić zarówno z wyborów do PE, jak i z wyborów krajowych plebiscyt oraz pobudzić antypisowską falę. Pytanie, czy uda się tak rozhuśtać łódkę, aby ta fala zaistniała. Moim zdaniem samym hasłem powrotu do sytuacji sprzed 2015 r. nie wygra się już w Polsce wyborów. Polacy już raz odrzucili tę rzeczywistość polityczną z jej atmosferą zgnuśnienia, sparaliżowania aktywności ludzkiej, zablokowania dróg awansu. PiS wietrzy instytucje państwowe i daje szansę ludziom, którzy do tej pory byli bez szans. Teraz pewnie to samo będzie robił w samorządach. Mądrze byłoby zainwestować w pokolenie, które może dać PiS zwycięstwo, czyli pokolenie 18–39, dać im szansę, nawet jeśli są spoza środowiska partyjnego. To jest prawdziwy test dla PiS.

Inwestycje w młode pokolenie nie zawsze się zwracają, jak choćby w przypadku byłego już szefa KNF Marka Ch. Ta afera mocno zaszkodziła obozowi rządzącemu?

Mogła zaszkodzić, ale fakt, że rządzący zareagowali szybko i prawidłowo, sprawił, że nie przyniosła wielkich politycznych strat. Wszystkie instytucje finansowe, polityczne, służby specjalne zadziałały dobrze, jawnie, w ciągu kilku dni, a nie kilkunastu miesięcy. Z badań wychodzi, że Polacy zauważyli sprawę KNF, ale za bardzo się nią nie przejęli, bo nic to w ich życiu nie zmieniło.

Na razie z poszczególnych kryzysów PiS wychodzi bez większych strat. Jednak czy nie jest tak, że kamyczek do kamyczka się odkłada i przed wyborami może runąć lawina?

Te drobne kamyczki same z siebie lawiny nie uruchomią, o wiele bardziej niebezpieczne jest popełnienie błędu dużego, który uruchomi lawinę nie do powstrzymania. Jeden błąd na tym etapie może PiS bardzo wiele kosztować. Na razie jednak sytuacja jest dobra. PiS udało się trwale ustabilizować poparcie na poziomie ok. 40 proc. Rząd PiS, najpierw Beaty Szydło i teraz Mateusza Morawieckiego, jest pierwszym, który nie ma poziomu poparcia i zaufania społecznego typu skocznia narciarska: zaczynamy wysoko, a potem następuje ostry spadek. Tutaj mamy model piły: są skoki, spadki, ale one nie są wielkie. To swoisty fenomen, wszystkie poprzednie rządy po dwóch latach zaliczały duże spadki. W przypadku PiS wymiana premiera była czynnikiem, który ustabilizował poparcie na wysokim poziomie. Niebezpieczeństwo polega na tym, że wola zmiany w społeczeństwie nie pojawia się wtedy, kiedy jest bardzo źle, ale wtedy, kiedy oczekiwania tak eksplodują, że rzeczywistość nie będzie w stanie im sprostać.

Czy niebezpieczeństwem dla PiS nie jest powrót Donalda Tuska?

Po pierwsze, Polacy nie są skłonni ufać po raz kolejny politykom, którzy odeszli już na polityczną emeryturę, a tak jest traktowany wyjazd Donalda Tuska. Po drugie, nie wiadomo, czy Tusk będzie miał do czego wracać, bo wybory samorządowe pokazały, że Schetyna jest sprawnym liderem opozycji. Po trzecie, wszystko rozstrzygną wybory parlamentarne w 2019 r. Jeśli PiS je wygra i będzie rządził, to Tusk w żadnych wyborach nie wystartuje. Już raz przegrał wybory prezydenckie w 2005 r. i to tkwi w jego świadomości. Politycy na tym poziomie kariery politycznej zaczynają myśleć o tym, co napiszą o nich historycy. Nie mając pewności wygranej, Tusk nie zaryzykuje. Natomiast gdyby PiS wyborów nie wygrał, to byłby to bez wątpienia czynnik wzmacniający kontrkandydata Andrzeja Dudy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Piotr Gociek

Rząd złapał zadyszkę, zbiera ciosy z każdej strony. Gdy PO była w kryzysie przed wyborami w 2011 r., Donald Tusk wymyślił tuskobus, ruszył w Polskę i wygrał kampanię. Co powinien zrobić PiS?

Moja piątka

Nie korzystać z dróg jednokierunkowych „Drogami jednokierunkowymi" określam te rady udzielane PiS od czasu wyborów samorządowych, które kuszą swoją prostotą i pozorną oczywistością. Chociaż pochodzą z różnych stron, łączy je przekonanie, że przyszedł czas na poświęcenie „czegoś w imię czegoś". Z jednej strony mamy wołanie, którego dobrym przykładem był powyborczy tekst Michała Karnowskiego na wPolityce.pl: „Skoro bez względu na aktywność i jakość kandydata poparcie dla propozycji prawicowej zamyka się w przedziale 20–35 proc., to może trzeba uznać, iż taki jest dzisiaj ich kształt strukturalny. Mieszkańcy aglomeracji są tak zadowoleni z obecnego kształtu państwa, że nie da się ich obecnie dla projektu zmian pozyskać. Może więc warto stanąć twardo na ziemi i skupić się na tych, którzy zmian chcą?". Krótko mówiąc, odwrócony cytat z Bursy: „mam w d… duże miasta" zamiast „małe miasteczka".

Pokusa wielka, ale pomysł głupi. Wygrana PiS w wyborach parlamentarnych 2015 r. była efektem opanowania sztuki gry na wielu fortepianach jednocześnie. Tak zresztą było i w kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. Różne przekazy do różnych grup. Proszę wspomnieć tamte dni – nikt nie czuł się z narracji PiS wykluczony – ani matki wielodzietne, ani przedsiębiorcy, ani mieszkańcy wsi, ani wielkich miast. Ani „smoleńczycy", ani „normalsi". Tak czasem jest w polityce, że wielki nakład sił przynosi małe efekty, taki mały efekt może odgrywać rolę języczka u wagi. Ugrupowanie Kaczyńskiego wygrało tamte wybory z poważną przewagą także dlatego, że w wielu dużych miastach zmniejszyło dystans między PO a PiS. Skoncentrowanie się teraz na tych miejscach, gdzie i tak się wygrywa, to ryzyko jeszcze cięższych strat w miastach.

Błędna rada z drugiej strony, formułowana przez, najogólniej mówiąc, rozmaitych „konserwatystów umiaru": odpuścić, złagodzić, zawrzeć kompromis, pojednać się, „otworzyć na centrum". Ci, którzy owych rad udzielają, powinni przyjrzeć się uważnie najświeższej lekcji, jakiej udzieliła Polsce Komisja Europejska, która mimo wycofania się PiS z najważniejszych zmian w Sądzie Najwyższym nie wycofała swojej skargi do TSUE. Dla polskiej prawicy to nie nowość: także na krajowym podwórku „kompromis" zawsze oznaczał „wy macie zrezygnować ze wszystkiego, a my – to się zobaczy", przy czym „to się zobaczy" oznaczało gest Kozakiewicza. PiS potrzebuje korekt, a nie rewolucji, co nie oznacza, że nie stoi przed trudnymi decyzjami.

Pomysł na eurowybory Oto jedna z nich: znaleźć sposób na właściwe rozegranie kampanii do Parlamentu Europejskiego. Frekwencja mniejsza niż w wyborach parlamentarnych, niewielka na prowincji, duża w wielkich miastach, majacząca na horyzoncie zblokowana lista opozycji i mocne nazwiska na „jedynkach" przeciwnika. A także wiszące nad kampanią widmo hasła „polexit", za którego wprowadzenie do debaty publicznej „Platforma będzie się smażyć w piekle" – jak to malowniczo ujął Adam Bielan.

Opozycja będzie chciała przekształcić kampanię wyborczą do europarlamentu w referendum: „Czy jesteś za obecnością Polski w Unii Europejskiej czy przeciw?". Jeśli uda się jej narzucić taką narrację, to rezultaty będą dla PiS zgubne. Tymczasem PiS potrzebuje zwycięstwa w tych wyborach bardziej, niż chce przyznać, oraz bardziej, niż pojmują to niektórzy jego politycy.

Powody są dwa: wewnętrzny i zewnętrzny. Pierwszy to potrzeba kontynuacji pasma zwycięstwa, walki o „premię dla lidera", walki o jak najlepszą pozycję wyjściową przed jesiennymi wyborami do Sejmu. Drugi to konieczność wprowadzenia do Parlamentu Europejskiego jak największej reprezentacji, bo szykuje się tam wielkie trzęsienie ziemi, w wyniku którego mapa klubów i sojuszy zostanie wyrysowana na nowo. Im silniejszy będzie tam PiS, tym większy udział będzie miał w kształtowaniu nowego porządku w PE. Taki przecież był cel zawetowanych przez prezydenta Dudę zmian w ordynacji, która premiowała duże ugrupowania. PiS chciał zwiększyć stan posiadania w europarlamencie nawet kosztem tego, że więcej będzie miała Platforma. Dzisiaj stoi przed groźbą zmniejszenia swych wpływów.

Oznacza to, że PiS musi zmodyfikować swoje plany na eurowybory. Konstelacja kandydatów na listach to nie może być grupa zasłużonych urzędników Porozumienia Centrum w oczekiwaniu na sutą brukselską emeryturę. PiS potrzebuje w tej kampanii bardzo mocnych, ale i oblatanych w sprawach międzynarodowych kandydatów. Kierunek powinien wyznaczać Jacek Saryusz-Wolski, a nie Krzysztof Jurgiel. To jednocześnie stoi w sprzeczności z podpowiedziami, że przecież by mobilizować elektorat poza

eprasa.pl 52d88eeb8a

miastami, potrzebni są lubiani tam politycy. Widać więc, jak trudne zadanie przed PiS.

Moim zdaniem droga do wygranej jest jedna. PiS musi przedstawić się jako ugrupowanie, które idzie do PE, by uratować Europę przed ekstremistami: tymi, którzy tak jak Le Pen chcą Unię pogrzebać, i tymi, którzy tak jak ideologiczni patroni oraz idole PO z Brukseli chcą ją przerobić na superpaństwo, w którym kraje narodowe nie mają nic do gadania.

Porządek w szafach Tutaj sprawa jest prosta i oczywista: jeśli PiS nie zrobi porządku w swoich szafach, to zrobi to za nie opozycja w obu najbliższych kampaniach wyborczych. Porządki powinny być gruntowne. Tak, wiem, że to niesprawiedliwe: dlaczego Donaldowi Tuskowi ma uchodzić na sucho twierdzenie, że „o pracy syna dowiedział się z mediów", a Kaczyński ma się tłumaczyć z tego, że nie wie, gdzie pracuje syn Mariusza Kamińskiego, ale nikt nie mówił, że polityka jest sprawiedliwa.

Polityka „zero tolerancji" jest jedynym ratunkiem dla partii, która przecież szła do wyborów, obiecując, że na pewno nie będzie taka jak jej poprzednicy, tymczasem coraz częściej próbuje się tłumaczyć słowami: „Skoro tamtym było wolno, to wolno i nam". Otóż nie wolno z powodów ideowych i praktycznych. Ideowe są oczywiste: kto prowadzi moralną rewolucję, ten nie może mieć lepkich rąk ani małżonków i pociotków na synekurach od samorządu do Banku Światowego. Praktyczne względy są jeszcze bardziej oczywiste i przez prawicę ćwiczone w poprzednich dekadach III RP – dajcie im ćwierć powodu, a zrobią z was miazgę.

Te wielkie porządki powinny też objąć rząd. Teraz, przed końcem roku, nie w maju, nie w czerwcu, kiedy wszelkie zmiany będą wyglądały na pływanie rozpaczliwcem.

Komunikacja Nie, nie chodzi o transport publiczny. Pamiętam, jak w schyłkowych czasach rządów PO jej politycy jak zaklęcia powtarzali, że wszystko robią dobrze, ale szwankuje komunikacja z wyborcami. PiS na tym etapie jeszcze nie jest, ale robi wiele, by jego nadejście przyspieszyć. Od pewnego czasu ma bowiem wielki problem z wytłumaczeniem nawet swoim najtwardszym wyborcom, dlaczego pewne rzeczy robi, a innych nie. Łatwo wskazać kluczowe momenty dla narastania tego procesu: spór z prezydentem Andrzejem Dudą o kształt reformy sądownictwa, potem niepotrzebna awantura o nowelizację ustawy o IPN (włącznie z jej międzynarodowymi reperkusjami), teraz kłopot z przyjęciem spójnej narracji w sprawie ustępstw przed Komisją Europejską i TSUE.

Tam, gdzie nie ma dobrego pomysłu na przekaz, wkradają się rozprężenie, wahanie i chaos. Wtedy na czołówkach mediów zaczynają królować wypowiedzi zupełnie niepotrzebne i szkodliwe: a to, że PiS się czuje jak Żydzi w czasach Hitlera, a to, że TVN to ruskie pieniądze albo że czas zabrać koncesje i rozpędzić na cztery wiatry wszystkich, którzy rządu nie wspierają. Im pomysł dzikszy, tym większej bezsilności jest wyrazem, a bezsilność to zawsze oznaka nadchodzącej klęski.

Elementem tego problemu jest także zarządzanie mediami publicznymi, w przypadku których przekonanie, że przede wszystkim muszą być słuszne, a to, czy są oglądane albo słuchane ma znaczenie drugorzędne, za chwilę okaże się samobójcze.

Odzyskanie inicjatywy Ta ostatnia sugestia wiąże się bezpośrednio z poprzednią. Trudno formułować jasne komunikaty, kiedy nie prowadzi się jasnej polityki. PiS złapał zadyszkę, dopadły go naturalne po trzech latach kadencji zużycie i syndrom wyczerpania. W którą stronę się nie odwróci, bierze baty: od Komisji Europejskiej, od TSUE, od ambasador Mosbacher, od opozycyjnych mediów grzejących aferę KNF.

Morawieckiego

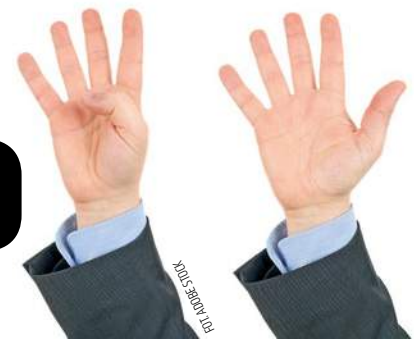
FOT. ADOBE STOCK

Tam, gdzie nie ma dobrego pomysłu na przekaz, wdzierają się rozprężenie, wahanie i chaos

„Skończyła się ofensywa PiS" – mówił politolog Rafał Chwedoruk w wywiadzie dla portalu Wiadomo.co. – Pojawiło się coś na kształt wojny pozycyjnej, gdzie obie strony są zdolne do odnoszenia taktycznych sukcesów. Być może Polska polityka wróciła do stanu sprzed ostatnich wyborów parlamentarnych; wiemy, że PiS wygra, ale do ostatniej chwili nie będziemy wiedzieć, kto będzie miał ile mandatów w Sejmie".

Żeby wyjść z okopów i poprowadzić zwycięską ofensywę, potrzebne jest PiS odzyskanie inicjatywy, narzucanie własnej agendy, jak udawało się to robić w pierwszej części kadencji. Powtarzaniem, że jest „500+" i że PO pozwalała hulać mafiom VAT, wyborów się nie wygra.

Co to mogłoby być? „500+" na każde dziecko? Radykalna obniżka podatków dla przedsiębiorców? „Emerytura Plus" dla seniorów? Pytajcie Morawieckiego, pytajcie Kaczyńskiego. Może znają odpowiedź.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Robert Biedroń, czyli wydmuszka

FOT. OMAR MARQUES/ZUMA/FORUM

Łukasz Warzecha

Zrobiłem to. Przeczytałem dla państwa książkę „Nowy rozdział" Roberta Biedronia. Proszę to docenić, bo to bardzo męcząca lektura. Chociaż może błędem jest nazywanie tego ponaddwustustronicowego woluminu książką – to w istocie rozbudowana ulotka wyborcza

Dlaczego książkowa ulotka Biedronia, przez wielu uznawanego za nadzieję polskiej nowoczesnej lewicy i całej sceny politycznej, jest męcząca? Po pierwsze – z czysto językowych powodów. Obsesyjne dodawanie we wszystkich możliwych miejscach żeńskiej formy rzeczowników („Polki i Polacy", „Finki i Finowie", „eksperci i ekspertki", „obywatelki i obywatele") to klasyczny przejaw lewackiej politpoprawności, brzmiący całkowicie nienaturalnie. Chociaż przyznać trzeba, że nie używa Biedroń wynalazków wprost z „Gazety Wyborczej" w rodzaju „polityczki" czy „naukowczyni". Męcząca jest też maniera używania jak najkrótszych zdań – to widocznie podpowiedział Biedroniowi jakiś specjalista od przekazu i PR. Sprawia to jednak wrażenie, jakby autor wątpił w zdolność czytelników do zrozumienia zdania wielokrotnie złożonego.

Po drugie jednak – co ważniejsze – książka Biedronia męczy swoją zaskakującą miałkością. Jeśli ktokolwiek spodziewał się po zawodowym homoseksualiście polskiej polityki czegokolwiek odkrywczego, mocno się zawiedzie. Paradoks polega na tym, że Biedroń – odmieniając przez wszystkie przypadki pojęcia zmiany, nowoczesności i nowatorstwa – nie jest w stanie w żadnym momencie wyjść poza przygnębiające banały lub, w najlepszym przypadku, ograne lewicowe schematy. Nie ma w tym żadnej świeżości. Jest za to zaskakujący pokaz intelektualnej niemocy.

Jeśli „Nowy rozdział" potraktować jako podsumowanie politycznego credo Biedronia, to jest ono oparte na manipulacji – oczywiście również ogranej i nienowej. Biedroń stwierdza, że chce Polski otwartej, tolerancyjnej, dla wszystkich – zarazem całkowicie wykluczając z kręgu swojego zainteresowania wszystkich, których poglądy mu nie odpowiadają. Robi to jednak w sposób domyślny, nie wprost, milcząco. Rozpisując się o konieczności ograniczenia roli Kościoła, skasowaniu religii w szkołach, potrzebie otwarcia na imigrantów – nie wyjaśnia, co ma zamiar począć z tymi Polakami (i Polkami), którym takie ustawianie państwa nie odpowiada. Polska ma być dla wszystkich, ale już nie dla tych, którzy imigrantów tu nie chcą albo chcą, żeby w urzędach nadal wisiały krzyże?

ZACZĄĆ OD WDZIĘCZNOŚCI

Łatwo przewidzieć, co odpowiedziałby Biedroń – uciekłby się do kolejnej klasycznej lewicowej manipulacji, przedstawiając swoje propozycje i koncepcje jako „neutralne", a koncepcje oponentów jako „ideologiczne", podczas gdy w rzeczywistości mamy do czynienia albo z konfliktem dwóch ideologii, albo – częściej – lewicowej ideologii z tradycją, wartościami, historią. Ulotka Biedronia jest tak przesycona banałami, że można odnieść wrażenie, iż autor korzystał z jakiegoś generatora treści – takiego jak krążące za PRL tabelki, na podstawie których można było zestawić przemówienie pierwszego sekretarza, a w czasach nowszych, w postaci memów, generatory treści wystąpień Donalda Tuska czy Beaty Szydło. Oto próbka:

„Nie rozwiążemy problemów, jeśli będziemy się skupiać na utrwalonych podziałach i etykietach. Musimy szukać przede wszystkim dobrych pomysłów i ludzi, którzy mogą zostać przywódcami nowego typu, a nie zamykać się w szufladkach z nazwami różnych nurtów politycznych i ideologii".

Przy czym Biedroń sam, bez najmniejszej wątpliwości, zamyka się w szufladce progresywnej lewicy:

„A przecież każdy z nas może budować codziennie zadowolenie z drobnych rzeczy. Najlepiej zacząć od wdzięczności za niewielkie sprawy: nie było korków, wypiłem dobrą kawę, udało mi się coś załatwić, ktoś się do mnie uśmiechnął".

To jak z poradnika małego psychologa „Jak zostać szczęśliwym w dwa dni".

„Zmiana władzy to za mało. Potrzebujemy większej i głębszej zmiany: musimy znów odświeżyć nasze marzenia, przypo-

eprasa.pl 52d88eeb8a

mnieć sobie, po co nam wspólne państwo, i zacząć je razem budować. Ta zmiana nie dokona się, jeśli wciąż będziemy oddawać władzę innym. Nie wystarczy wybrać innych polityków, wszyscy musimy stać się obywatelami".

Te „głębokie spostrzeżenia" okraszone są cytatami – a to z Zygmunta Baumana, a to z Naomi Klein, a to z Rafała Matyi (Biedroń obficie powołuje się na jego „Wyjście awaryjne"), a to – co ciekawe – z Tadeusza Kościuszki, którym były prezydent Słupska wydaje się szczególnie zafascynowany. Z naczelnika powstania z roku 1794 robi kogoś na kształt lewicowego i progresywnego trybuna ludowego swoich czasów.

Biedroń nie atakuje PiS ponad miarę, ale nie ma wątpliwości, że obecna władza jest dla niego czarnym charakterem. Zaczepia ją tu i tam w swojej książce, często zresztą bez sensu i kłamliwie. „Prawo i Sprawiedliwość potępia opresję doświadczaną przez Polaków, ale pochwala uciskanie innych narodów" – pisze np. Biedroń. Oczywiście nie załącza żadnych cytatów, bo takich by nie znalazł.

Najważniejsze jednak, że rozbudowana ulotka Biedronia, nawet jeśli są w niej miejscami trafne (ale nie odkrywcze) diagnozy, tak jak w przypadku krytyki nadmiernego mieszania się państwa w życie obywateli, zawiera wyłącznie pobożne (lub raczej: laickie) życzenia. W żadnym natomiast miejscu nie proponuje konkretnych rozwiązań – instytucjonalnych, ustawowych, finansowych. Nawet na najbardziej ogólnikowym poziomie.

JAK ZMIENIMY POLSKĘ

Biedroń postuluje np., żeby państwo prowadziło nieustanny dialog ze wszystkimi (no, może prawie ze wszystkimi, bo przecież nie z narodowcami czy Kościołem). Pisze: „Uważam, że powinniśmy przejść od dialogu trójstronnego do dialogu wielostronnego. Powinien on uwzględniać interesy nowych grup społecznych: środowisko młodych przedsiębiorców i start-upy, organizacje pozarządowe czy środowisko kobiet w biznesie. Reprezentują nowe zjawiska i grupy, a ich głos nie był wcześniej słyszany. Stworzenie nowych form dialogu w ramach państwa to wielkie wyzwanie" – mądrze stwierdza Biedroń i… w tym miejscu rozdział się kończy. Nie ma nawet próby wyjaśnienia, jak wybierać organizacje do takiego dialogu, bo przecież wszystkie funkcjonujące w Polsce nie mogą w nim uczestniczyć. To recepta na jego kompletną jałowość.

Inny przykład: Biedroń słusznie zwraca uwagę, że państwo nie kontynuuje strategicznych programów, bo każda kolejna władza tworzy nowe (ale nie zauważa choćby przypadku gazoportu). „Dziś plany naszego państwa często ograniczają się do perspektywy najbliższych 4 czy 5 lat" – biadoli. Aż prosi się, żeby ten wątek zamknąć choćby ramową propozycją – np. wprowadzeniem do polskiej ustawy zasadniczej ustaw konstytucyjnych, których przegłosowanie oraz zmiana wymagałaby większości kwalifikowanej, choćby czterech piątych głosów. Jednak nie – znów nie dowiemy się, jaką Biedroń widzi tu radę.

Tam zaś, gdzie jest mowa o jakimś w miarę konkretnym rozwiązaniu, Biedroń poraża powierzchownością. Stwierdza np., że Europejczycy mogliby wybierać „prezydenta Europy". Nie znajdziemy jednak odpowiedzi na pytanie, jak zorganizować demokratyczny wybór w sytuacji, gdy Niemcy mają 82 mln mieszkańców, a Czechy – osiem razy mniej.

Jasne jest, że Biedroń próbuje wejść w buty Emmanuela Macrona – choć wątpliwe, czy chciałby być na miejscu francuskiego prezydenta, który trochę ponad rok po wyborze cieszy się rekordowo niskim poparciem na poziomie 26 proc. Stąd próby ustawiania się poza dotychczasowym podziałem politycznym, pomstowanie na etykiety i partyjny establishment oraz niezgoda na wejście do Koalicji Obywatelskiej, która ściągnęła na Biedronia gniew „Wyborczej" (były prezydent Słupska pobieżnie i bez konkretów wspomina o tym w książce).

To jednak blaga, co pokazuje część IV ulotki-książki: „Jak zmienimy Polskę". Postulowane przez Biedronia rozwiązania nie pozostawiają wątpliwości, do jakiego obozu politycznego należy. Mamy więc wszystkie elementy żelaznego asortymentu walczącej ideologicznej lewicy. Jest mowa o szerokim otwarciu na imigrantów, przy czym Biedroń uparcie miesza pojęcie imigrantów zarobkowych z imigracją socjalną, która zalała po 2014 r. Europę Zachodnią. Nie wspomina, rzecz jasna, ani słowem o zagrożeniach wynikających z niekompatybilności kulturowej albo związanych z terroryzmem. Jest mowa o urządzaniu miast na lewicową modłę i restrykcjach wobec kierowców. Pojawia się nawet nazwisko guru skrajnej lewicy w tej dziedzinie, byłego burmistrza Bogoty Enrique Peñalosy. Jest, rzecz jasna,

ROBERT BIEDROŃ „NOWY ROZDZIAŁ" EDIPRESSE KSIĄŻKI

wątek związków partnerskich (choć nie małżeństw – Biedroń tego słowa nie używa) osób tej samej płci oraz – co jak na polskie warunki jest postulatem skrajnym – adoptowania dzieci przez homoseksualistów. Jest też o zdejmowaniu krzyży w urzędach i wyrugowaniu nauki religii ze szkół.

We wszystkich tych sprawach Biedroń stosuje bardzo prymitywne i bardzo zgrane manipulacje. Pisze: „Tylko świeckość pozwala na konstruktywną, opartą na racjonalnych argumentach debatę publiczną, która nie wyklucza nikogo z powodu jego osobistych przekonań i światopoglądu. Tymczasem dyskusje, które odbywają się w Polsce, jak te o aborcji, związkach partnerskich czy nauczaniu religii w szkołach, przestają być dyskusją społeczną, a stają się sporem ideologicznym". Co to jest „dyskusja społeczna" – nie wiadomo. Ten termin jest chyba autorskim wymysłem Biedronia. Jest natomiast jasne, że we wszystkich wymienionych przez niego sprawach mamy do czynienia z fundamentalnym konfliktem wartości, a nie ze starciem ideologów z jednej strony a trzeźwych i neutralnych zwolenników „państwa świeckiego" z drugiej, jak pokazuje to Biedroń.

Książkowa ulotka Biedronia spełnia w gruncie rzeczy pożyteczną funkcję: pokazuje, do jakiego stopnia naczelny gej III RP, w którym część lewicy pokłada tak wielkie nadzieje, jest wydmuszką. Ani krzty oryginalności, płaskość analiz, brak konkretów – za to uśmiech jak z kolorowego pisemka i brylowanie w przychylnych mediach. Jeśli już szukać autentyczności i głębszej refleksji po lewej stronie, to zdecydowanie więcej znajdzie się jej w Partii Razem czy w środowisku „Krytyki Politycznej".

W ubiegłym tygodniu, zaledwie po tygodniu od wyboru, Robert Biedroń zrezygnował z mandatu radnego w Słupsku. Nie wyjaśnił przyczyn (do chwili, gdy kończę pisać ten tekst), ale po lekturze „Nowego rozdziału" i na podstawie dotychczasowej działalności Biedronia nietrudno się ich domyślić. Praca zwykłego radnego w powiatowym mieście to ciężka, mało spektakularna robota. Koniec ze służbowymi podróżami za miejskie pieniądze i z fotografowaniem się z gwiazdami jako prezydent Słupska. Szeregowy radny to dla ambitnego lewicowego działacza za mało – on czuje się stworzony do wyższych celów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

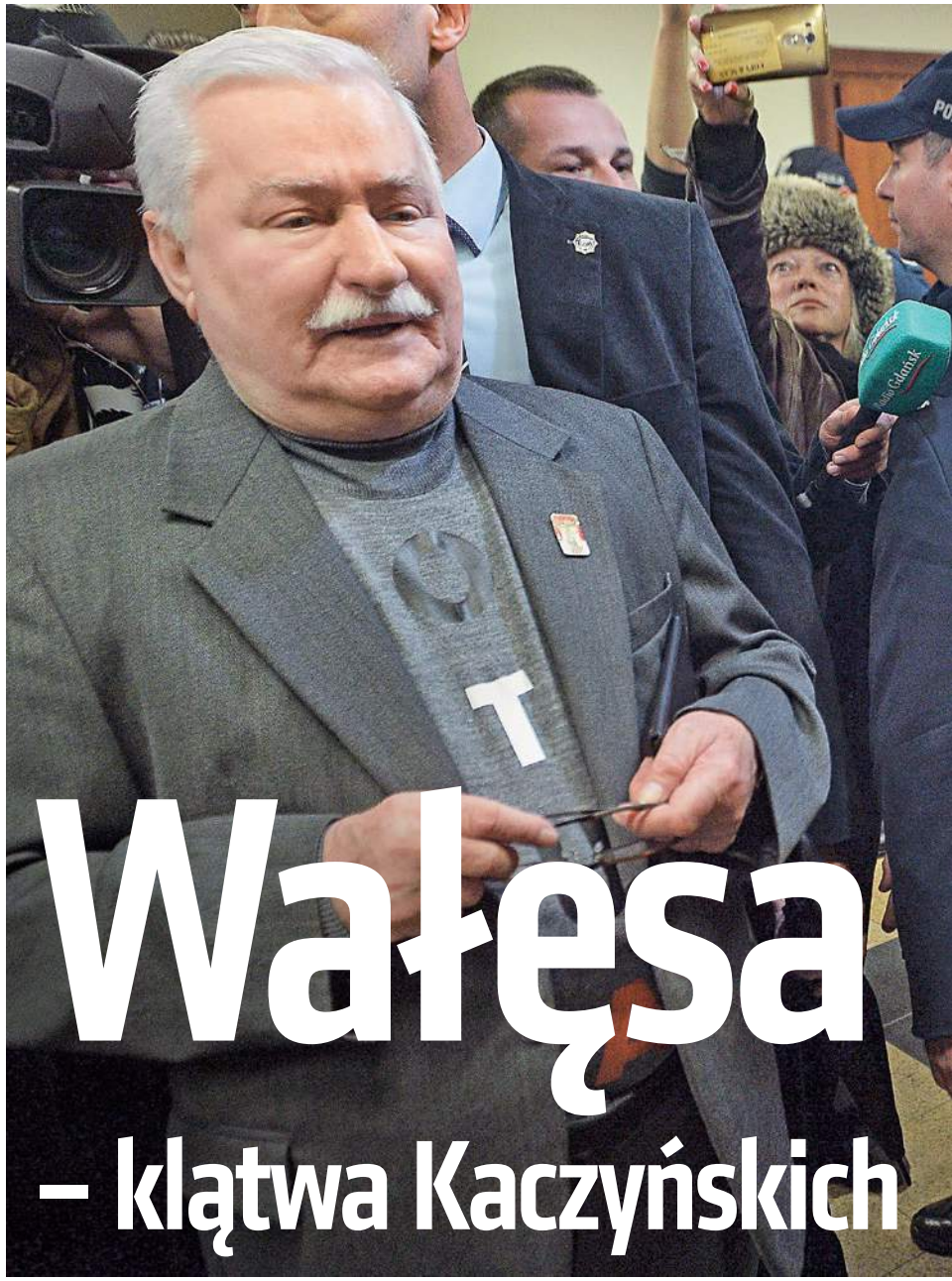

Wałęsa – klątwa Kaczyńskich

Sławomir Cenckiewicz

Lech Wałęsa zwalczał braci Kaczyńskich, bo byli świadkami erozji jego biografii

Blisko dwugodzinne wysłuchanie Jarosława Kaczyńskiego przed gdańskim sądem – niezależnie od stronniczości sędziów i zaskakującego przebiegu rozprawy – było interesującą retrospekcją złożonych relacji z Lechem Wałęsą na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Każdy, kto orientuje się w tych relacjach, wie doskonale, że znajomość z Wałęsą „zawdzięcza" Jarosław swojemu bratu Lechowi. To właśnie Lech Kaczyński poznał Wałęsę już w 1979 r., zaś w latach 1983–1991 należał do jednych z jego najbliższych współpracowników. Poznał Wałęsę w całej jego złożonej osobowości pełnej napięć, lęków, strachów, fobii, uwikłań, megalomanii, ale i talentów.

CZASY PIERWOTNE

Wszystko zaczęło się wiosną 1979 r. w czasach Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Wałęsę przedstawiła Kaczyńskiemu Anna Walentynowicz w oliwskim lesie podczas konspiracyjnego spotkania. Lech Kaczyński wspominał to tak: „W pewnej chwili pojawił się Lech. Rzecz charakterystyczna, na ogół nie znałem nazwisk – poza tymi oczywiście znanymi – osób przybywających i żadnego ceremoniału z witaniem się nie było, a tutaj pani Ania, jak dziś pamiętam, odwołała mnie na bok i zostaliśmy sobie z Lechem niejako oficjalnie przedstawieni. Według mnie to wskazywało na jego odrębną pozycję. Widziałem go wcześniej u Mariusza Muskata, wziąłem go za człowieka znacznie starszego. Były to takie spotkania szkoleniowe, teoretyczne z zakresu prawa pracy, ale orientowałem się, że robotników nudzi jednak systematyczny wykład z tej dziedziny, więc omawialiśmy konkretne sprawy, które się zdarzyły, była mowa o polityce, o współczesnej historii. […] Lech był dosyć aktywny, mniej zainteresowany ogólnymi sprawami politycznymi, za to mocno zainteresowany problematyką konkretną. Można nawet powiedzieć, że bardzo naciskał na solidarność między robotnikami".

Jednak Wałęsa nie budził zaufania Kaczyńskiego, nie przeszedł z nim na „ty", tak jak z innymi robotnikami. Raził go u niego stosunek do majstrów, w których upatrywał źródła wszelkiego zła w zakładzie pracy. Kaczyński określał Wałęsę mianem robotniczego szowinisty, którego apodyktyczny i podkulturowy styl bycia był diametralnie inny od tego, który reprezentowała „arystokracja robotnicza", z Anną Walentynowicz i Józefem Maciejem Miatkowskim na czele.

DYSTANS

Między Kaczyńskim a Wałęsą powstała więc pewna bariera. Stąd też ich znajomość w okresie przedsierpniowym ograniczała się raczej do uczestnictwa we wspólnych inicjatywach WZZ bądź pomocy prawnej związanej z represjonowaniem Wałęsy w miejscu pracy (kiedy zwolniono go z pracy w Gdańskich Zakładach Mechanizacji Budownictwa „ZREMB", Kaczyński przygotował treść odwołania do Terenowej Komisji Odwoławczej ds. Pracy przy Prezydencie Miasta Gdańska).

Wałęsa funkcjonował w WZZ na „wariackich papierach", więc dystans Kaczyńskiego do niego nie był niczym wyjątkowym. Wałęsa był początkowo traktowany przez liderów WZZ jako zwykły nieudacznik, nieuk, który niczego nie czytał, drobny kłamczuszek i megaloman, by z czasem zyskać nawet opinię groźnego prowokato-

eprasa.pl 52d88eeb8a

Jarosław Kaczyński i Lech Wałęsa przed salą sądową FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

ra i agenta bezpieki. Pomysły i opowieści Wałęsy sprawiały coraz więcej kłopotów. Nie przestrzegał zasad konspiracji i np. rozmawiał tam, gdzie podejrzewano, że jest podsłuch. Swego czasu sygnował swoim nazwiskiem oświadczenie, w którym domagano się swobodnego dostępu katolików do kariery w wojsku, MO i SB. Później – pod koniec 1979 r. – wygadał się, że po Grudniu '70 poznał „potęgę władzy" i na komendzie identyfikował kolegów ze zdjęć, bo przecież „władza, aby rządzić, musi wiedzieć". To jest dokładnie ten moment, który wprawił ogół WZZ-owców w niemałą konsternację. Młodsi aktywiści żądali usunięcia go z szeregów WZZ. I to jest też dokładnie ta sytuacja, o której mówił przed sądem Jarosław Kaczyński w kontekście pewnych informacji o Wałęsie pojawiających się jeszcze przed Sierpniem '80, a które przekazał mu brat.

WROGA AUTONOMIZACJA

Sierpień '80 wyniósł Wałęsę na szczyty politycznej kariery. I stało się to wbrew ogółowi środowiska WZZ. Wałęsa się emancypował i autonomizował wobec tego środowiska kosztem dawnych kolegów. Ukazuje to dobrze sprawa zaplecza eksperckiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, kiedy to mając do wyboru zespół Lecha Kaczyńskiego, Lecha Bądkowskiego, Mariusza Muskata, Jacka Taylora, Jerzego Strzeleckiego i Jadwigi Staniszkis, Wałęsa uznał, że jedyny zespół doradczy tworzyć powinni Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Później było jeszcze gorzej, bo na początku września 1980 r. Wałęsa się dowiedział, że Lech Kaczyński brał udział w tajnej naradzie w mieszkaniu Jacka Taylora w Sopocie, podczas której Jacek Kuroń przedstawił swój plan wyeliminowania Wałęsy, wysunięcia na czoło Andrzeja Gwiazdy i Bogdana Borusewicza. Później był spór o model rodzącej się Solidarności, w którym Wałęsa był po stronie swoich doradców (Mazowieckiego i Geremka) i opowiadał się za federacją organizacji związkowych budowanych w ramach województw. Lech Kaczyński (zresztą z jeszcze bardzo zaangażowanym w ten projekt Jarosławem) opowiedział się za jedną centralą związkową rejestrowaną na podstawie jednego statutu, z jednym kierownictwem.

Kaczyński pozostawał lojalny wobec środowiska, które mimo krytyki niektórych posunięć nadal uznawał za własne. Stąd też we wszystkich późniejszych sporach i kłótniach z Wałęsą w latach 1980–1981 był zawsze po stronie „Gwiazdozbioru".

PRZEŁOM ROKU 1982

W pierwszej połowie grudnia 1982 r. doszło do nieoczekiwanego spotkania Lecha Kaczyńskiego z Lechem Wałęsą, który miał powiedzieć, że dawne spory nie mają już znaczenia i że zależy mu na współpracy. Nie znamy kulis tej inicjatywy ani też przyczyny nagłego zainteresowania Wałęsy współpracą z Kaczyńskim. Obecność Lecha Kaczyńskiego w tym środowisku mogła symbolizować pewną otwartość Wałęsy na różne nurty Solidarności, ale też sugerować jakiś rodzaj personalnej kontynuacji z okresu WZZ. Zgoda Kaczyńskiego na współpracę z Wałęsą potencjalnie neutralizowała także wiele niepochlebnych sądów na temat przywódcy Solidarności. Miarą tamtego zaufania „Lecha do Lecha" było powierzenie Kaczyńskiemu funkcji łącznika Wałęsy z tajną Tymczasową Komisją Koordynacyjną NSZZ „Solidarność" (w latach 1983–1984 i po przerwie do 1986 r.).

Nie można w tym kontekście zapomnieć o charakterystycznym dla Kaczyńskich pragmatyzmie, a nawet makiawelizmie politycznym, bez którego nie sposób w ogóle zrozumieć ich politycznej drogi i wyborów. Tak pojmowany przez nich realizm nakazywał w 1983 r. (i później) zignorować wszystkie wcześniejsze sugestie „Gwiazdozbioru" o współpracy Wałęsy

eprasa.pl 52d88eeb8a

z SB i osobiste uprzedzenia oraz uznać, że zwłaszcza po pokojowym Noblu to on pozostaje symbolem Solidarności i oporu Polaków wobec reżimu Jaruzelskiego. Lech Kaczyński uznał, że nie powinien Wałęsie odmawiać, a tym bardziej podważać jego pozycji. Znał oczywiście wady Wałęsy i miał pewne opory, ale zwyciężyły chłodna kalkulacja polityczna i przekonanie, że przy Wałęsie łatwiej będzie cokolwiek w polityce zdziałać.

POWIERNIK

Musieli się w drugiej połowie lat 80. trochę polubić, skoro Wałęsa potrafił się czasem otworzyć przed Kaczyńskim. Odsłaniał najskrytsze tajemnice, co pozwalało Kaczyńskiemu spojrzeć na niego całościowo. Oto najważniejsza bodaj relacja Lecha Kaczyńskiego na ten temat: „W latach 80. byłem w otoczeniu Wałęsy jedynym WZZ-owcem i długie lata minęły, zanim się stałem jego najbliższym (nie w sensie osobistym, tylko politycznym, bo np. Aram Rybicki zawsze był bliżej rodziny Wałęsów) współpracownikiem – gdzieś w 1988 r. Zdarzało nam się czasami pogadać szczerze przy kielichu i wtedy zorientowałem się – z jego własnych opowieści – że coś się już musiało zdarzyć. Traktowałem to wtedy jako coś takiego, co było, minęło. Wszyscy ludzie mają jakieś słabości, a to był chłopak z głębokiej prowincji, który tu przyjechał, odegrał już pewną rolę w strajkach w grudniu 1970 r. Już po swoich doświadczeniach z WZZ wiedziałem, że SB zupełnie inaczej traktuje inteligencję, a inaczej robotników. Zdawałem sobie świetnie sprawę, że on mógł być przedmiotem nacisku zupełnie innego niż ja: ubliżanie, bicie, zachowanie, które generalnie w stosunku do inteligentów nie było stosowane, a wobec robotników pozostawało na porządku dziennym. Myślałem, że coś tam musiało być niedobrze, ale sądziłem, że chłop się jeszcze bardziej wyprostował, zahartował. Nie miałem wątpliwości co do jego poważnej roli, zresztą do dzisiaj nie mam – uważam, że odegrał wielką rolę historyczną. To jest człowiek, do którego mam najskrajniejszą możliwą niechęć, ale to nie znaczy, że neguję jego znaczenie. Zdawałem sobie też sprawę, że chłopak, który w listopadzie nie miał długich spodni i chodził w krótkich paść krowy, ma inne życiowe doświadczenia niż ja. Tego nie można porównywać. Nigdy się nie dopytywałem, ale to, co on mi sam mówił, wskazywało na to, że coś z SB było. Dotyczyło to lat 1970–1972, może do 1973, od grudnia 1970 [...]. Już w latach 80. widziałem, że Wałęsa traktuje bezpiekę jako element rzeczywistości, w jakiej żyjemy, że bierze to mocno pod uwagę w swoich kalkulacjach. Zdawałem sobie sprawę, że on np. wie o niektórych ludziach, którzy się wokół niego kręcili (a w tym czasie tych „kręcących się" była minimalna liczba), że to są ludzie ze służb specjalnych – i on to tolerował. Zresztą kiedyś mi napomknął, że lepiej wiedzieć takie rzeczy, niż nie wiedzieć o tym czy tamtym facecie. Dziś patrzę na to w ten sposób, że on traktował takie układy jako stały element gry, którą prowadził. Do dzisiaj nie wierzę, że był »agentem« w drugiej połowie lat 70., wierzę natomiast, że w latach 80. miał pewien kontakt z władzami bezpieczeństwa na wysokim poziomie. Przy czym hipoteza jest taka, że to był Krzysztoporski, tj. szef Służby Bezpieczeństwa, do jesieni 1981 r., a później formalnie wiceminister gospodarki morskiej. Wałęsa według tej hipotezy miał od nich pewne informacje i traktował ich jako jeden z elementów gry. Chciałem podkreślić, że ta hipoteza z Krzysztoporskim nie pochodzi ani ode mnie, ani od mojego brata".

„BĘDZIESZ MOIM ZASTĘPCĄ"

Takie rozmowy niewątpliwie zbliżały Lecha Kaczyńskiego i Lecha Wałęsę. Widać to zwłaszcza w roku 1988, podczas strajków majowo-sierpniowych. Wałęsa bez Kaczyńskiego nie funkcjonuje. Kiedy w końcu sierpnia 1988 r. wrócił z rozmowy z gen. Czesławem Kiszczakiem i musiał zdusić strajk w Stoczni Gdańskiej, nie wiedział, jak poradzić sobie ze strajkującą załogą, która mu złorzeczyła. W nocy z 31 sierpnia na 1 września MKS przedstawił decyzję o zakończeniu protestu strajkującym. Spotkało się to z jednoznacznym sprzeciwem. Odpowiedzialność za obronę Wałęsy i przeforsowanie jego decyzji wziął na siebie Lech Kaczyński. Był to wówczas jeden z najważniejszych momentów w jego dotychczasowej działalności politycznej. Musiał publicznie skonfrontować się z młodymi robotnikami, którzy w czasie strajków majowo-sierpniowych wyrośli na nowe pokolenie Solidarności, dla których zawsze żywił najwyższy szacunek, ale musiał również stanąć de facto w obronie zaciągniętego przez Wałęsę zobowiązania. „Wygłaszam wtedy może najważniejsze przemówienie w życiu – popierające Wałęsę. Tłumaczyłem [związkowcom] sytuację i obiecałem im »Solidarność« w przeciągu pół roku". Wałęsa był za tę obronę tak wdzięczny, że szepnął Kaczyńskiemu: „Będziesz moim zastępcą w związku!".

Obecny wówczas w stoczni Jarosław wsparł swojego brata i „przekonywał młodych robotników rozwścieczonych na Wałęsę i oskarżających go zdradę" do decyzji o wygaszeniu strajku. Emocje były tak wielkie, że Lech mówił później, iż ze strony Jarosława „był to akt nieomal fizycznej odwagi". Ten moment dobrze zapamiętał Jarosław Kaczyński, wykładając przy okazji filozofię swojej taktyki politycznej: „Pomysł zakończenia strajku i dalszych rozmów z władzami był atakowany przez wielu strajkujących. Podczas narady w stoczniowej stołówce krzyczano

eprasa.pl 52d88eeb8a

na Wałęsę, oskarżano go o zdradę. Poparł go Leszek. To wtedy zapadła tak naprawdę ostateczna decyzja o Okrągłym Stole. Byliśmy wtedy przekonani, że tak trzeba. Opowiedzieliśmy się za grą. A może raczej za bitwą, tylko manewrową. Walnego boju z komunistyczną władzą nie można było w tamtych warunkach wygrać".

ZAMACH STANU

Pozycja polityczna Lecha Kaczyńskiego (a przez to i Jarosława) była w tym czasie niekwestionowalna. Oczywiście przebieg rozmów w Magdalence i finał ustaleń Okrągłego Stołu nie był dla Kaczyńskich satysfakcjonujący. Ograła ich (a także Wałęsę) grupa skupiona wokół Adama Michnika i Bronisława Geremka, nadając ugodzie okrągłostołowej zupełnie inny charakter, wymiar niepodważalnej i nieodwołalnej „umowy organicznej", wiążącej niemal na zawsze strony – a przez to

Lech i Jarosław Kaczyńscy z Lechem Wałęsą w Stoczni Gdańskiej, lipiec 1990 r.

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

i Polskę – politycznego kontraktu z 1989 r. Z drugiej strony Kaczyńscy doświadczyli w praktyce tego, co Lech nazwał później fraternizacją elit solidarnościowych i komunistycznych. Ich politycznym atutem – pomimo procesu „fraternizacji" elit i dzielenia Polski we władanie politycznego okrągłostołowego gangu – wciąż pozostawał Wałęsa. Mimo zastrzeżeń jego nazwisko wciąż budziło społeczny szacunek i było wielkim kapitałem w rozgrywce z lewicą laicką i postkomunistami.

Najważniejsze było powstrzymanie rodzącego się monopolu władzy z Jaruzelskim jako prezydentem i Geremkiem jako premierem. Prezydentury Jaruzelskiego powstrzymać nie zdołali. Kaczyńscy jednak zaczęli rozważać warianty alternatywne wobec warszawskiego salonu opozycji. Przez krótki czas pod uwagę brali nawet koncepcję rządu mniejszościowego, a po jej zarzuceniu (jako zbyt ryzykownej) wysunęli koncepcję budowy rządu opartego na trwałej większości sejmowej – SD, ZSL i Solidarności. Myśleli już o niej przed wyborami, ale tuż po nich sprawa przybrała bardziej realne kształty po spotkaniu Lecha Wałęsy i Lecha Kaczyńskiego z przewodniczącym SD Jerzym Jóźwiakiem. Zawarli koalicję z byłymi satelitami PZPR, a na premiera wysunęli skonfliktowanego wówczas z obozem Geremka, Michnika i Kuronia – Tadeusza Mazowieckiego. Tak doszło do realizacji koncepcji, którą Rafał Matyja nazwał swego czasu „zamachem stanu w państwie Okrągłego Stołu", czyli próby zerwania transformacyjnego konsensusu opartego na fundamencie umowy komunistycznej partii z częścią elit solidarnościowych.

„NIE CHCEM, ALE MUSZEM"

W sytuacji, kiedy Mazowiecki zdradził swoich politycznych protektorów i szybko przystał do obozu trwałości Okrągłego Stołu, nadzieją Kaczyńskich była prezydentura Wałęsy. Wbrew pozorom nie byli oni entuzjastami prezydentury Wałęsy, ale zmuszała ich do tego polityczna kalkulacja, która podpowiadała, że przetrwać i okrzepnąć politycznie można, tylko wykorzystując projekt „przyspieszenia", który początkowo uznał za swój Wałęsa. Jednak jego prezydentura nie przyniosła żadnego przełomu. Już w 1991 r. realistycznie mówił o tym Lech Kaczyński: „Każdy człowiek posiadający elementarne pojęcie o polityce winien zdawać sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze – działalność Lecha Wałęsy do 1990 r. – przy wszystkich jego wadach, trudnościach współpracy z nim, przy wszystkich jego niekonsekwencjach – nie dawała podstaw do sądzenia, że prowadzić będzie on zupełnie inną politykę niż ta, którą np. obiecywał w trakcie kampanii prezydenckiej. Nie istniały także przesłanki wskazujące, iż jego najbliższym współpracownikiem będzie Mieczysław Wachowski; po drugie – ślepotą polityczną było przekonanie, że w wyborach prezydenckich może wygrać ktoś inny niż Lech Wałęsa".

WOJNA CHULIGANA

Wałęsa okazał się jeszcze większym rozczarowaniem niż Mazowiecki. Z siekierki i „gonienia czerwonych w skarpetkach" po niecałym roku prezydentury nie pozostało nic. Zamiast tego Wałęsa zaczął publicznie kwestionować pronatowską orientację prezydenckiego ministra Lecha Kaczyńskiego, a po sierpniu 1991 r. – kiedy próbował nawet wesprzeć puczystów Janajewa, a w wojsku i tajnych służbach wspierał komunistyczny beton, którego symbolem był kontradmirał Wawrzyniak – cały projekt wyrwania Polski z sowiecko-rosyjskiej strefy wpływów został faktycznie zakwestionowany.

Paradoksalnie ucieczka Kaczyńskich z Kancelarii Prezydenta RP jesienią 1991 r., a potem budowa Porozumienia Centrum i prezesura NIK (Lecha Kaczyńskiego) były ucieczką z szańca postkomunizmu i skokiem ku projektowi zupełnie „nowego państwa".

Wszystko, co nastąpiło później, było nacechowane zemstą i nienawiścią Wałęsy do Kaczyńskich, którzy stali się najważniejszymi świadkami erozji biografii Wałęsy. Stąd nastąpiło jakby wizerunkowe odwrócenie sytuacji – w imię „racji" Wałęsy inwigilowano Kaczyńskich i niszczono medialnie ich dorobek oraz pracę, także z wykorzystywaniem tajnych służb (zespół płk. Lesiaka), prokuratur i sądów, budując jednocześnie opowieść, że to Wałęsa, czyli sprawca tych wszystkich krzywd, jest „ofiarą" Kaczyńskich.

To się w pełni nie udało, stąd nieskrywana nienawiść Wałęsy i jego akolitów do Kaczyńskich. Kiedy prezydent Kaczyński opublikował raport z likwidacji WSI, Wałęsa obrażał głowę państwa w mediach, mówiąc: „Durnia mamy za prezydenta". Później był jeszcze bardziej ordynarny i orzekł: „Jedno tu tylko słowo pasuje: sk…syn" – w reakcji na zapowiedź książki IPN o własnej przeszłości agenturalnej i stwierdzenie Lecha Kaczyńskiego, że Wałęsa był w przeszłości „Bolkiem". Wyzwiska, obraźliwe wpisy, memy, zmontowane dokumenty i rysunki są codziennym i stałym repertuarem tego medialnego chuligana, jakim jest Wałęsa.

W tej wojnie już wygrali Kaczyńscy, bo wygrała prawda. Zyskała oręż w postaci książek i ujawnionych dokumentów. W ten sposób klątwa Wałęsy wisząca przez lata nad Kaczyńskimi stała się już jedynie klątwą dla samego Wałęsy. A cała obecna postawa Wałęsy potwierdziła jedynie słowa wielkiego Lecha Bądkowskiego z 1981 r. o Wałęsie „postaci historycznie przypadkowej" i „przykładzie płatania figlów przez historię".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Z ks. Danielem Wachowiakiem, proboszczem parafii pw. NMP Wniebowziętej w Piłce, przeniesionym z Poznania do Puszczy Noteckiej

rozmawia Wojciech Wybranowski

Trwa wojna duchowa

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Marzył ksiądz o tym, by wyjechać na misje?

KS. DANIEL WACHOWIAK: Nie były to marzenia zwerbalizowane, ale myślę, że w głowach wielu księży na jakimś etapie kapłaństwa rodzi się pragnienie rozpoczęcia czegoś głębszego, dojrzalszego. I nie ukrywam, że parę miesięcy temu pomyślałem: „Jeśli Pan Bóg będzie chciał, to jestem gotowy wyjechać na misję albo pójść w coś nowego, dzięki czemu będę mógł oderwać się od wszystkiego tego, co do tej pory sobie wypracowałem". Misje się nie pojawiły, ale pragnienie się spełniło w postaci wyjazdu poza Poznań. Mówiąc językiem papieża Franciszka, przez „wyjście na peryferie, bo tam się znajduje Pan Jezus". Ten życiowy zwrot rozpoczął się kilkanaście dni temu, gdy zostałem proboszczem w miejscu dość mocno oddalonym od Poznania. Wszędzie, gdzie Pan Jezus będzie chciał mnie posłać dekretem biskupa, pojadę, bo wszędzie są dusze nieśmiertelne.

W Poznaniu mówi się, że został ksiądz zesłany do Puszczy Noteckiej, bo zadarł z wpływową lewicową władzą i jej medialnym zapleczem.

W stolicy Wielkopolski mam swoich przyjaciół i nieprzyjaciół. Jednak rzeczywiście, wielu zaczęło się zastanawiać, czy jest to rodzaj kary czy awansu. Jako ksiądz do tego tak nie podchodzę, jednak rozumiem, że w głowach różnych osób takie refleksje i pytania mogły się pojawiać, tym bardziej że w ostatnim czasie dość mocno byłem atakowany przez środowiska, które są – ogólnie je nazwę – skupione wokół myślenia „Gazety Wyborczej". Sam jednak odczytuję moje bycie proboszczem w Piłce jako kolejny etap kapłaństwa.

Krytykował ksiądz parady środowisk homoseksualnych i zaangażowanie w nie prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka czy uruchomienie miejskiego gabinetu ginekologicznego, w którym kobietom wydawane są pigułki „po".

Wypowiadałem się na wspomniane przez pana kwestie nie w trakcie mszy świętej, ale na Twitterze czy w artykułach. Żadnemu pasterzowi nie może być obojętne, jeśli władza albo ktokolwiek inny wchodzi w przestrzeń, w której kompetentny jest jedynie Bóg. Wspomina pan o gabinetach ginekologicznych, gdzie kobietom proponuje się tabletki wczesnoporonne, a zatem chodzi o sferę, która narusza przywileje Boga i może pozbawić zbawienia osoby korzystające z takich ofert. W takich sytuacjach duszpasterz nie może milczeć.

FOT. ARCHIWUM KS. DANIELA WACHOWIAKA

eprasa.pl

Tymczasem okazywało się, że za każdym razem, gdy dotykałem tych tematów, moje refleksje wywoływały olbrzymi rezonans, i to zarówno pozytywny – u tych, którzy oczekiwali spostrzeżeń księdza upominającego się o Ewangelię w życiu społecznym oraz publicznym – jak i przeciwnie – zauważałem i odczułem wiele nienawiści ze strony osób dalekich od Słowa Bożego.

Wiem, że pisano na księdza donosy do kurii, został też ksiądz zaatakowany na ulicy...

Czasami zdarzały się donosy na mnie. Rzeczywiście było też tak, że idąc przez Poznań, w koloratce, zostałem wyzwany i opluty przez grupę kilku ok. 30-letnich mężczyzn. Być może strój duchownego wywołał w nich agresję.

„Gazeta Wyborcza" wzywała, by księdzu zamknąć usta. Pisała, że wreszcie nie będzie ksiądz miał możliwości głoszenia swoich myśli w Internecie. Sugerowano też, że jeśli ksiądz będzie zbyt niepoprawny politycznie, to znajdą się parafianie, którzy złożą denuncjację.

Tekst „Gazety Wyborczej" można nazwać pewnego rodzaju przekleństwem, o którym w Piśmie Świętym jest sporo treści. To samo Pismo mówi jednak, że jeśli ktoś rzuca wobec mnie przekleństwo, to ja mu tak czy owak błogosławię. Wspomniana przez pana „GW" przez długi czas robiła wszystko, aby przylepić mi łatkę księdza polityka. Próbowano w ten sposób zrazić ludzi do mojego duszpasterzowania i głoszenia Ewangelii. Głoszenia Słowa Bożego również w sferze społecznej i politycznej. Próbowano przekonać czytających ów periodyk, że jestem księdzem politykiem i nie zajmuję się Słowem Bożym, za to wchodzę na tereny, z których Kościół trzeba – jak chcą tego środowiska lewicowe – wypchnąć. Chciano mi przylepić łatkę i tym samym zepchnąć na pewien margines, w którym jako ksiądz będę mniej słyszalny.

Napisał ksiądz w jednym ze swoich artykułów, że dzisiaj w szkołach bywa, iż dyskryminowane nie są – wbrew propagandzie środowisk lewicowych – osoby o skłonnościach homoseksualnych, ale uczniowie przyznający się do wiary katolickiej.

Już od pewnego czasu w szkole, w której uczyłem, przychodzili do mnie uczniowie, żaląc się, że młodym osobom o poglądach konserwatywnych, a mówimy tutaj o dobrym, renomowanym liceum w Poznaniu, coraz trudniej jest przyznawać się publicznie do wiary w Boga. Dało się odczuć, że to oni są marginalizowani, wyszydzani, a druga strona coraz bardziej dumna z powodu odrzucania katolickiej nauki. Podam jeden z wielu przykładów. Często bywało, że lekcje religii dla poszczególnych klas zaplanowano jako skrajne, czyli albo na początku zajęć, albo na ich zakończenie. Uczniowie, którzy nie wypisali się z lekcji religii, zwierzali się, że ci, którzy szli do domu, potrafili kpić z pozostających na katechezie. O takich i podobnych zdarzeniach słyszałem wiele razy. Rodził się we mnie wewnętrzny smutek. Chciałem się upomnieć o wierzących uczniów i ich wesprzeć.

Parę tygodni temu inicjatywa Tęczowego Piątku znalazła swoich zwolenników wśród niektórych uczniów mojej byłej już szkoły. Postanowiłem się do tego publicznie ustosunkować. Łącząc elementy gardzenia Kościołem, ośmieszania religijnej młodzieży, napisałem artykuł, w którym zaakcentowałem, że w ośrodkach wielkomiejskich coraz częściej dyskryminowani nie są wcale ludzie o innej orientacji seksualnej. Ofiarami dyskryminacji i mowy nienawiści padają ludzie przyznający się do chrześcijaństwa. Oprócz tego ostrzegłem, że ruchy LGBT, wspierane przez wpływowe środowiska, stają się niebezpieczną alternatywą dla niektórych młodych osób żyjących w miastach.

Niektórzy księża mówią o postępującym wypychaniu Kościoła katolickiego z przestrzeni publicznej.

Już św. Jan Paweł II mówił, że trwa wojna duchowa między cywilizacją śmierci a cywilizacją życia. Niestety, odnoszę wrażenie, że przez niektóre wypowiedzi środowiska skupione wokół „Gazety Wyborczej" uczestniczą w tej wojnie, ale po stronie cywilizacji śmierci, negując wszystko to, co powstało na fundamentach katolickich. Daje się zauważyć, że każdorazowe upominanie się o Pana Jezusa – czy to w sferze prywatnej, czy politycznej lub społecznej – wywołuje bardzo ostry atak części środowisk lewicowych.

Czarne protesty zwolenniczek aborcji, tak liczne choćby w Poznaniu, to również element takiej wojny?

Poniekąd tak, choć na większość uczestniczących w nich kobiet patrzę okiem duchowego lekarza. Jedną z chorób, która dotknęła zwolenniczek aborcji, jest zagubienie tożsamości człowieka, kryzys mężczyzny, kryzys kobiety. Wiele kobiet, idąc w czarnym marszu, moim zdaniem tak naprawdę na co dzień nie czuje się kochanych przez swoich mężczyzn. Mimo że manifest był proaborcyjny, doszukuję się przyczyn sięgających do samotności wielu dzisiejszych kobiet. Nie znam kobiety, która dokonała aborcji, mając wsparcie swojego męża czy partnera. Oczywiście znam kobiety, które dokonały aborcji, rozmawiam z nimi. Wiele żałowało tej okropnej decyzji. Sporo z nich wyspowiadało się, odpokutowało grzech. Za każdym razem, gdy spotykam się z taką kobietą, widzę, że w momencie aborcji nie miała wsparcia ze strony swojego mężczyzny i dlatego popełniła ten przerażający czyn.

Już po przeniesieniu księdza do Puszczy Noteckiej użytkownicy sieci, i to całkiem licznie, zaczęli sugerować, że mógłby ksiądz, wzorem spotkań młodzieży w Lednicy, organizować w Piłce rekolekcje dla internautów. Myślał ksiądz o tym?

Wobec wspaniałego śp. o. Jana Góry to ja jestem malutkim człowiekiem. Nie mam ani takich zdolności, ani kompetencji, mówię za to Panu Jezusowi, że najpierw jestem posłany do moich parafian w Piłce, a jeśli będzie chciał i ma to w swoich planach, to oczywiście wszyscy ci, którzy spoza mojej parafii w Piłce chcą do nas przyjechać, przebywać u nas, będą mile widziani na wspólnej modlitwie, rozmowach i wypoczynku. A jeżeli ci ludzie będą chcieli wiosną czy latem pojawić się w większej liczbie, to gorąco zapraszam i myślę, że także moi parafianie są na to otwarci i wspólnie przyjmiemy gości z otwartymi rękami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ks. Daniel Wachowiak *– prezbiter od 2003 r., obecnie proboszcz parafii pw. Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej w Piłce (Puszcza Notecka). Wcześniej wikary m.in. w parafii pw. Świętych Aniołów Stróżów w Poznaniu. Prowadzi swój kanał na YouTube, jest aktywny na Twitterze.*

Kapłan znany w stolicy Wielkopolski ze zdecydowanego sprzeciwu wobec organizowanych tam tzw. parad równości promujących homoseksualizm i zaangażowania władz miasta w tę akcję. Krytykował także warsztaty aborcyjne organizowane w miejskiej przestrzeni publicznej Poznania.

Przez wiele tygodni był celem ostrych ataków „Gazety Wyborczej", która pisała o nim m.in.: „Puszcza będzie dla niego idealna", „Mam nadzieję, że w Puszczy Noteckiej kapłan będzie miał problemy z zasięgiem", „Im mniej ks. Wachowiaka w sieci, tym lepiej dla polskiego Kościoła". ©℗ **(ww)**

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA

Przypadek Basi

Agnieszka Niewińska

Odkąd Basia Poleszuk trafiła za kraty, stała się nową bohaterką środowisk narodowych

Jak ja mogłabym się teraz mazać i narzekać na swój los, podczas gdy wiem, że »Inka« bez kontaktu z bliskimi, bez szans na wyjście, poddawana brutalnemu śledztwu, nie załamała się i była silna do końca?" – to jeden z listów, które Barbara Poleszuk wysłała do rodziny zza krat. Po tym jak pod koniec października została zatrzymana i odwieziona do białostockiego aresztu, by odbyć czteromiesięczną karę pozbawienia wolności orzeczoną w ubiegłym roku przez sąd, jest teraz najbardziej znaną osadzoną w Polsce, bohaterką środowisk narodowych.

Z hasłem „Uwolnić Basię" narodowcy manifestują w kolejnych miastach, w połowie listopada pikietowali przed budynkiem Ministerstwa Sprawiedliwości. W siedzibie Fundacji „Łączka" w Warszawie głodówkę w obronie Barbary Poleszuk zainicjowała Anna Kołakowska, najmłodszy więzień stanu wojennego, a w poprzedniej kadencji gdańska radna PiS, która zasłynęła wpisem o tym, że posłankę Platofrmy trzeba ogolić na łyso.

Barbara Poleszuk to 26-latka z Hajnówki. Skazana została za wydarzenia z 2016 r. podczas Nocy Kupały w Białowieży, organizowanej przez Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Miała podrapać interweniującego policjanta. Wyrok bezwzględnego więzienia zapadł w sierpniu ubiegłego roku.

„JESTEŚMY NĘKANI"

– Nawet przez myśl nam nie przeszło, że trafi za kraty. Prawnik zapewniał, że wszystko jest w porządku, że mamy się nie martwić. Basia miała ułożone życie, pracę w Holandii, studia. Teraz złamano jej życie. Poważni przestępcy mimo wyroków latami nie są wzywani do odbycia kary, a ją zatrzymali jak kryminalistkę na dwa dni przed ślubem jedynego brata. I to za coś, czego nie zrobiła – mówi Elżbieta Poleszuk, matka Barbary.

Poleszukowie to rodzina znana w Hajnówce z zaangażowania patriotycznego. Są związani z organizacją Narodowa Hajnówka. Dawid Poleszuk, brat Barbary, jest głównym organizatorem Hajnowskiego Marszu Żołnierzy Wyklętych, w którego urządzanie siostra i matka także są zaangażowane. – Od dawna jesteśmy z tego powodu nękani. Jak tylko coś się tu dzieje, dwujęzyczna tablica zostaje zamalowana, to zaraz jest na Poleszuków. Przyjeżdża policja, robi rewizję – żali się Elżbieta Poleszuk.

W mediach rodzina wielokrotnie już powtarzała, że jest przez policję śledzona. Twierdzi, że funkcjonariusze szukają „jakiejkolwiek błahostki", by mieć podstawę do zatrzymania i wylegitymowania. – Trudno dyskutować mi z odczuciami osób, wobec których funkcjonariusze wykonują czynności. Policjanci wykonują je zawsze na podstawie prawa, informują o podstawie prawnej, to nie pozostaje żadną tajemnicą – odpowiada nadkom. Tomasz Krupa, rzecznik podlaskiej policji. Do wyroku Barbary Poleszuk nie chce się odnosić. – Policja wyroków ani nie komentuje, ani z nimi nie dyskutuje. W postępowaniu przygotowawczym zbieramy materiał dowodowy i na tym się kończy nasza rola. Zarzuty stawia prokurator – podkreśla nadkom. Krupa.

Elżbieta Poleszuk przekonuje, że więzienie dla jej córki wpisuje się w walkę, którą od lat prowadzą z nimi nieprzychylne narodowcom hajnowskie elity. – Im chodzi o to, żebyśmy zaprzestali naszej działalności, żeby nie było kolejnego Marszu Żołnierzy Wyklętych. Nie poddamy się, nie damy im tej satysfakcji. Kolejny marsz na pewno się odbędzie – zapewnia Elżbieta Poleszuk.

Niechętnie przyjmowane w okolicach Hajnówki jest szczególnie przypominanie postaci Romualda Rajsa ps. Bury – wyklętego, który mimo swoich zasług jest oficerem ze skazą. Obciążają go pacyfikacje białoruskich wsi, choćby spalenie wsi Zaleszczany, gdzie żywcem spłonęły także kobiety i dzieci. W Zaniach na jego rozkaz wymordowano 20–30 osób, w lesie pod Puchałami Starymi rozstrzelano z kolei kilkudziesięciu białoruskich furmanów.

– W Hajnówce żyjemy w specyficznym środowisku narodowo-religijnym. Wśród nas mieszkają osoby, którym oddział Burego wymordował bliskich. Święto ku czci żołnierzy wyklętych może się u nas odbywać, ale nie z postacią Burego na sztandarze. Tu potrzeba wyczucia – tłumaczy Arkadiusz Panasiuk, mieszkający w Hajnówce dziennikarz, podlaski korespondent kilku mediów. – Rodzina Poleszuków jest problematyczna, bo gra postacią Burego. Chce go nosić na sztandarach obok Pileckiego czy Inki.

Elżbieta Poleszuk odpiera te zarzuty. – Burego wspominamy tak jak i innych żołnierzy wyklętych. Dlaczego w ogóle mielibyśmy go pomijać? W 1995 r. został zrehabilitowany przez sąd – mówi.

IPN stwierdził jednak, że zabójstwo furmanów i pacyfikacje białoruskich wsi

eprasa.pl 52d88eeb8a

„nosiły znamiona ludobójstwa" – przypominamy. – To nie IPN, tylko opinia jednego prokuratora – ripostuje Elżbieta Poleszuk. – Sam Instytut powinien się wreszcie zaangażować w mówienie prawdy o żołnierzach wyklętych. W Hajnówce żaden wyklęty nie jest dobrze widziany. Nawet z Inki robią morderczynię.

W obronie Barbary Poleszuk napływają listy i petycje – do Zbigniewa Ziobry, do Andrzeja Dudy. Poseł Kukiz'15 Józef Brynkus złożył do prezydenta petycję i wniosek o ułaskawienie Poleszuk. W połowie listopada otrzymał odpowiedź od prezydenckiego ministra Pawła Muchy, zgodnie z którą o ułaskawienie może wystąpić sama Barbara Poleszuk lub osoba bezpośrednio przez nią upoważniona. – To absurdalna odpowiedź. Czy minister Mariusz Kamiński, który został ułaskawiony przez prezydenta, złożył taki wniosek? – pyta poseł Brynkus i dodaje, że wnosił już o ułaskawienie funkcjonariusza straży pożarnej i wówczas Kancelaria Prezydenta nie miała takich zastrzeżeń jak w przypadku Poleszuk. – Sądzę, że Kancelaria Prezydenta nie chce zająć się sprawą, bo uważa ją za kontrowersyjną i mogącą niekorzystnie wpłynąć na wizerunek prezydenta ze względu na to, że dotyczy działaczki organizacji narodowych. Podobnie zachowuje się minister Ziobro. Zwróciłem się do niego o interwencję i jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi, a w wielu innych sprawach reaguje natychmiast – mówi poseł Kukiz'15.

– Pani Barbara Poleszuk jest więźniem politycznym – powiedział przewodniczący Kolegium IPN prof. Wojciech Polak, apelując do prezydenta i ministra sprawiedliwości o interwencję, a narodowcy stwierdzenie to powielają w kolportowanych przez siebie materiałach.

NIE PIERWSZY WYROK

Józef Brynkus tej opinii nie podziela. – Więźniem politycznym jest się wtedy, kiedy państwo stwarza warunki, w których nie można głosić własnych poglądów. To nie jest przypadek Barbary Poleszuk. Skazano ją za naruszenie nietykalności cielesnej policjanta. Nietykalność funkcjonariusza publicznego to dla mnie bezsprzeczna wartość, ale w przypadku pani Poleszuk kara jest niewspółmierna do czynów. Nie powinna trafić do więzienia – podkreśla poseł Brynkus.

Arkadiusz Panasiuk zwraca uwagę, że zajście, za które Barbara Poleszuk usłyszała wyrok czterech miesięcy pozbawienia wolności, to nie było jedynie podrapanie policjanta. – Gdyby policjanci nie dostali wsparcia, mogłoby dojść do linczu. Jedna z osób, która brała udział w zajściu, prawdopodobnie też już odbywa karę roku pozbawienia wolności – podkreśla. – Poleszukowie są kompletnie niewiarygodni, bo zarówno Basia Poleszuk, jak i jej brat Dawid to osoby z wyrokami, choć już zatartymi. W tej chwili w mediach słyszymy, że Basia jest osobą nigdy niekaraną, tymczasem w 2013 r. uprawomocnił się wyrok skazujący ją na pół roku prac społecznych za napaść na policjanta. Tyle że każdy problem z policją ta rodzina tłumaczy prześladowaniami za swoją działalność patriotyczną, która jest źle widziana w „czerwonej Hajnówce" – jak nas brzydko nazywają – opowiada Arkadiusz Panasiuk.

11 grudnia w sądzie Okręgowym Warszawa-Praga (Poleszuk została przeniesiona do aresztu w Warszawie) odbędzie się rozprawa w sprawie wcześniejszego zwolnienia Barbary Poleszuk i objęcia jej dozorem elektronicznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

BRAWUROWA PODRÓŻ W CODZIENNOŚĆ DZIKICH ZWIERZĄT POLSKI

FASCYNUJĄCA OPOWIEŚĆ

o narodzinach i śmierci, przyjaźni i kanibalizmie, atakach i sztuce uniku

Przekartkuj szybko książkę, a w narożniku zobaczysz lecącego owada

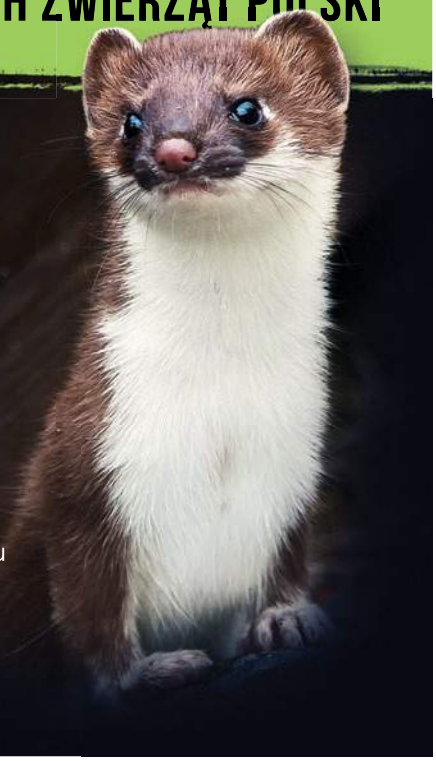

Patronat medialny: DO RZECZY CRAZY NAUKA

eprasa.pl 52d88eeb8a

Museo dell'Ara Pacis otworzyło wystawę poświęconą Marcello Mastroianniemu

FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Włoski kochanek profilem

Monika Małkowska z Rzymu

W rzymskim Museo dell'Ara Pacis króluje Marcello Mastroianni, gwiazdor zmarły 22 lata temu. Poświęcona mu monograficzna wystawa przyciąga tłumy fanów

To trend zauważalny co najmniej od 20 lat: popkultura zawłaszcza tereny tzw. kultury wysokiej. Muzea i galerie, prawie przez dwa stulecia zarezerwowane dla wyrafinowanej sztuki, wymagającej znawstwa i sublimacji estetycznych poglądów, spuściły z tonu. Teraz ponad cmokanie elity liczy się bowiem konkretny wpływ z biletów. Frekwencja stała się ważniejsza niż prestiż.

Od czasu, kiedy hitem MET (2011), a następnie przebojem Museum Victoria & Albert (2015) stało się pośmiertne summary, zarazem multimedialny show dedykowany dokonaniom Alexandra McQueena (zmarłego samobójczą śmiercią w 2010 r.), mało który dyrektor choćby najbardziej godnej muzealnej placówki oprze się pokusie wejścia w jakiś mniej lub bardziej zakamuflowany flirt ze zjawiskami „niskimi", czyli popularnymi.

Kolejnym na to dowodem – hommage złożony Marcello Mastroianniemu w Muzeum Ołtarza Pokoju. To niejako nowoczesna wersja małżeństwa po włosku (kto nie pamięta słynnego filmu Vittoria De Siki: wieloletnia kochanka, wcześniej prostytutka, chwyta się podstępu, żeby poślubić ukochanego, do tego bogatego biznesmena; brawurowy duet Sophii Loren i Mastroianniego).

I oto Museo dell'Ara Pacis, ze swą opinią architektonicznego impertynenta i nachała, podbudowuje pozycję wyjątkowo miłym sercom Włochów pokazem. Wcześniej nie udało się tej miejscówce naprawić reputacji z pomocą ekspozycji Chagalla; nie pomogła retrospektywa Cartier-Bressona; nie uratowali francuscy impresjoniści (zbiorowo) ani w pojedynkę Toulouse-Lautrec. Kto, jeśli nie boski Marcello, może odmienić ten stan rzeczy?

Od strony aranżacyjnej – nic szczególnego. Chronologicznie poprowadzony życiorys Mastroianniego, głównie za pomocą setek zdjęć i fragmentów kilkudziesięciu filmów, plus różne okolicznościowe dodatki (kostiumy, rekwizyty, rzeźby wuja). Ogląda się to dobrze, ale bez zaskoczeń.

Najbardziej zadziwia sam bohater, rozpoznawalny nawet swym cieniem.

Miał takie same inicjały jak najbardziej seksowna aktorka Ameryki za prezydentury Eisenhowera i początku Kennedy'ego: M.M. Podobnie jak w przypadku Marilyn Monroe także Marcello Mastroianni – zdaniem wielu – zawdzięczał sławę wyjątkowej „kamerogeniczności", a nie talentowi.

Nie bez powodu przywołałam seksbombę z Los Angeles: ją oraz włoskiego superamanta (za jakiego długo uchodził Mastroianni) warto uplasować na gwiezdnej konstelacji światowej kinematografii lat 50. ubiegłego wieku. Byli niemal równolatkami, ich daty urodzenia różniły się o niecałe dwa lata na korzyść damy (ona: czerwiec 1926 r.; on – wrzesień 1924 r.). W owym czasie, gdy uroda często decydowała o karierze filmowej, obydwoje stanowili w tej kwestii swoiste punkty odniesienia i obydwoje zostali aktorsko docenieni poniewczasie. Znaczy, po swoim młodym czasie.

BARBARZYŃCA W WIECZNYM MIEŚCIE

Chyba każdy, komu zdarzyło się odwiedzić Rzym, przespacerował się nabrzeżem Tybru. Tę marszrutę odbywał też bohater

eprasa.pl 52d88eeb8a

filmu Sorrentino „Wielkie piękno" – jednak kamera nie zarejestrowała tej „rzymskiej hańby", modernistycznego budynku tuż przy Ponte Cavour, nieopodal Pól Marsowych, w niewielkiej odległości od Hiszpańskich Schodów i innych legendarnych zabytków.

Skąd wzięło się tam Muzeum Ołtarza Pokoju? To Duce, wielki fan sztuki rzymskiej, zdecydował, że trzeba ratować Ołtarz Pokoju z gmachu wzniesionego w IX w. p.n.e. Częściowo zachowany, fragmentami zrekonstruowany monument został odsłonięty we wrześniu 1938 r.

Najważniejszym posunięciem służącym ocaleniu zabytku było jego zadaszenie. Po kilku dekadach pawilon zaczął się sypać. W XXI w. zdecydowano się zburzyć prowizorkę i zamiast niej postawić coś solidniejszego. Konkurs wygrał Richard Meier, amerykański architekt włoskiego pochodzenia. Muzeum dell'Ara Pacis z przeszklonym pawilonem, gdzie umieszczono zabytkowy ołtarz, dopełniony ciągiem sal przeznaczonych na czasowe wystawy, otworzyło się dla publiczności w 2006 r.

Już w fazie projektowej pomysł był mocno atakowany. Faworyzowano koncepcję konserwowania pawilonu z czasów Mussoliniego. Jednak gdy budynek stanął na nadbrzeżu Tybru, dopiero zaczęły się awantury!

Po 12-letnim istnieniu Muzeum Ołtarza Pokoju budynek nie wzbudza tak silnych emocji. Swoją drogą, zawiera się w tym symbol: pokój, który wywołuje konflikty…

MARCELLO, IDŹ SPAĆ!

Wszyscy go kochali, zwłaszcza gdy on kochał… piękne kobiety. Jednak czy doceniali jako artystę?

Czy tylko sprawdzał się jako amant i uwodziciel? Wzorcowy typ casanovy połowy XX w.?

Przez dziesięciolecia wpisywano go w ramy kultury masowej. Bez względu na to, jak bardzo był autoironiczny, jak dalece kpił ze swego wizerunku pięknisia, zawsze oceniano go przez pryzmat urody. A gdy się zestarzał, wytykano mu mankamenty aparycji: o, wyłysiał, zgrubiał, zmalał (tylko 176 cm wzrostu!). I w ogóle przestał przystawać do celebryckich standardów.

Wydawało się, że Marcello Mastroianni nie przejmuje się tymi opiniami i pozwala sobie na długą drzemkę. Jeszcze zanim zasnął na wieczność.

Niespodziewanie (chyba też dla siebie, gdyby żył…) stał się bohaterem – i to nie kina, lecz wystawy.

Pretekst był: okazało się, że piękny Marcello ma rodzinne powiązania ze sztukami pięknymi. Wuj Umberto, „prawdziwy" artysta; dziadek i ojciec trudniący się stolarką oraz snycerstwem; starsza córka Barbara (już nieżyjąca) poszła podobną do nich drogą. Nie chodzi jednak o krewniaków ani ich dokonania. Bo i kogo by to interesowało? Trzon pokazu to Marcello i jego życie. Obłędna kariera typu „od pucybuta do gwiazdora" i szalone czasy, kiedy oważ się dokonywała.

Tak naprawdę postawa i postaci grane przez włoskiego M.M. pozostawały w ostrym konflikcie z ideałem mężczyzny lansowanego w latach 60. przez kino amerykańskie. Pamiętajmy – kiedy Marcello debiutował, obowiązywał Kodeks Haysa (spisane w latach 30. dopuszczalne sceny w filmach w USA). Oczywiście Europa wyprzedziła Nowy Kontynent w innowacjach obyczajowych, co odzwierciedliło się także (a może przede wszystkim) w kinie, jednak Marcello różnił się od francuskich donżuanów tamtego czasu. Mastorianni był dandysem mimo woli – zmęczonym,

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA
TYGODNIKA „DO RZECZY"
i MIESIĘCZNIKA HISTORIA „DO RZECZY"

W PREZENCIE
KOSZULKA PATRIOTYCZNA
„POLSKI ORZEŁ" + EWYDANIE

Cena: 289 zł
Oszczędność: 394 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

NALEŻY PODAĆ ROZMIAR KOSZULKI

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 52d88eeb8a

Marcello Mastroianni i Anita Ekberg na planie filmu „La Dolce Vita" w 1960 r. FOT. CAP/NFS/FORUM

sennym, manipulowanym przez kobiety tyleż w nim zakochane, co wykorzystujące uczucie dla swych dość przyziemnych celów. Najgorsze, co może się wydarzyć przystojnemu macho, to trafić do „Miasta kobiet" (1980). Ta wizja Felliniego dziwnie współbrzmi z naszą „Seksmisją" Machulskiego, późniejszą wprawdzie o trzy lata, lecz przesyconą tym samym „feministycznym" (czy raczej antyfeministycznym) duchem.

„Miasto kobiet" to nie był przebój. Jednak dziś ma profetyczną wymowę… Na wystawie ten film przywołano serią zdjęć z planu, na których mistrz Fellini demonstruje, jak Marcello ma zagrać pocałunek. To przezabawny widok: dwaj supermęscy panowie robią dziobki i wykonują gesty wzajemnego pożądania, co na filmie przełoży się na relacje damsko-męskie.

Skoro o tym mowa: Federico i Marcello to były byty połączone. Jak mówiła Anouk Aimée (partnerka M.M. w „Słodkim życiu" i „8 i 1/2"), nie wiadomo było, gdzie kończy się Fellini, a zaczyna Mastroianni. Grali na tych samych nutach, rozumieli się idealnie. Może nawet mentalnie w siebie wchodzili, na siebie zachodzili? To zresztą doskonale jest widoczne na rzymskiej retrospektywie. Podobnie jak zespolenie aktora z Viscontim (u którego zaczynał karierę w teatrze) czy Antonionim. Zblazowanie i smutek wczesnych lat 60. znalazły swą twarz w obliczu Marcella oraz towarzyszących mu, znudzonych życiem, przeintelektualizowanych partnerek: Jeanne Moreau, Moniki Vitti, Anouk Aimée właśnie.

Kto nie zna sceny, w której włoskiego amanta (antyamanta?) wciąga do fontanny di Trevi „barbarzyńska" i nieokiełznana Szwedka Anita Ekberg? Tak, to hicior wszech czasów. Jednak niedługo będą o niej pamiętali tylko fani kina, zaś jego znają także profani kina.

Rzymska retrospektywa zaczyna się od sylwetowego profilu M.M. Okazuje się, że miał tak charakterystyczny rysunek czoła, nosa, podbródka, że rozpoznawalność jest natychmiastowa. Do tego dochodzi regularność rysów, co kamera zawsze lubi. Plus piękne oczy o zawsze lekko znudzonym czy też zmęczonym wyrazie; doskonałe proporcje niezbyt wysokiej postaci, elegancja gestów… To jednak byłoby za mało, żeby robić wystawę…

Gianluca Farinelli, kurator pokazu, dostrzegł we włoskim amancie jego gigantyczny wpływ na kino włoskie, a nade wszystko – na postrzeganie kultury włoskiej ostatniego półwiecza. Jak wiadomo, nie jest to model w świecie XXI-wiecznej kultury wiodący. Dlaczego więc Marcello zadziałał?

Umiał być jednocześnie sobą, również typowym Włochem, a zarazem reprezentantem całej zachodniej kultury.

Są aktorzy wpisani w epokę – a pamięć o nich często podsyca legenda. U nas takim jednym jedynym „nowoczesnym amantem" był Zbigniew Cybulski, którego mit, a raczej kult urósł do potęgi entej po tragicznej śmierci aktora.

No, ale Marcello to nie był typ awanturnika. Przeżył dość szczęśliwie 72 lata; większość z nich – teoretycznie – z tą samą żoną Fiorą Carabellą. Jasne, miał liczne romanse, bo przecież nie mógł ich uniknąć jako przykładowy i przykładny „latin lover".

Chociaż był zaabsorbowany życiem emocjonalnym, to nie należał do leniuszków. Zagrał w 140 filmach, najczęściej główne lub bodaj znaczące role. Miał szczęście do genialnych reżyserów, z Viscontim, Fellinim i Antonionim na czele. Do tego przyszło mu pojawiać się na ekranie z tak wspaniałymi partnerkami jak Sophia Loren, Monica Vitti, Faye Dunaway, Catherine Deneuve… Po prostu – dolce vita.

W trującą słodycz jego życia, w rozmamłanie woli, w egotyczne zapatrzenie we własny pępek wierzyliśmy długo – do czasów „Prêt-à-porter" Roberta Altmana (1994) i „Po tamtej stronie chmur" Michelangela Antonioniego (1995). Jednak tak naprawdę dopiero te filmy świadczyły o jego wielkości.

Mało który aktor jest w stanie tak autoironicznie potraktować siebie i swój mit.

CYRKOWIEC ŻYCIA

To wszystko jednak nic wobec najbardziej demitologizującego obrazu, na jaki stać aktora. „Ginger i Fred" (1986) jest opowieścią o starości, podaną w konwencji telewizyjnego show, z całą płycizną tego zjawiska. Każdy ma swoje 15 minut – nieważne, czy przyciąga uwagę umiejętnościami czy ich załamaniem. Bo to też ciekawe, gdy linoskoczek rąbnie z wysokiego pułapu lub lew postawi się treserowi. Ten swoisty cyrk każdy ma w domu, na co dzień, na małym ekranie.

Od czasów Degasa, Toulouse-Lautreca, a zwłaszcza Picassa i Chagalla cyrk stał się powszechnie rozumianą metaforą losu artysty. Nie muszę chyba mówić, że dotyczyło to też literatury. Od Szekspira w górę.

Jednak dopiero cyrkowa wizja Federica Felliniego zyskała rangę uniwersum. Co powinno nas napełniać dumą – mniej więcej w tym samym czasie (choć z lekkim opóźnieniem) parafrazy cyrkowych spektakli podejmuje awangardowy teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora.

Także muzyka – namolnie powracająca tym samym refrenem, trochę jarmarczna, ciut rzewna, łatwo wpadająca w ucho i kojarząca się z cyrkową areną, a nie ze szlachetną salą koncertową – to również stało się znakiem rozpoznawczym kina, które zwykło się określać jednym nazwiskiem: Fellini.

Jednak jak zwykle musiał zaistnieć wyjątkowy splot wydarzeń i okoliczności; musieli spotkać się ludzie o pokrewnych duszach i równie twórczych osobowościach, wyczulonych na „ducha czasów", by dokonał się przełom na skalę światową. Aby zaiskrzył fenomen taki jak Marcello Mastroianni.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Marcello Mastroianni „Una vita tra parantesi" („Życie w nawiasach") – Rzym, Museo dell'Ara Pacis, do 17 lutego 2019 r.

eprasa.pl 52d88eeb8a

„Mieszkanie Plus w Gdyni", aero.earth

Mieszkanie Plus kontra kredyt

W październiku 2018 r. Polacy zaciągnęli ponad 20 tys. kredytów mieszkaniowych na łączną wartość przekraczającą 5 mld zł. W porównaniu z ubiegłym rokiem to o aż 26 proc. większa kwota. Czy istnieje alternatywa dla zadłużenia się na długie lata? Jak zapobiec zadłużaniu się społeczeństwa? Odpowiedzią może być program „Mieszkanie Plus"!

Jak wynika z najnowszych informacji Biura Informacji Kredytowej, w październiku 2018 r. banki udzieliły łącznie 20,1 tys. kredytów mieszkaniowych na łączną wartość 5,177 mld zł. Stanowi to wzrost o 13,5 proc. w ujęciu liczbowym i wzrost o 25,6 proc. w ujęciu wartościowym, w porównaniu z październikiem 2017 r. Z kolei w pierwszych 10 miesiącach 2018 r. banki udzieliły łącznie 193,3 tys. kredytów mieszkaniowych na kwotę 47,4 mld zł. W porównaniu rok do roku oznacza to wzrost o 9,7 proc. i o 19,8 proc. wyższą kwotę.

Z tych danych wynika, że Polacy coraz częściej zapożyczają się na długie lata. Jak zapobiec temu zjawisku? Z pomocą przychodzi program „Mieszkanie Plus".

„MIESZKANIA PLUS" TAŃSZE NIŻ KREDYT

Sprawdźmy to na przykładzie inwestycji w Gdyni, w której obecnie trwa nabór do programu „Mieszkanie Plus". Przy kalkulowaniu kosztów warto zwrócić uwagę na istotny aspekt – płacąc czynsz za mieszkanie w ramach „M+" i wybierając opcję dojścia do własności, najemca płaci już „ratę" za nabycie lokalu. Biorąc pod uwagę mieszkanie w stanie deweloperskim w opcji stopniowego dochodzenia do własności przez 30 lat, miesięczny czynsz za takie mieszkanie wyniesie ok. 1,3 tys. zł, (z wliczoną ratą). Kwota, którą nam przyjdzie zapłacić za mieszkanie na własność po 30 latach, to 450 tys. zł. Jak to wygląda w przypadku kredytu? Średnia cena za tego typu lokal w Gdyni wynosi 400 tys. Zaciągnięcie kredytu na taką sumę wiąże się z miesięcznymi ratami spłaty w wysokości 1,7 tys. zł. Po 30 latach kredytobiorca za sam kredyt zapłaci ponad 600 tys. zł. Należy pamiętać, że do tej sumy trzeba dodać także comiesięczny czynsz za kupowane mieszkanie. Przyjmijmy, że wyniesie on ok. 400 zł. Zatem, łącznie z kredytem, w ciągu 30 lat będzie to ok. 740 tys. zł. Wynika z tego, że „Mieszkanie Plus" wypada 40 proc. taniej niż oferta rynkowa.

DOPŁATY DO CZYNSZÓW

Kolejną propozycją rządu, która ma wejść w życie już od stycznia przyszłego roku, jest program dopłat do czynszów „Mieszkanie na Start". Taka dopłata będzie mogła być przyznawana na 15 lat. Beneficjent będzie co roku weryfikowany pod względem swoich dochodów, tzn. czy nadal spełnia kryteria finansowe określone w ustawie. Wartość dopłat jest uzależniona od lokalizacji danej inwestycji. W Gdyni taka dopłata wynosi ok. 7 zł za 1 mkw. Zatem w przypadku mieszkania 50-metrowego można mówić o dopłacie rzędu 350 zł.

„M+" A ZMIANA SYTUACJI ŻYCIOWEJ

W programie „Mieszkanie Plus" przewidziano również przypadek, gdy zmieni się sytuacja życiowa najemcy. Pogorszenie warunków finansowych czy utrata pracy mogą wpłynąć negatywnie na zdolność czynszową. W takich przypadkach przewidziano możliwość wycofania się z umowy najmu z dojściem do własności. Najemca w wyniku rozwiązania umowy otrzyma zwrot kapitału zgromadzonego do tej pory w ramach dochodzenia do własności lokalu – inaczej niż w przypadku kredytu hipotecznego. Kredytobiorca, który traci płynność finansową, może stracić mieszkanie i pozostać z wieloletnim długiem na koncie.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Ugasić pragnienie lasu

Gdyby leśnicy machnęli ręką na zmiany klimatu, mogłoby dojść do katastrofy. Na szczęście w lasach prowadzi się wiele wodnych inwestycji

Można twierdzić, że klimat się nie zmienia, ale nie zauważyć, iż średnie temperatury wzrosły przez ostatnie 60 lat o 1,1 st. C, już się nie da. Ostatnie lata są gorące. Ten rok nie był inny. Najlepiej widzieli to grzybiarze. Najpierw upalne wakacje, a potem bardzo mało opadów jesienią. W lasach było sucho. Dlatego po raz pierwszy od dawna w niektórych regionach grzyby pojawiły się dopiero po 1 listopada – i akurat było tak ciepło, że jeszcze udało się je zbierać.

Susza w lasach to problem nie tylko dla grzybów. Przy niedoborach wody wiele roślin nie tylko usycha, lecz także zostają osłabione ich zdolności obronne. Drzewom trudniej wówczas przetrwać ataki szkodników, chorób czy zniszczenia wywołane wiatrami i mrozem. Przy długotrwałym braku wody niektóre gatunki drzew zamierają – tak jest np. z dębami czy jesionami.

OBLICZA SUSZY

Dwa lata temu Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej odnotował stan wód gruntowych wiosną o 50 proc. niższy niż o tej samej porze rok wcześniej. Na terenie Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Łodzi leśnicy z przerażeniem obserwowali zamieranie sosen i świerków, i to głównie w wieku przekraczającym 60 lat. Paradoksalnie największy kłopot był z drzewami rosnącymi w dobrych siedliskach, bo tam tworzyły płytki system korzeniowy. Gdy zabrakło wody, drzewa bez silnego palowego systemu korzeniowego miały kłopot z pobieraniem wody położonej w niższych warstwach gleby. Dotknęło to w sumie 3,8 tys. ha lasów. Szkodniki atakowały wówczas nie tylko zamierające starsze drzewa, lecz także nawet i młodniki. W sumie w Polsce susza osłabiła ponad 30 tys. ha drzewostanów sosnowych (a sosna stanowi 60 proc. wśród wszystkich gatunków polskich drzew w lasach).

W przyrodzie wszystko jest ze sobą powiązane, więc jeśli rośliny mają problem, to mają go w efekcie także zwierzęta. I nie chodzi tylko o oczywisty dostęp

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. CENTRUM KOORDYNACJI PROJEKTÓW ŚRODOWISKOWYCH

do wody, lecz także do pożywienia. Mniej zielonych roślin oznacza głód dla części gatunków. A wysychanie strumieni i zbiorników wodnych prowadzi w ogóle do zubożenia gatunkowego – część zwierząt traci miejsce do życia i rozrodu.

A i to niejedyny problem. Ponieważ gdy w lasach jest sucho – a właściwie okres suszy trwa w nich od 2015 r. – znacznie wzrasta zagrożenie pożarami. W tym roku doszło do kilku tysięcy pożarów, było ich zatem prawie trzy razy tyle co w roku 2017.

KAMIEŃ, DREWNO I PIASEK

Czy zmiany klimatu to w Polsce poważny problem? Z danych Instytutu Badawczego Leśnictwa wynika, że w ponad połowie nadleśnictw w kraju (53 proc.) braki wody są zjawiskiem trwałym, a w reszcie wody brakuje okresowo. Część nawodnienia powinna zapewniać topniejąca pokrywa śnieżna, ale ostatnie zimy są raczej deszczowe niż śnieżne. Białego puchu jest mało. Tutaj wkroczyć musi człowiek. I wkracza. Niekoniecznie z wielkimi betonowymi tamami na rzekach – a z niewielkimi, ekologicznymi inwestycjami na małych zbiornikach w lasach.

Dzięki projektom prowadzonym przez Lasy Państwowe, a dofinansowywanym przez Unię Europejską, tylko w latach 2007–2013 wybudowano lub poprawiono ponad 6,5 tys. obiektów. Dzięki pracom przy zbiornikach wodnych, ciekach, zastawkach, groblach i innych obiektach hydrologicznych udało się zmagazynować ok. 44 mln m sześc. wody.

Jak to wyglądało w praktyce? Badacze Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu sprawdzali efekty prac wykonanych 12 lat temu w Nadleśnictwie Włocławek oraz Nadleśnictwie Dąbrowa. To obszary dotknięte szczególnym deficytem wody i jedne z najcieplejszych w kraju, biorąc pod uwagę średnie wieloletnie temperatury. W Nadleśnictwie Dąbrowa zbudowano m.in. cztery kaskadowe zastawki na rzece Krępie płynącej przez zdegradowane łąki. Konstrukcje zbudowano z miejscowych naturalnych materiałów – kamieni, drewna i piasku. Efekt? Powstała powierzchnia zalewowa o wielkości 1,8 tys. – 32,9 tys. mkw. Zbiorniki te są w stanie zmagazynować ponad 18 tys. m sześc. wody. Dzięki temu w okresach wezbrań i roztopów można efektywnie wykorzystać wodę i przetrzymać ją do okresów, w których wystąpią deficyty. „Badania wykazały, że wybudowanie urządzeń piętrzących bliskich naturze, wykonanych z materiałów naturalnych, może być tanią alternatywą retencjonowania wody, w porównaniu z budową zbiorników retencyjnych, które wymagają także znacznych kosztów eksploatacyjnych" – napisali badacze.

Na projekty małej retencji dwa lata temu zwróciła uwagę Najwyższa Izba Kontroli, która przyglądała się temu sposobowi gospodarki wodnej w województwach śląskim i małopolskim. Kontrolerzy wskazali, że w Polsce wciąż nie docenia się znaczenia tego typu projektów dla zabezpieczania bezpieczeństwa powodziowego i ograniczania skutków susz. W raporcie pokontrolnym wskazano, że z takimi projektami znacznie lepiej od samorządów radziły sobie Lasy Państwowe.

„Nadleśnictwa zrealizowały w sumie 247 zadań remontowych i inwestycyjnych, dzięki czemu pojemność retencyjna zarządzanych przez nie obszarów wzrosła o co najmniej 4,4 mln m sześc. wody – napisali kontrolerzy NIK. – Pozytywny wpływ na zwiększenie retencji miało również zalesianie i odnawianie drzewostanu, odmulanie rowów oraz rewitalizacja oczek wodnych. Lasy Państwowe, w przeciwieństwie do samorządów, położyły również większy nacisk na popularyzację problematyki małej retencji".

ZATRZYMAĆ I ZEBRAĆ

W 2016 r. rozpoczęto nowe projekty małej retencji nizinnej i małej retencji górskiej w Lasach Państwowych. Prace przy nich pochłoną w sumie prawie pół miliarda złotych i potrwają do końca 2020 r.

W ramach projektów dotyczących retencji nizinnej powstanie w sumie 1181 obiektów piętrzących wodę lub spowalniających jej odpływ. Budowane i przebudowywane będą: zbiorniki (wraz z infrastrukturą umożliwiającą czerpanie wody do celów przeciwpożarowych), małe urządzenia piętrzące spowalniające odpływ wód powierzchniowych i ochraniające gleby torfowe, systemy melioracyjne – by pełniły funkcje retencyjne, a także służyły jako ciek dla ryb. Rozbierane też będą obiekty niedostosowane do wód wezbraniowych (mosty, przepusty, brody).

Pojemność obiektów retencyjnych na nizinach ma po zakończeniu prac wynieść 3,3 mln m sześc., a objętość gromadzonej tam wody wyniesie 2,1 mln m sześc.

Ponad tysiąc obiektów piętrzących lub spowalniających odpływ wody powstanie także w terenie górskim – dzięki projektowi adaptacji lasów i leśnictwa do zmian klimatu w tym terenie. Dzięki temu pojemność obiektów małej retencji ma wzrosnąć do 890 tys. m sześc. wody, a objętość zgromadzonej tam wody wynosić będzie 400 tys. m sześc.

Lasy Państwowe wskazują dobrą drogę zabezpieczania kraju przed suszami i powodziami. Według NIK tą drogą powinni podążać także inni w Polsce.

Olga Markowska

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z CENTRUM INFORMACYJNYM LASÓW PAŃSTWOWYCH

eprasa.pl 52d88eeb8a

Z prof. Rafałem Wiśniewskim, dyrektorem Narodowego Centrum Kultury
rozmawia Radosław Wojtas

Warto łamać konwenanse

FOT. ARCHIWUM RAFAŁA WIŚNIEWSKIEGO

Rafał Wiśniewski – doktor, doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny w Instytucie Socjologii UKSW, socjolog kultury, nauczyciel akademicki, menedżer kultury, dyrektor Narodowego Centrum Kultury.

RADOSŁAW WOJTAS: W jakim celu Narodowe Centrum Kultury prowadzi badania opinii o Święcie Niepodległości? To próba zbadania „poziomu patriotyzmu" Polaków?

PROF. RAFAŁ WIŚNIEWSKI: Narodowe Centrum Kultury to grupa kreatywnych ludzi, zespół łączący młodość z doświadczeniem, mający bardzo dużą wiedzę o kulturze oraz, co istotne, badaniach w obszarze kultury. Nasze koncepcje zawsze staramy się zweryfikować diagnostycznie, realizując badania empiryczne. Faktograficzna perspektywa pozwala nam zweryfikować trafność postawionych tez. Czasami mam wrażenie – i pokazywały to zresztą ubiegłe lata – że osoby publiczne funkcjonują w obszarze mniemań, symulakrów, a nie rzeczywistości. Innymi słowy, w dyskursie publicznym często mamy do czynienia z dualnym światem – z fantazjomatami i faktografią. Jestem socjologiem, reprezentuję naukę pozanormatywną, badania empiryczne są moim instrumentem poznawania rzeczywistości społecznej, m.in. dlatego od 2016 r. prowadzimy badania nad Świętem Niepodległości, a wyniki ich analizy przekładamy na konkretne działania, aby organizować wydarzenia angażujące ogół zbiorowości Polaków.

Jakie wnioski przyniosły tegoroczne badania? Setna rocznica odzyskania niepodległości łączyła nas czy jeszcze bardziej podzieliła?

Oczywiście na wielu płaszczyznach postaw i ocen się różnimy, ale są obszary, które nas także integrują. Jest niewielki odsetek ludzi, którzy – cokolwiek by im zaoferować – zawsze będą pasywni. I te kilka procent Polaków jest dla nas wyzwaniem, żeby przekonać ich do współuczestnictwa, partycypacji obywatelskiej. Dobrze, że mamy różne zdania, potrafimy patrzeć krytycznie na świat, w którym funkcjonujemy, ale ważne, aby była to krytyka konstruktywna, prowadząca do realnych i koniecznych progresywnych zmian.

Jesteśmy w trakcie analizy wyników ostatnich reprezentatywnych badań przeprowadzonych przez Kantar Public 13–15 listopada tego roku, ale możemy już przedstawić surowe wyniki. Co pokazały? Między innymi to, że niemal 100 proc. Polaków wie, co świętujemy 11 listopada. Identyfikujemy Święto Niepodległości. Większość respondentów, niezależnie o wieku, uznaje, że to święto nas łączy, prawie trzy czwarte badanych wskazało, że 11 listopada nas zbliża i to mimo tego, że w różnych narracjach medialnych próbowano dezintegrować tę powszechnie

odczuwaną wspólnotowość. W 2017 r. 62 proc. badanych wskazywało, że 11 listopada jest dla nich wyjątkowym dniem, natomiast w 2018 r. było to już 74,9 proc. To znaczy, że praca tysięcy ludzi z instytucji publicznych, samorządów, organizacji pozarządowych, którzy przygotowywali wspólną celebrację święta w całej Polsce, jest bardzo efektywna, że dostrzeżono fakt integrującego wymiaru świętowania. W 2016 r. 72 proc. osób twierdziło, że patriotyczna postawa jest dla nich ważna, a w 2018 r. już 88,9 proc. uznało to za istotną składową postawy obywatelskiej. Stulecie niepodległości to nie tylko tłumy na Krakowskim Przedmieściu, zorganizowany przez Biuro Programu Niepodległa koncert na Stadionie Narodowym, na którym 40 tys. osób śpiewało hymn i który obejrzało 7 mln widzów w kilku stacjach telewizyjnych, lecz także wiele wydarzeń w całej Polsce na poziomie regionalnym i lokalnym.

A także międzynarodowy festiwal Eufonie, który dobiegł końca w ostatni weekend. To wydarzenie, które zostanie po stuleciu niepodległości?

Z organizowanych przez nas wydarzeń wiele ma charakter trwały, np. murale z wątkami niepodległościowymi, pokazujące polskich artystów czy postaci, które kładły podwaliny pod niepodległość II RP. Poprzez organizację I Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Europy Środkowo-Wschodniej Eufonie chcieliśmy ukazać, że naszą misją jest kształtowanie wspólnoty nie tylko w Rzeczypospolitej, lecz także w Europie Środkowo-Wschodniej, na której terenie część krajów wraz z nami zmierzała ku niepodległości.

Festiwal różnorodności – od folku przez muzykę elektroniczną do koncertu kompozytorskich geniuszy – Polaka Krzysztofa Pendereckiego oraz Estończyka Arvo Pärta...

Zaczęliśmy urodzinami maestra Pendereckiego, dwa dni później był koncert wybitnego estońskiego kompozytora Arvo Pärta, którego dosyć trudno namówić na występ przed szeroką publicznością, z wyjątkiej rodzimej estońskiej. Mieliśmy występ Aleksandry Kurzak, folkowej grupy Vołosi z Karpat, mieliśmy maestra Lawrencea Fostera, maestra Jacka Kasprzyka, muzykę elektroniczną z Polski i Norwegii...

Wyszedłem z założenia, że festiwal Eufonie powinien stanowić szerokie forum wymiany gatunków muzycznych. Zachęcaliśmy do łamania sztywnych konwenansów i zapraszaliśmy do eksperymentowania w muzyce i w odbiorze muzyki, tzn. jeśli ktoś słucha muzyki symfonicznej, to mógł się wybrać na koncert muzyki elektronicznej, a np. fani muzyki elektronicznej mogli zainteresować się tym, co jest najlepszego w muzyce folkowej. Warto otwierać się na zróżnicowany repertuar muzyczny, bo mamy tyle wybitnych polskich gwiazd, wspaniałych artystów, ale również naszych przyjaciół z Europy czy ze świata, którzy chętnie włączają się w projekty realizowane przez Narodowe Centrum Kultury. Myślę, że nawet złożony organizacyjnie i treściowo festiwal Eufonie, na który bilety wyprzedano prawie na pniu, a w salach koncertowych brakowało miejsc, pokazał tym, którzy 10, 11 czy 12 listopada wskazywali, że obchody rocznicowe były organizowane „na szybko", iż to nieprawda. My pracowaliśmy nad nimi przez dwa lata, w ostatnim czasie po siedem dni w tygodniu, bo to są bardzo wielowymiarowe inicjatywy. Realizowaliśmy misję NCK, co zaowocowało niezwykłym zaangażowaniem i sukcesem działań.

Odzew wart włożonej pracy?

Od 2010 r. nie widziałem takich tłumów na Krakowskim Przedmieściu. Tylko że wtedy zjednoczyliśmy się wokół narodowej tragedii, a 11 listopada połączyła nas radosna okoliczność, która integrowała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Jednak to nie tylko Krakowskie Przedmieście, Stadion Narodowy. Nie tylko Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań i inne duże miasta. To przede wszystkim – na co zwracali uwagę zarówno premier Piotr Gliński, jak i pełnomocnik rządu ds. obchodów stulecia odzyskania niepodległości, wiceminister Jarosław Sellin – świętowanie na poziomie lokalnym. Pamiętam, że jeszcze na kilka dni przed obchodami 100-lecia niepodległości było sporo głosów pesymistycznych, że to się nie uda lub doprowadzi do zamieszek. I nagle okazało się, że od 10 listopada była głęboka cisza, temat wyrugowano z dyskursu. A dlaczego nie przyznać, że się udało, i nawet jeśli ktoś krytykował poszczególne wydarzenia, powiedzieć: „Tak, to była dobra praca, ten zespół zrobił kawał dobrej roboty, nie ja, nie ty, my wspólnie".

Niedawno skończyliśmy inicjatywę „Do hymnu" – konkurs dla szkół, który polegał na tym, żeby co najmniej połowa dzieci w szkole zaśpiewała hymn oraz jedną ze znanych patriotycznych pieśni. Kiedy planowaliśmy ten projekt, byłem nieco sceptyczny, sądziłem, że jeśli zgłosi się 50 szkół, to będzie sukces. Zgłosiło się 550 jednostek oświatowych. W projekcie wzięło udział 63 tys. dzieci. To jednak dopiero pierwszy plan, który zainicjowaliśmy. A drugi plan odbywał się w domach, w rodzinach. Kiedy bowiem np. szkoła wybierała do śpiewania „Rotę", w której jest fragment: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz ni dzieci nam germanił", dzieci pytały o historię i znaczenie śpiewanych treści, nie rozumiejąc ich, bo dziś, gdy mamy wolność, wszyscy chętnie uczą się języków obcych. Rodzice zostali więc zaktywizowani do tłumaczenia dzieciom kulturotwórczego sensu tożsamości, wyjaśniania, dlaczego w pieśni padły takie słowa, że wtedy nie było pozwolenia na polskość, język polski był zabroniony, że nie można było się modlić... I angażuje się w to krąg rodzinny, bliscy tłumaczą, powtarzają z dziećmi hymn. I w taki sposób program Niepodległa funkcjonuje – z jednej strony instytucje państwowe prezentują ofertę, z drugiej mobilizowane są działania oddolne.

A kiedy skończą się jubileuszowe obchody, wspólne śpiewanie hymnu – w Warszawie wciąż pozostanie bogata oferta kulturalna, a w małych miejscowościach wszystko wróci do normy. Czyli często do bardzo ubogiej w wydarzenia rzeczywistości. Czy i jak NCK próbuje to zmienić?

Narodowe Centrum Kultury organizuje duże wydarzenia, wielkie festiwale, ale tak naprawdę nasze działania zmierzają ku uruchomieniu i wspieraniu inicjatyw lokalnych. Po pierwsze, poprzez programy dotacyjne. W tym roku mieliśmy m.in. takie programy jak „Kultura – Interwencje 2018. EtnoPolska", „Ojczysty – dodaj do ulubionych", program stypendialny premiera Piotra Glińskiego – „Młoda Polska". Prowadzimy też szkolenia dla animatorów kultury działających lokalnie oraz ogólnie aktywistów i liderów społeczności lokalnych. Współpracujemy z domami kultury, ośrodkami kultury, wspieramy biblioteki, mamy nawet projekty skierowane do przedszkolaków i uczniów klas pierwszych. W małych miejscowościach zapotrzebowanie na kulturę jest bardzo duże, dlatego cieszę się, że pan premier Piotr Gliński podziela nasz pogląd, żeby zwiększać budżet na redystrybucję środków w kulturze, właśnie wspierając podmiotowość obywatelską. Żadna złotówka zainwestowana w kulturę nie jest stracona.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Nie tylko dla orłów

★★★★☆☆

REŻ. JULIUS AVERY
„OPERACJA OVERLORD" („OVERLORD")
USA 2018

wyst. Jovan Adepo, Wyatt Russell, Mathilde Ollivier

Po II wojnie światowej Niemcom dość szybko udało się wygrzebać z politycznej i gospodarczej zapaści. Z katastrofy wizerunkowej nie wydobędą się chyba do końca świata.

Jeśli nasi zachodni sąsiedzi mieli nadzieję, że 73 lata po śmierci Adolfa H. popkultura przestanie się nad nimi znęcać, to zgrzeszyli naiwnością. Szwarccharakteru spod znaku swastyki nikt nie jest w stanie zastąpić. Ani islamski terrorysta, ani sadystyczny narkobaron, ani miliarder mitoman, próbujący zdobyć władzę nad światem. Niemcy okazali się łajdakami wzorcowymi. Straszynmi i śmiesznymi zarazem. Teutoński stop fanatyzmu, karności i okrucieństwa rozpoznawalny jest nawet tam, gdzie nigdy nie stanęła stopa żołnierza Wehrmachtu.

Filmowi kryminaliści odziani w mundury feldgrau w starciach z herosami z USA i Wysp Brytyjskich zbierają bęcki. Czasem zdarza im się zdobyć przewagę, lecz w decydujących momentach tracą rozum oraz instynkt samozachowawczy, można do nich strzelać jak do kaczek. Znacznie groźniejsi (i lepiej wyglądający) są panowie esesmani. Diaboliczność owej formacji, mająca historyczne potwierdzenie w zbrodniach doktora Mengele i jemu podobnych, zrodziła pokusę, by i ją wyposażyć w supermoce.

Seria gier „Wolfenstein", która wylansowała zombi-nazistów, mimo zapowiedzi nie doczekała się ekranizacji. Jednak potwory Himmlera i tak zawojowały kino klasy B, a dzięki „Operacji Overlord" przenikną do mainstreamu. Żeby było dziwniej, film wyprodukowany przez samego J.J. Abramsa nie jest pełnokrwistym horrorem. Zaczyna się jak typowy wojenny akcyjniak. Jak wiemy ze szkoły, 6 czerwca 1944 r. alianci dokonali udanej inwazji na wybrzeże Normandii. Historiografia milczy o akcji dywersyjnej, zorganizowanej w wigilię „D-Day". Od czego jednak mamy Hollywood?

Oddział amerykańskich komandosów ląduje na tyłach wroga z zadaniem dotarcia do wioski, w której Niemcy zainstalowali tajne laboratorium. Tylko sześciu spadochroniarzy przeżyje skok, okolica roi się od patroli wroga, droga do celu prowadzi zaś przez pole minowe. Chcąc nie chcąc, muszą skorzystać z pomocy tubylców. Odtąd „Operacja Overlord" przestaje być siostrą „Tylko dla orłów", „Parszywej dwunastki" czy „Bękartów wojny".

Esesmani, źli do imentu, palą krucyfiksy i napastują Francuzki, na Francuzach dokonują zaś makabrycznych eksperymentów. Jak pognębić następców doktora Frankensteina: siłą czy sposobem? Szeregowy Boyce, wrażliwy Murzyn z Luizjany, znajdzie odpowiedź na to pytanie. Czy hybrydy namieszają w branży filmowej, podobnie jak w motoryzacyjnej? To się wkrótce okaże. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ZABÓJCZE MASZYNY"

Odległa przyszłość. Resztki ludzkości żyją w olbrzymich wędrownych miastach przemierzających na wielkich gąsienicach dna wyschniętych oceanów. W wędrownym Londynie obowiązuje doktryna „miejskiego darwinizmu" – wielkie miasta polują na mniejsze. Barwne połączenie post-apo ze steampunkiem, do produkcji widowiska wziął się Peter Jackson, reżyserię zaś powierzył swemu bliskiemu współpracownikowi z czasów kręcenia „Władcy Pierścieni". ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Zabójcze maszyny", reż. Christian Rivers, wyst. Hera Hilmar, Robert Sheehan, Hugo Weaving, USA 2018***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Fuga", reż. Agnieszka Smoczyńska, Polska/Czechy 2018***
- ***„Nadmiar łaski", reż. Gianni Zanasi, Włochy 2018***
- ***„Miśków 2-óch w Nowym Jorku", reż. Tim Maltby, USA 2018***
- ***„Kraina wielkiego nieba", reż. Paul Dano, USA 2018***

eprasa.pl 52d88eeb8a

Przypadkowy Mikołaj

Smutny jest los autora komedii romantycznej, powstałej w kulturowym kręgu TVN. Świata nie zadziwi, krytycy wyzłośliwiać się będą, publika uzna za oczywistą oczywistość, że ktoś próbuje poprawić jej samopoczucie w trudnym okresie przedświątecznym.

Na szczęście nawet twórca filmu idealnie sformatowanego ma pewien margines swobody. Nie musi zatrudniać Karolaka, młodego Stuhra ani Adamczyka. WystarczyOlaf Lubaszenko zastępujący Świętego Mikołaja, Mateusz Damięcki i Maciej Musiał w rolach lepów na kobiety oraz kilku starych znajomych w epizodach.

Fabułę można posklejać z fragmentów anglosaskich romcomów, od „Czterech wesel i pogrzebu" począwszy. Postacie ulepić ze stereotypów. Jak stoczniowiec – to wąsacz w kraciastej koszuli, jak futbolista – to lowelas, za kołnierz niewylewający.

Do tego garść sucharów, złote myśli typu: „Trzeba korzystać ze szczęścia dopóty, dopóki jest", natrętne lokowanie produktu (z Gdańskiem oraz jego niezatapialnym włodarzem na czele) i już mamy film, który w przyszłości ubogaci grudniową ramówkę wiadomej stacji telewizyjnej. Na tle sequela „Planety singli" może on zresztą uchodzić za dzieło co najmniej poprawne i stawiające odważne diagnozy społeczne.

Polacy rzeczywiście wierzą w Świętego Mikołaja. Dorośli nawet bardziej niż dzieci. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. MICHAŁ KWIECIŃSKI
„MIŁOŚĆ JEST WSZYSTKIM"
POLSKA 2018

wyst. Aleksandra Adamska, Mateusz Damięcki, Agnieszka Grochowska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POŻEGNANIE GWIAZDY

★★★★★☆

REŻ. KEVIN MACDONALD
„WHITNEY"
USA 2018, KINO ŚWIAT

wyst. Whitney Houston, Cissy Houston, Bobby Brown, Kevin Costner

Jest kilka rozdzierających momentów w tej opowieści. Chwila, gdy dowiadujemy się, kto wciągnął wokalistkę w narkotyki. Chwila, kiedy widzimy, jak Whitney podczas ostatniego tournée nie potrafi już śpiewać. Chwila, kiedy na jaw wychodzi szokujący sekret z jej dzieciństwa. Tę pasjonującą i smutną opowieść o Whitney Houston nakręcił uznany autor dokumentów, Kevin Macdonald, który nieźle dawał sobie radę także w fabule („Ostatni król Szkocji", „Jeżeli nadejdzie jutro"). Wiele motywów znamy z innych historii gwiazd pop – toksyczna rodzina, wykorzystujący je bezlitośnie menedżerowie, rozdarcie między nieustannym dążeniem do perfekcji a własnymi ludzkimi słabościami. „Whitney" wybija się jednak ponad sztampę, szarpiąc nerwy widza od początku do końca. Film poruszający i bezlitosny, szczególnie gdy uświadamiamy sobie, że ci, którzy o niej z tak wielkim uczuciem opowiadają przed kamerą, w tak wielkim stopniu przyczynili się do jej tragedii. ©℗

MARZYĆ TEŻ TRZEBA UMIEĆ

★★★☆☆☆

REŻ. JAMES MARSH
„NA GŁĘBOKĄ WODĘ"
WIELKA BRYTANIA 2018, BEST FILM

wyst. Colin Firth, Rachel Weisz, David Thewlis

Donald Crowhurst był żeglarzem amatorem, który rzucił wyzwanie zawodowcom i w roku 1960 spróbował jako pierwszy opłynąć kulę ziemską bez przybijania do lądu. W podróż wyruszył na pokładzie trimaranu własnego pomysłu. W filmie Jamesa Marsha w Crowhursta wciela się Colin Firth, bez wątpienia w najlepszej roli od lat. Ciekawe rzeczy dzieją się równolegle na lądzie, gdzie na Donalda czekają żona (świetna Rachel Weisz) i dzieci, a całą wyprawę odpowiednio sprzedaje mediom nadmiernie kreatywny agent prasowy (dobry David Thewlis). Prawdziwa historia Crowhursta była dużo mroczniejsza od tego, co widzimy w filmie, a on sam o wiele mniej sympatyczny. I tak nie jest to jednak historia ku pokrzepieniu serc. Raczej przestroga przed nierozważnymi marzeniami, których konsekwencje ponoszą nie tylko ci, którzy je snują. Z drugiej strony czym byśmy byli bez niebezpiecznej wyobraźni? ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

GRA TYGODNIA: „FALLOUT 76"

★★☆☆☆☆

„Fallout" to jedna z legendarnych serii gier RPG, osadzona w postapokaliptycznym świecie, w którym ponura rzeczywistość łączy się z przewrotnym poczuciem humoru. O ile czwarta część, przygotowana na konsole nowej generacji, zebrała mieszane recenzje, o tyle „Fallout 76" – wprowadzający tryb dla wielu graczy – doczekał się jednoznacznej oceny. Dramatycznie słabej. Dlaczego? Wypuszczona na rynek produkcja nieustannie się zawiesza, rozczarowuje grafiką, niezwykle liniową fabułą i płytkimi interakcjami z graczami z sieci, co miało być jej najmocniejszą stroną. Bez poważnych aktualizacji, omijać szerokim łukiem. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *RPG/FPP*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Bethesda/Cenega*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl 52d88eeb8a

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dziecięce główki Wyspiańskiego

Od dłuższego już czasu o malarstwie mówi się u nas tylko wtedy, gdy jakiś współczesny pacykarz wywoła skandal lub gdy obraz któregoś z dawnych mistrzów osiągnie wysoką cenę na aukcji. Niedawno za ponad 9 mln dol. w Nowym Jorku sprzedano „La Musiciene" Tamary Łempickiej, co wywołało poruszenie nad Wisłą, gdyż podobnej kwoty nigdy jeszcze nie zapłacono za dzieło polskiego malarza. Wcześniej najwyższą cenę osiągnęło „Macierzyństwo" Stanisława Wyspiańskiego – 4,16 mln zł, co miało miejsce na krajowej aukcji dwa lata temu. Prawie dziewięć razy mniej od Łempickiej. Cóż, Łempicką świat zna, zastanawiam się tylko, czy nie bardziej jako skandalistkę…

O Wyspiańskim świat nie słyszał za wiele, no i – powiedziałbym – niech tego żałuje. My mamy Wyspiańskiego dla siebie, razem z m.in. Jackiem Malczewskim, Leonem Wyczółkowskim, Olgą Boznańską czy Janem Stanisławskim. Reprodukcje tych i innych obrazów autorstwa samych znakomitości polskiego modernizmu możemy sobie teraz przypomnieć i poczytać o nich w nowym albumie znawcy i popularyzatora polskiej sztuki, Ryszarda Jeremiego Kluszczyńskiego, zatytułowanym „Od Malczewskiego do Wyspiańskiego. Malarze Młodej Polski". Znajdują się w nim reprodukcje 200 najpiękniejszych obrazów 22 artystów. Poza wymienionymi: Józefa Pankiewicza, Władysława Podkowińskiego, Józefa Mehoffera, malarzy ze szkoły Stanisławskiego: Stanisława Kamockiego, Stanisława Czajkowskiego, Henryka Szczyglińskiego i Stefana Filipkiewicza oraz Władysława Ślewińskiego, Wojciecha Weissa, Ferdynanda Ruszczyca, Teodora Axentowicza,

FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/FORUM

Juliana Fałata, Witolda Wojtkiewicza, Konrada Krzyżanowskiego, Edwarda Okunia, Alfonsa Karpińskiego, Włodzimierza Tetmajera i Kazimierza Sichulskiego.

Cóż oni mają wspólnego z Łempicką? Otóż nic, może na szczęście. Można by sobie bowiem wyobrazić, że gdyby Wyspiański wyszedł poza nadwiślańskie opłotki w szeroki świat, eksponowano by głównie przyczyny jego śmierci (kiła!) i zrobiono by z niego pedofila, jako że z upodobaniem malował główki dziecięce. Chcielibyśmy tego? No chyba nie i dlatego w spokoju ducha możemy obecnie kontemplować te główki czy, dajmy na to, „Widok z okna pracowni na Kopiec Kościuszki".

To właśnie malarze, nie ludzie pióra (Wyspiański był tu wyjątkiem, bo z sukcesem – jak to geniusz – łączył jedno z drugim) ani muzycy, zadecydowali o kształcie Młodej Polski, która nadała sztuce polskiej przełomu XIX i XX w. ten niepowtarzalny rys. To piękno zaklęte w płótnach Pankiewicza czy Wyczółkowskiego. Ryszard Kluszczyński wyróżnia kluczowe tematy tego malarstwa, sygnując je tytułami obrazów: „Widokiem Krakowa o zmierzchu" Juliana Fałata, „Kawiarnią paryską" Wojciecha Weissa (mawiał on: „Obecna szkoła francuska to tapicerstwo!"), „Przed burzą" Jana Stanisławskiego i może najważniejszym „Hamletem polskim" Jacka Malczewskiego.

Być może jednak, zauważa Kluszczyński, finalizując rozdział swego eseju poświęcony Malczewskiemu, „nie chimery, fauny i Polonia są najistotniejsze w obrazach tego wielkiego malarza poety, ale właśnie niezwykle uczuciowe i liryczne przedstawienia rodzimego pejzażu". Adam Heydel, zapomniany koneser malarstwa i literatury, podkreślał „wyjątkowo wprost polski" charakter obrazów twórcy „Świętej Agnieszki": „Malczewski komponuje po prostu fantastyczny pejzaż, zestawiając dowolnie różne elementy krajobrazu. Jego genialna intuicja i głębokie zrozumienie logiki sprawia, że stwarza w ten sposób świetne syntezy. Wiąże ze sobą istotne, nieprzemijające cechy, ujmując je w typ: polskiego dworu, polskiej wsi, polskiego lasu czy polskiego pola".

„Młoda Polska – konkluduje Kluszczyński – wyrosła z jednej strony z fascynacji europejskimi nurtami w kulturze i plastyce końca XIX wieku, a z drugiej tam mocno odwołująca się do narodowej historii i do ojczystej ziemi, antycypowała i przyczyniła się do powstania faktycznie młodej – niepodległej Polski po 1918 roku". I jak to przeliczyć na dolary, a nawet na złotówki? ©℗

★★★★★

RYSZARD JEREMI KLUSZCZYŃSKI „OD MALCZEWSKIEGO DO WYSPIAŃSKIEGO. MALARZE MŁODEJ POLSKI"
WBC 2018

eprasa.pl 52d88eeb8a

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Okna pana Hoppera

Jego obrazy niczego nie opowiadają – pisze o Edwardzie Hopperze we wstępie Lawrence Block. – Sugerują natomiast – w sposób przemożny, nieodparty – istnienie jakiejś historii, która czeka, by ktoś ją opowiedział". Trudno o większy komplement, bo przypominam sobie, jak w biografii Rembrandta zachwycony Charles M. Lee Jr. dowodził, że słusznym jest obwołanie holenderskiego mistrza Szekspirem malarstwa, bo jego wyjątkowość „polega na ukazywaniu rozstrzygających momentów. Tak, Rembrandt nie był ani historykiem, ani malarzem historycznym. Rembrandt był młodym dramaturgiem".

Siedemnaście opowiadań napisanych do antologii „W świetle i w mroku" to próby dostrzeżenia, dopowiedzenia lub po prostu wymyślenia owej historii kryjącej się w dziełach Hoppera. Każdy zaproszony pisarz wybrał jeden obraz i napisał tak właśnie inspirowaną opowieść. Grono szerokie i zacne, od giganta popkultury Stephena Kinga, przez współczesnych klasyków kryminału, takich jak Lee Child, Michael Connelly czy Jeffery Deaver, aż do kojarzonej z wysmakowanym uniwersyteckim mainstreamem Joyce Carol Oates. Odkrywanie, na jak rozmaite sposoby zabrali się do pracy, jest czystą przyjemnością.

Pozostali sobą. Connelly daje nam opowiadanie o swym ulubionym detektywie Boschu (intryga zawiązuje się w sali muzealnej, gdzie wiszą „Nocne ptaki"), Deaver idzie w thriller szpiegowski (podobnie jak Child), King serwuje makabreskę, a Megan Abbott opowieść o zazdrości. Każde opowiadanie nosi tytuł obrazu, który je zainspirował, na początku każdego umieszczono barwną reprodukcję. To akurat wydaje mi się mało trafione, obrazy powinny tu być, ale jako puenty, na zakończenie każdej historii.

Ameryka z owych opowiadań jest taka jak na obrazach Hoppera – pełna zwykłych ludzi próbujących dać sobie radę w świecie, który nie oferuje im zbyt wiele. Jednak choć wiele w nich melancholii, to i tak ocieplają chłód kadrów malarza amerykańskiej samotności. Chwila decydującej próby: Czy te literackie drobiazgi istniałyby bez malarskich usprawiedliwień dla swych narodzin? W zdecydowanej większości tak, nawet byłyby bardziej wieloznaczne i tajemnicze. Zbiór wymyślony i zestawiony przez weterana prozy kryminalnej Lawrence'a Blocka jest świadectwem dwóch miłości: do niepokojących, zapadających w pamięć dzieł Hoppera i do pisania owej magicznej sztuki, która nadaje niezapomniany smak i kolor nawet temu, co nie istnieje. ©℗

★★★★☆☆

AUTORZY RÓŻNI „W ŚWIETLE I W MROKU" W.A.B. 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

W księgarniach furorę robią wznowienia książek zmarłego w tym roku fizyka. Na tę warto zwrócić szczególną uwagę, bo jest bardzo ciekawa, choć mniej znana. To zapis dyskusji i wykładów Hawkinga oraz Penrose'a z sesji w Cambridge.

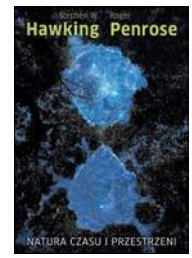

STEPHEN HAWKING, ROGER PENROSE „NATURA CZASU I PRZESTRZENI" ZYSK I S-KA

Od służby w armii niemieckiej poprzez walkę z zaborcą w Gnieźnie aż do boju przeciw bolszewikom w roku 1920 – wspomnienia jednego z przywódców powstania wielkopolskiego (znanego m.in. z walk pod Zdziechową).

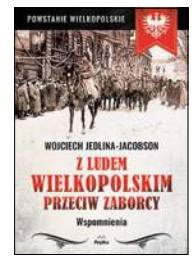

WOJCIECH JEDLINA-JACOBSON „Z LUDEM WIELKOPOLSKIM PRZECIW ZABORCY" REPLIKA

O zbędności wyrostka lub kości ogonowej wiedzą wszyscy, ale lista zarzuconych przez naturę projektów w ludzkim ciele jest dużo dłuższa. Najciekawsze jednak jest to, że często omyłki i kompromisy prowadziły do cudownych rezultatów.

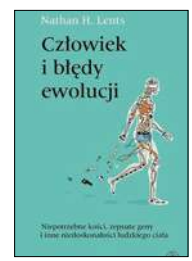

NATHAN H. LENTS „CZŁOWIEK I BŁĘDY EWOLUCJI" REBIS

„Laogai" to chiński obóz pracy przymusowej. Autor tych wspomnień spędził w takim 19 lat. Porównania do słynnego „Archipelagu GUŁag" Sołżenicyna są jak najbardziej uprawnione. To wstrząsająca książka. ©℗

poleca Piotr Gociek

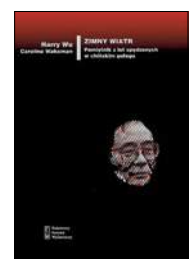

HARRY WU „ZIMNY WIATR" PIW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „Ten dzień" (Edipresse) – ciąg dalszy bestsellera erotyczno-kryminalnego „365 dni". Mam złą wiadomość: zapewne będą kolejne.***
2. ***Kuba Wojewódzki „Biografia nieautoryzowana" (Wielka Litera) – po pierwsze nie biografia, ale autobiografia. Po drugie nie da się tego czytać. Ale da się sprzedać.***
3. ***Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała" (Wielka Litera) – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.***
4. ***Heather Morris „Tatuażysta z Auschwitz" (Marginesy) – rzecz o Lale Sokołowie, który tatuował więźniom niemieckiego obozu numery na rękach.***
5. ***Anja Rubik „Sexed.pl" (W.A.B.) – modelka „łamie tabu" w 18 rozmowach o seksie. Tyleż puste, co głupie. Najbardziej niepotrzebna książka roku.***

(Najchętniej kupowane książki w listopadzie 2018 r. na Swiatksiazki.pl)

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. PER/KAPITAL PICTURES/EAST NEWS

Trzymaj się, Roksana!

Od kiedy w styczniu 2018 r. wyszła przed jurorów „The Voice Kids" – wokalnego talent show dla dzieci TVP – jej życie bardzo się zmieniło. Po wykonaniu piosenki „Halo" z ust Edyty Górniak, piosenkarki i jurorki w programie, padło wtedy: „Myślę, że Beyoncé w twoim wieku nie miała aż takiego głosu. [...] Jeżeli ty dzisiaj śpiewasz prawie tak jak Beyoncé, to gdy będziesz w jej wieku, to ja nie wiem, co się wydarzy". Czy po pierwszym występie w programie mogła usłyszeć większy komplement?

Roksana Węgiel wygrała „The Voice Kids", zdobywając dzięki temu kontrakt płytowy. Prawdziwy sukces, po którym o 13-latce mówiła cała Polska, miał jednak przyjść pod koniec listopada. Roksana reprezentowała Polskę na Eurowizji Junior, na której wystąpili reprezentanci 20 krajów. Wykonała swój utwór – „Anyone I Want to Be" – i dzięki głosom telewidzów zajęła pierwsze miejsce! „Moje Słońce. Wiedziałam!" – gratulowała w mediach społecznościowych Edyta Górniak.

– Ja naprawdę nie wierzę, gdzie się teraz znajduję, nie wierzę w to, co się przed chwilą stało – komentowała na gorąco Roksana Węgiel. A jej rodzice podkreślali, że jest to sukces całego sztabu ludzi, dziękując też Polakom w kraju i Polonii za głosy.

Nastolatka z Jasła, która dała Polsce pierwsze zwycięstwo w historii Eurowizji Junior, znalazła się na ustach wszystkich. Gratulacje słali nawet prezydent i premier. Prezes TVP Jacek Kurski zadeklarował, że telewizja publiczna zawalczy o organizację przyszłorocznej edycji dziecięcej Eurowizji, a przy okazji nie omieszkał wspomnieć o sobie. – Podjąłem osobiście decyzję, że nie robimy eliminacji, one się odbyły na „Voice Kids", że Roksana Węgiel będzie reprezentować Telewizję Polską i Polskę na Eurowizji dziecięcej, i to była bardzo dobra decyzja – mówił w materiale „Wiadomości".

A uczennica szkoły podstawowej zapowiedziała, że rzuci się w wir pracy. Roksana niebawem wydaje płytę i rusza w trasę koncertową, wystąpi też na sylwestrze TVP i na festiwalu w Opolu. Cudowny głos, pełen autentyzm emocji na scenie, kariera w show-biznesie leży u jej stóp. Dostępne w Internecie single młodej piosenkarki mają już ponad 10 mln odsłon, nie brakuje mocnych deklaracji: „Roksana Węgiel na kartach polskiej estrady pozostanie już na zawsze, ale przecież to dopiero początek nowego rozdziału" – głosi telewizja.

Oby w tej gorączce głowa Roksany pozostała chłodna. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Celebrytka z irokezem

Ocenia innych wokalistów w programie „Mam talent". Jej poprzedni album „Forever Child" osiągnął stutysięczny nakład. „Pink Punk" już w drugim tygodniu zaczął spadać na liście najlepiej sprzedawanych płyt. Czyżby zagrała za ostro?

Po tanecznym albumie „Modern Rocking" i elektronicznym „Forever Child" Chylińska powróciła do rockowych korzeni. Wyrazistość i plucie w twarz zawsze było jej dewizą, więc od razu otrzymujemy ostrzeżenie: „Mam zły dzień". Ten banalno-dowcipny kawałek został wybrany na singla i się sprawdza. W dwóch kolejnych numerach Agnieszka drze mordę zawodowo, by w „Schizie" dać nam się pokołysać. Następnie mamy średnio wolny, dwa łomoty, zabawny „Grinhead" (w stylu autoterapii Nosowskiej) i drugą, bardzo dobrą balladę „Psie życie". Album wieńczą numery z przesłaniem: „Nerv" („Ja muszę stać/ Ja muszę biec") i „Utopie" („Moje serce nie chce bić bez ran"). Co ciekawe, na płycie pojawia się kilka mniej lub bardziej świadomych nawiązań do dokonań Maanamu.

Chylińska nie tylko krzyczy, lecz także growluje (to takie gardłowe bulgotanie) o odrzuceniu, o depresjach, o swoich humorach i przede wszystkim o złym Nim. Niestety, ten rodzaj samoużalania graniczącego z samobiczowaniem („Jestem głupia, stoję tutaj/ Patrzę w lustro, znowu pusto" albo: „Może jestem głupia/ Życie da mi jeszcze łupnia") mało mnie przekonuje. ©℗

★★★★☆

AGNIESZKA CHYLIŃSKA „PINK PUNK" WARNER

★★★★★☆

MUSIQUETTE A „TERRY RILEY IN C" POLISH RADIO

Kompozycja amerykańskiego minimalisty została po raz pierwszy wykonana z udziałem słowiańskich cymbałów, liry korbowej czy harmonii trzyrzędowej. Czternastu muzyków pod wodzą Huberta Zemlera dało frapujący koncert. Dla wtajemniczonych.

★★★★★☆

CHRIS CORNELL „CHRIS CORNELL" UNIVERSAL MUSIC POLSKA

Zacna kompilacja. Solowe nagrania Cornella oraz dokonane z Soundgarden, Temple Of The Dog i Audioslave uzupełniają dwa niepublikowane utwory. Słodko-gorzkie kompozycje nabierają nowego wymiaru po samobójczej śmierci ikony muzyki grunge. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

ALEKSANDRA **GINTROWSKA** | JULIA **GINTROWSKA** | PAULINA **GROCHOWSKA** | RENATA **PRZEMYK** | IZABELA **TROJANOWSKA**
RAFAŁ **BARTMIŃSKI** | ŁUKASZ **DRAPAŁA** | KRZYSZTOF **KILJAŃSKI** | MAREK **PIEKARCZYK** | ADAM **SZERSZEŃ**
JAKUB **WOCIAL** | MATEUSZ **ZIÓŁKO** | ZBIGNIEW **ZAMACHOWSKI**
ORAZ **STOKŁOSA COLLECTIVE ORCHESTRA** POD BATUTĄ JANA **STOKŁOSY**

Koncert Galowy Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

2018 rokiem Zbigniewa Herberta

TEATR POLSKI W WARSZAWIE

10 GRUDNIA 2018

GODZ. 20.00

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

MECENASI KONCERTU

PGNiG | LOTOS | Enea

PARTNERZY

Poczta Polska | LOTTO | Fundacja Niepodległości | PZU Fundacja

PATRONAT MEDIALNY

Do Rzeczy | wprost | Jedynka Polskie Radio

WSPÓŁORGANIZATOR

TVP

Partner Fundacja PZU

eprasa.pl 52d88ceb8a

Z byłym ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim
rozmawia Piotr Zychowicz

Wojna na dwa fronty to samobójstwo

FOT. WIKTOR DABKOWSKI/AGENCJA GAZETA

PIOTR ZYCHOWICZ: To może być dla pana nieco niekomfortowe, bo będę pana nagrywać w restauracji.

RADOSŁAW SIKORSKI: Jeśli się o tym wie, to pół biedy.

Czy pański dwór w Chobielinie jest nadal strefą zdekomunizowaną?

Jest, gdyż oczyściłem go z syfu PRL. Tuszę, że ten zabytek – tak jak cała Polska – nigdy nie był w tak dobrym stanie jak dziś.

A Pałac Kultury nadal by pan zburzył?

Naturalnie. Uważam, że trzeba przestrzegać prawa. W Polsce obowiązuje ustawa nakazująca zdekomunizowanie przestrzeni publicznej. A to szkaradztwo jest bez wątpienia największym, najbardziej widocznym symbolem komunizmu w Polsce.

Słuchając pana, dochodzę do wniosku, że powinien pan być w innej partii.

PiS nie ma monopolu na antykomunizm. Przypominam, że to Platforma Obywatelska wprowadziła ustawę o obniżce emerytur ubeckich. Ustawa ta miała zresztą tę zaletę, że była konstytucyjna. Czyli likwidowała przywileje oficerów SB, a nie wprowadzała urawniłowkę, która dotknęła wszystkich niezależnie od tego, czy rzeczywiście szkodzili Polsce, czy też byli zwykłymi, szeregowymi pracownikami. Z drugiej strony uważam dziś starą komunę za mniejsze zagrożenie dla demokracji niż niektórych byłych kolegów z prawicy.

Jednak już prezydent Lech Kaczyński po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska powiedział panu, że żałuje, iż nie jest pan ministrem jego partii.

Podejrzewam, że to było nieszczere.

No dobrze, żarty na bok. Porozmawiajmy o poważnych sprawach. Niemiecki historyk Golo Mann pisał, że w Europie Wschodniej możliwe są tylko trzy scenariusze: 1. Polska z Niemcami przeciwko Rosji; 2. Polska z Rosją przeciwko Niemcom; 3. Rosja i Niemcy przeciwko Polsce. Zgadza się pan?

Ten dylemat – Niemcy czy Rosja – jest mniej ostry dzięki istnieniu Unii Europejskiej.

Unia to Niemcy.

Unia to nie Niemcy. W przedsiębiorstwie o nazwie Unia Niemcy mają 20 proc. udziałów. Czyli są największym akcjonariuszem, ale nie większościowym. Unia sprawia, że Niemców nie musimy się już bać. Czyni Niemcy bezpiecznymi dla Europy,

eprasa.pl 52d88eeb8a

dla Polski i dla nich samych. Dlatego taką głupotą jest szczucie Polaków przeciwko Berlinowi i Unii. Zresztą nawet zakładając, że pańska prowokacyjna uwaga jest słuszna i uznamy, że Unia to Niemcy – to stawka postawiona na Unię jest stawką racjonalną. Niemcy są bowiem demokratyczne, przewidywalne i niegroźne. Unia to dzisiejsze wcielenie zachodniego Cesarstwa Rzymskiego, do którego weszliśmy na ochotnika, a nie w wyniku podboju.

W Polsce jest sporo ludzi, którzy uważają, że ucieczką od dylematu „Niemcy czy Rosja" jest strategiczny sojusz z Ameryką.

Sojusz z USA jest oczywiście bardzo ważny. Nie może być to jednak nasz sojusz jedyny. I nie powinien być traktowany w sposób naiwny.

Na czym ma polegać ta naiwność?

Zacznijmy od historii. Jeszcze nigdy Anglosasi nie walczyli o Polskę w Polsce, na naszym terytorium.

Teraz mamy jednak na polskiej ziemi żołnierzy U.S. Army.

W tym sensie sytuacja jest rzeczywiście nieco lepsza niż trzy lata temu. Mamy – wynegocjowaną przez MSZ pod moim kierownictwem – umowę o statusie wojsk. Daje ona podstawę prawną do obecności amerykańskich wojsk w Polsce. I taka symboliczna obecność występuje. Mówiąc kolokwialnie: Amerykanie obsikują terytorium. Mówią drugiej stronie – wara, to jest strefa naszego zainteresowania.

Znowu mówi pan jak polityk PiS. Nie ma się co bać Rosji, bo jeśli wpakujemy się w tarapaty, to dzielni amerykańscy chłopcy przylecą zza oceanu i nas uratują.

PiS nie ma monopolu na antykomunizm i nie ma monopolu na sojusz polsko-amerykański. Traktat o przystąpieniu Polski do NATO podpisywał Bronisław Geremek. Dalibóg nie PiS-owiec. Jednak trzeba sobie zdawać sprawę, że sojusz zostanie wypełniony w niektórych warunkach, a w innych nie.

Kurs na Niemcy wydaje się logiczny i słuszny. Jest jednak pewien problem. Otóż – jak sam pan pisze w swojej najnowszej książce – Niemcy to „militarny karzeł". Trudno więc liczyć, że Bundeswehra ocali nas przed Putinem.

Ostatnio usłyszałem taki dowcip: „Dlaczego maj 2018 r. jest jak maj 1945 r.? Bo Luftwaffe znowu ma cztery sprawne samoloty bojowe". Polska armia posiada obecnie tyle samo niemieckich czołgów co Niemcy. I do tego mamy jeszcze trzy razy tyle czołgów postsowieckich. Czyli mamy w sumie cztery razy więcej czołgów niż Niemcy.

I tu jest kłopot. Dopóki panuje pokój, dopóty kurs „na Niemcy" jest opcją racjonalną. Jednak co na wypadek wojny?

To prawda. Z drugiej strony gra przeciwko Niemcom odcina nam drogi logistycznego wsparcia Polski. Pomoc w trakcie konfliktu z Rosją będzie przecież szła do nas z Zachodu. A więc przez Niemcy. W sensie wojskowym nie mamy zatem wyboru. Antagonizowanie Niemiec jest na dłuższą metę polityką samobójczą. To niszczenie najlepszej koniunktury, jaka istniała w stosunkach polsko-niemieckich od stuleci.

A Nord Stream 2?

Zawsze byłem wielkim przeciwnikiem Nord Stream, bo była to decyzja podjęta ponad naszymi głowami. Na takie zagrania mamy słuszną alergię. Na tym jednym rurociągu nie mogą się jednak kończyć stosunki polsko-niemieckie. Chociaż po dekadzie widać, że szkodzi on raczej Ukrainie niż nam.

> **Unia to dzisiejsze wcielenie zachodniego Cesarstwa Rzymskiego, do którego weszliśmy na ochotnika, a nie w wyniku podboju**

Gdy CDU przejęła władzę, Niemcy zapewniali, że od tej pory każdy samolot z Berlina lecący do Moskwy będzie zatrzymywał się w Warszawie. Z jednej strony deklaracje, z drugiej – rura pod Bałtykiem.

Akurat za czasów rządów PO Niemcy tej umowy dotrzymywali. Obowiązywała formuła trójkąta królewieckiego, czyli wspólnych rozmów niemiecko-polsko-rosyjskich. Niemcy z Polską wspólnie konsultowały stanowisko wobec Rosji w imieniu UE. Była to wymarzona dla nas sytuacja. W efekcie Niemcy nie mogli knuć z Rosjanami za naszymi plecami, a jeszcze my mieliśmy wpływ na stanowisko całej Europy. Oczywiście obecnie ta formuła została zarzucona.

Czy Polska może mieć jednocześnie fatalne stosunki z Rosją i Niemcami?

Jako były minister obrony mogę to powiedzieć z całą stanowczością – wojny na dwa fronty należy unikać. Jeżeli do takiego konfliktu by doszło, to pomoc amerykańska byłaby bardzo trudna lub wręcz niemożliwa. Nie powinniśmy więc myśleć o sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi jako o ubezpieczeniu od naszej nieodpowiedzialności. To prosta droga do powtórki z 1939 r. Obecny rząd skłóca nas z Zachodem i w ogóle zrezygnował z polityki wschodniej.

Nie przesadza pan?

To proszę powiedzieć, kiedy po raz ostatni polski minister spraw zagranicznych, premier lub prezydent spotkał się z rosyjskim odpowiednikiem?

Ho, ho. W innej epoce.

No właśnie.

Jednak skoro Rosja nie oddaje nam wraku...

Przecież politykę zagraniczną prowadzi się nawet z wrogami! A co dopiero z konkurentami czy rywalami. Polityki zagranicznej nie prowadzi się tylko z tymi, którzy się z nami zgadzają i we wszystkim nam potakują. Polska tymczasem nie tylko nie prowadzi żadnej polityki wobec Rosji, Polska nie prowadzi żadnej polityki wobec Ukrainy.

W 2015 r. zapowiadało się, że będzie zupełnie inaczej.

Ukraina potrzebuje Polski wtedy, gdy Polska ma mocną pozycję w Unii Europejskiej. Bo wtedy może przybliżać dla niej takie rzeczy jak ruch bezwizowy, a w perspektywie – członkostwo. Rezygnując dobrowolnie z naszej pozycji w Unii, automatycznie zrezygnowaliśmy z naszych wpływów na Ukrainie. Polska skłócona z Zachodem nie jest Ukrainie potrzebna. Nasze miejsce na Ukrainie zajęły Niemcy. Tak, to bardzo smutne, ale „za friko" oddaliśmy nasze wpływy w Kijowie Berlinowi.

Swoją rolę w konflikcie na Ukrainie w 2014 r. uważa pan chyba za swoje największe osiągnięcie.

Rosjanie do dzisiaj obwiniają mnie o utratę Ukrainy. Rok temu przysłali mi oficjalne postanowienie sądu moskiewskiego – z podpisami i pieczątkami – o tym, że jestem winien nielegalnego puczu w Kijowie.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Odpowiedział pan?

Nie (śmiech). Rosja uważa, że zdobyła 7 proc. terytorium Ukrainy, ale jednocześnie straciła 93 proc. I stało się tak z winy Polski, a osobiście – mnie. Przyznaję się.

Chodzi o wynegocjowane przez pana porozumienie Janukowycz – opozycja?

Raczej jego efekt polityczny.

Pamiętam ten obrazek w telewizji. Krzyczy pan na przedstawicieli opozycji, że jeżeli nie zawrą ugody z Janukowyczem, to wszyscy zginą.

To było zaraz po głosowaniu Rady Majdanu – 35:2 za przyjęciem porozumienia. A na korytarzu zaczepił mnie jeden z tych dwóch. I taka była wtedy prawda! Gdyby Majdan odrzucił porozumienie – wkroczyłaby do akcji brygada wojska przygotowana już przez Janukowycza. To byłaby rzeź. To była sytuacja jak u nas w grudniu 1981 r. Ludzie Solidarności już szykowali się do przejęcia rządów, a skończyło się stanem wojennym.

A może sytuacja była jak w roku 1989? Reżim się sypał i nie było potrzeby zawierać żadnych kompromisów.

Reżim zaczął się sypać dopiero wtedy, gdy Berkut dowiedział się, że w porozumieniu zawarto punkt zakładający pociągnięcie do odpowiedzialności winnych masakry na Majdanie. W efekcie berkutowcy zwinęli manatki i wrócili na Wschód. To był koniec. Ja byłem przekonany, że ten reżim po podpisaniu porozumienia się posypie.

Jak rozmawiać z państwem, które gloryfikuje morderców naszych rodaków?

Tak, wiem. UPA jest straszna, a nasi żołnierze wyklęci – cudowni.

Skala zbrodni popełnionych na Polakach przez UPA była znacznie większa niż zbrodni popełnionych przez wyklętych na Ukraińcach. Tam była zaplanowana operacja ludobójcza – tu wybryki poszczególnych oficerów.

Zgoda. I możemy to badać i upamiętniać, a jednocześnie iść do przodu drogą do pojednania oraz zbliżenia politycznego. Albo uznać, że krwawa przeszłość uniemożliwia jakąkolwiek współpracę. Prezydent Ukrainy już raz za zbrodnię wołyńską przeprosił. Ile razy Ukraińcy mają posypywać głowę popiołem?

Sytuacja się zmieniła. Środowiska gloryfikujące UPA zyskują na sile.

UPA to ich NSZ, który ma w Polsce swoich zwolenników za to, że bezkompromisowo walczył z komunistami, a raczej nie za to, że zdarzało mu się mordować Żydów. W obu krajach prowadzona jest rosyjska operacja wzmacniania wzajemnych antagonizmów. Dziwne, że PiS, który stawia pomniki Lechowi Kaczyńskiemu, działa wbrew jego ideom. Kaczyński jeździł na Ukrainę, podtrzymywał dialog w sprawach historycznych. To była najjaśniejsza karta jego prezydentury. Dzisiaj mamy partię, która na szczuciu zarówno na Niemców, jak i na Ukrainę próbuje pozyskiwać elektorat.

W książce pisze pan, że często zastanawiał się, jaką decyzję podjąłby na miejscu postaci historycznych. W 1939 r. jest pan Józefem Beckiem i...

Pan idzie zbyt daleko, optując za twardym sojuszem polsko-niemieckim i wspólnym marszem na Moskwę. Gdybyśmy przegrali, to mogliśmy skończyć jako państwo kadłubowe, bez kresów i bez ziem zachodnich. Można było jednak grać na czas. Polscy przywódcy w 1939 r. stali przed następującym dylematem: ugiąć się nieco przed wolą Niemiec albo iść na wojnę. I uznali, że Polak nie może się ugiąć przed Niemcem. No, jeżeli tak definiujemy nasz aksjomat cywilizacyjny, to innego wyjścia w 1939 r. nie było.

RADOSŁAW SIKORSKI „POLSKA MOŻE BYĆ INNA" ZNAK 2018

Jednak to oznacza, że jesteśmy skazani na rzeź co drugie pokolenie.

Taki aksjomat w zasadzie uniemożliwia prowadzenie polityki zagranicznej, która musi być elastyczna. W 1939 r. Beck stał przed takim samym dylematem, przed jakim stał w 1918 r. Lenin. Jak wiadomo, Lenin podpisał z Niemcami pokój brzeski. I w ten sposób zyskał czas kosztem terytorium. Należało postąpić podobnie. W przypadku Becka było to o tyle łatwe, że Gdańsk i tak nie był nasz. A autostrada eksterytorialna była koncepcją polskiego MSZ z lat 20.

Czyli pan na miejscu Becka grałby na czas?

Sytuacja, w której musielibyśmy się ugiąć, byłaby bez wątpienia wielkim szokiem dla opinii publicznej. Zyskalibyśmy jednak bezcennych sześć miesięcy. To byłby czas na przygotowanie się do wojny. Hitler uderzyłby w pierwszej kolejności na Francję. A my wtedy mielibyśmy wybór: czy pozostać neutralnymi, czy wbić Niemcom nóż w plecy, podczas gdy byliby związani walką na zachodzie. To byłaby dobra sytuacja. O niebo lepsza niż pchanie się pod niemiecki nóż na pierwszy rzut.

A jaką decyzję podjąłby pan na miejscu gen. Bora-Komorowskiego 31 lipca 1944 r.?

Nic bym nie robił. Po pierwsze, poczekałbym na rozstrzygnięcie bitwy toczącej się na wschodnich przedpolach Warszawy między Sowietami a Niemcami. Jak wiadomo, Niemcy wygrali i zatrzymali Armię Czerwoną. Przede wszystkim jednak decyzja o wywołaniu powstania była aktem politycznej niekompetencji. Nawet gdyby powstanie osiągnęło swoje cele wojskowe – co było niemożliwe – nie miało szans na osiągnięcie celów politycznych. A walczy się przecież nie dla samej walki, tylko po to, by uzyskać jakąś korzyść. Załóżmy, że powstanie kończy się sukcesem. AK wyrzuca Niemców z Warszawy i wita wkraczających Sowietów. I co dalej? Stalin zrezygnowałby ze swoich planów sowietyzacji Polski? Nie bądźmy śmieszni.

Nasi romantycy nie zaprzątają sobie głowy takimi „szczegółami".

Tradycja romantyczno-insurekcyjna też jest potrzebna. Nasz potencjalny przeciwnik powinien wiedzieć, że jesteśmy nieco szaleni. I że w sytuacji zagrożenia jesteśmy gotowi do walki oraz poświęceń. Naród, o którym wiadomo z góry, że nie będzie walczył, jest w gorszej sytuacji od takiego, wobec którego nie ma pewności. Ale z drugiej strony ten romantyzm nie może się zamieniać w emocjonalny szantaż: jeżeli nie jesteś gotowy na popełnienie honorowego samobójstwa – to nie jesteś dobrym Polakiem. Walka nie w każdych warunkach jest racjonalna. Czasami jest, a czasami nie jest. Trzeba wybierać odpowiedni moment.

Czyli inna sprawa to odwaga osobista, a inna kalkulacja polityczna.

Oczywiście. Ja nie mam nic przeciwko romantykom. Sam tradycji romantycznej w życiu osobistym hołdowałem. Tyle że romantycy powinni się bić, a realiści prowadzić politykę zagraniczną. Nigdy na odwrót!

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

Z Witoldem Waszczykowskim, byłym ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Maciej Pieczyński

PO odda suwerenność

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Stan, w jakim zastałem polską politykę zagraniczną, określam najbardziej eufemistycznie jako niezadowalający. W latach 2007–2015 podjęto szereg błędnych decyzji politycznych, które de facto osłabiły międzynarodową pozycję Polski" – mówił pan, podsumowując działania rządów PO-PSL w polityce zagranicznej. Jakie to były największe błędy i w jaki sposób osłabiły pozycję Polski?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Przede wszystkim były to grzechy zaniechania. Rząd PO-PSL uznał, że ostateczną realizacją naszych celów strategicznych było wejście do NATO i Unii Europejskiej. A skoro tak, to wystarczy tylko być, wystarczy płynąć w głównym nurcie, a bezpieczeństwo Polski będzie zapewnione. Nasi poprzednicy zlikwidowali ok. 30 placówek dyplomatycznych na całym świecie, wycofali polskie wojska z misji ONZ na wzgórzach Golan i Libanie. W 2011 r. Radosław Sikorski złożył swoisty hołd niemiecki, domagając się publicznie, by Berlin objął przywództwo w Europie. Przykłady błędów i zaniechań poprzedniej ekipy w obszarze dyplomacji można mnożyć. Wynikały one z przyjęcia pewnego sposobu sprawowania władzy. Platforma świadomie rezygnowała z ambitnej polityki zagranicznej, gdyż to niosłoby ze sobą konieczność rywalizacji z innymi państwami, a to z kolei mogłoby skutkować koniecznością porzucenia biernej polityki pilnowania „ciepłej wody w kranie". Zamiast walki o polski interes woleli wybrać podejście typu „moja chata z kraja".

Główną przyczyną tego złego – pańskim zdaniem – stanu polskiej dyplomacji były „niewystarczające polskie zdolności do analizy tego, co się dzieje w otoczeniu międzynarodowym"...

Rząd PO-PSL całkowicie zawierzył instytucjom międzynarodowym, szczególnie UE. Zaniechał nie tylko obrony, lecz także nawet prób zdefiniowania polskiego interesu narodowego. Dominowała błędna ocena sytuacji. Przypomnę, że opublikowana na przełomie lat 2013 i 2014 przez ówczesne Biuro Bezpieczeństwa Narodowego „biała księga" nie zakładała w najbliższym czasie żadnego konfliktu w Europie. W szczególności nie brano pod uwagę żadnego konfliktu, który mogłaby wywołać Rosja. A przecież kilka miesięcy potem doszło do aneksji Krymu i rewolty w Donbasie. Platformie brakowało uczciwej, wiarygodnej oceny sytuacji międzynarodowej.

Z czego to wynikało? Z naiwności? Braku wiedzy, doświadczenia?

W przypadku Sikorskiego wielokrotnie już pisano o braku odpowiedniej wiedzy. Co prawda, jest absolwentem Oksfordu, ale ukończył jedynie studia licencjackie. Szef BBN Stanisław Koziej był co prawda lepiej wykształcony, ale brakowało mu doświadczenia. To

eprasa.pl 52d88eeb8a

analityk, teoretyk, który oglądał świat z perspektywy swojego gabinetu. Do tego dochodziła naiwność tego środowiska politycznego. Tłumaczyłem im wielokrotnie, że UE to nie jest klub altruistów, tylko instytucja założona po to, aby twardo realizować interesy państw członkowskich. Politycy PO uwierzyli jednak, że brukselscy biurokraci będą z własnej nieprzymuszonej woli działać dla dobra wszystkich państw – od najmniejszych do tych największych. Dzisiaj widać, że aby cokolwiek w Unii osiągnąć, trzeba się rozpychać i walczyć o swoją pozycję.

Krytykował pan też hasło: „Płynąć w głównym nurcie". Pańskim zdaniem skupiano się na kwestiach wizerunkowych zamiast na ochronie rzeczywistych interesów polskich, unikano trudnych tematów w rozmowach z sojusznikami z NATO czy z partnerami z Unii. Czy jednak samej dobrej opinii międzynarodowej nie można nazwać sukcesem dyplomatycznym?

Pozytywny wizerunek kraju buduje się nie poprzez uległość wobec silniejszych, ale za pomocą soft power – czyli za pośrednictwem kultury, wydarzeń sportowych…

No to mieliśmy za rządów PO-PSL Euro 2012 w Polsce i na Ukrainie.

Które okazało się klapą z naszego punktu widzenia. Zajęliśmy ostatnie miejsce w grupie.

To nie była jednak wina Tuska, tylko Smudy!

To prawda. Jednak to, że Polacy są gościnni, otwarci i serdecznie przyjęli kibiców z innych krajów, to też nie jest zasługa Tuska. Natomiast zabieganie o dobrą reputację nie może być celem samym w sobie. Dobra opinia to najwyżej instrument realizacji celów narodowych.

Do dziś jednak zarówno politycy PO, jak i sprzyjające im media mają w Unii i szerzej na zachodzie Europy wpływy, o jakich politycy PiS mogą tylko pomarzyć. To jednak wielki sukces polityki Platformy. Dowód na jej skuteczność przynajmniej propagandową.

Tylko na co się te wpływy przekładają?! W 2008 r. PO, mając tak świetną opinię w Europie, zgodziła się na podwyższenie kwot emisyjnych CO_2 do poziomu, który jest zabójczy dla naszego przemysłu. Powstał gazociąg Nord Stream, ma powstać też druga nitka. Odsunięto budowę terminalu LNG, która została ukończona dopiero, gdy PiS doszedł do władzy. Gdzie są korzyści gospodarcze dla Polski z tych rzekomo wielkich wpływów Platformy?!

Dzisiaj te wpływy widać w „walce o praworządność". Gdy trzeba skarcić polski rząd za zmiany w sądownictwie, polityka zagraniczna PO okazuje się skuteczna.

To nie jest skutek jakichś mitycznych wpływów Platformy. Po prostu w Brukseli liberałowie mają z zasady duże wpływy. Spór z instytucjami unijnymi nie dotyczy rozwiązań prawnych, tylko kwestii światopoglądowych, ideologicznych. George Soros i Fundacja Batorego wydali miliony euro, by przebudować społeczeństwa środkowoeuropejskie na modłę lewicowo-liberalną i wszystko na nic, bo oto w Polsce i na Węgrzech wciąż rządzi prawica.

A gdyby PO zechciała swoje znajomości i sympatie na Zachodzie wykorzystać dla wzmocnienia pozycji Polski w Unii, myśli pan, że by się udało? Czy po prostu są w Brukseli, Berlinie i Paryżu lubiani dopóty, dopóki w pełni akceptują politykę unijnej centrali?

Raczej to drugie. Chociaż mogli się spróbować. Ostatnio była dyskutowana europejska dyrektywa dotycząca pracowników delegowanych. W takim charakterze pracuje na terenie UE bardzo wielu polskich kierowców, budowlańców. Oczywiście stanowią oni konkurencję dla Niemców czy Francuzów. Protekcjonistyczne praktyki, wymierzone przeciwko pracownikom delegowanym, są jawnym pogwałceniem podstawowych wartości unijnych – a więc swobody przepływu ludzi i usług. Dlatego zapytam: Gdzie był Tusk, gdy wybuchła debata na ten temat?! „Prezydent Europy" ma możliwość organizowania szczytów unijnych, wprowadzania punktów do agendy, spotykania się z najważniejszymi urzędnikami unijnymi… Czy europosłowie PO podjęli już jakąś akcję w obronie polskich pracowników delegowanych?! Czy Róża Thun, która tak chętnie ganiła nas za rzekome łamanie praworządności, zrobiła cokolwiek, by zatrzymać tę dyrektywę?! A przecież mówimy o sprawie, która w żaden sposób nie godzi w lewicowo-liberalny światopogląd, wręcz przeciwnie.

Politycy Platformy lubią powtarzać, że za ich czasów Polska przynajmniej nie miała tylu konfliktów naraz.

O jakich konfliktach pan mówi?! Mamy jakiś spór ze Skandynawią?! Nie. Idźmy dalej: 30 proc. naszej gospodarki jest włączone bezpośrednio w krwiobieg gospodarki niemieckiej. Mamy z Niemcami najwyższą wymianę handlową, przewyższającą niemieckie obroty handlowe z Rosją…

A jednocześnie mamy Nord Stream, zaraz Nord Stream 2, pouczanie w sprawie praworządności, spór o reparacje…

A kto wybudował Nord Stream – my czy Niemcy?! Kto sprowadził imigrantów i chciał zmusić pozostałe kraje do ich przyjęcia: my czy Niemcy?! Kto zatem łamie europejską solidarność? Wracając do konfliktów: czy prowadzimy jakiś spór z Czechami, ze Słowakami? Nie. Próbowaliśmy otwarcia na Białoruś, ale nie wyszło, gdyż Białorusini nie skorzystali z naszej oferty alternatywnej wobec rosyjskiego kuszenia.

Z Ukrainą mamy poważny konflikt o historię, z czego akurat pan musi sobie doskonale zdawać sprawę.

To Ukraińcy go wywołali, wspierając kult Bandery, nie chcąc rozliczyć się z własnej historii. Idźmy dalej – z Litwą nie mamy konfliktu, z Rosją owszem, konflikt jest, ale winę za to ponoszą Rosjanie. Wielokrotnie wspominałem, że klucz do poprawy stosunków znajduje się na lotnisku smoleńskim.

Nie chodzi o to, kto winien. Problem tkwi w tym, że nie potrafimy tego konfliktu rozwiązać. Brakuje skuteczności, a to ona jest najważniejsza w polityce zagranicznej.

A jaka była skuteczność Sikorskiego, kiedy groził śmiercią przywódcom Majdanu, jeśli nie zgodzą się na porozumienie z Janukowyczem?!

Taka, że tłum na Majdanie porozumienia nie zaakceptował, a Janukowycz kilka godzin później uciekł z kraju.

Sikorski podczas rozmów z Kijowie nie miał pojęcia, co się wokół dzieje. To był koniec lutego, a porozumienie zakładało, że Janukowycz miał do końca roku pozostać u władzy. Gdyby ten układ wszedł w życie, to konflikt, który niedługo po rewolucji Majdanu wybuchł na Krymie i w Donbasie, rozlałby się na cały kraj.

Dobrze, ale jest jeszcze konflikt z UE o praworządność.

I znowu muszę zapytać: kto go wywołał?!

eprasa.pl 52d88eeb8a

W Brukseli i Strasburgu twierdzą, że to Polska, uchwalając takie, a nie inne prawo.

A my odpowiadamy: w żadnym traktacie unijnym nie ma żadnej definicji praworządności, którą rzekomo złamaliśmy. Żaden traktat unijny nie mówi nic o tym, jak ma wyglądać ustrój sądów w Polsce czy w innym kraju członkowskim Unii.

Polityka musi być jednak skuteczna. Tymczasem obecny polski rząd wycofał się z części zmian pod naciskiem Komisji Europejskiej.

I jak dotąd skutecznie zreformowaliśmy Trybunał Konstytucyjny, KRS i ważną część Sądu Najwyższego. Od początku naszych rządów osiągnęliśmy wiele sukcesów w polityce zagranicznej. Postawiliśmy na wzmocnienie bezpieczeństwa. Buduje się tarcza antyrakietowa, jest obecność wojsk NATO, jest znaczna i silna jednostka amerykańska, w perspektywie będzie też kolejna stała baza amerykańska. Flanka wschodnia paktu północnoatlantyckiego jest zabezpieczona. Odbyły się m.in. szczyty NATO, Trójmorza w Warszawie czy Światowe Dni Młodzieży. Chce pan posłuchać o dalszych sukcesach? Proszę bardzo: w ciągu dwóch lat, gdy byłem ministrem, do Polski przyjechało dwóch kolejnych prezydentów USA, papież Franciszek, przywódcy państw z całego świata, polska premier podejmowana była w najważniejszych stolicach Europy, we Francji przez Hollande'a, następnie przez Macrona. Odtworzyłem osiem placówek z 30 zamkniętych przez poprzednika, a miałem na to wszystko tylko dwa lata, a nie osiem. Zostaliśmy członkiem Rady Bezpieczeństwa ONZ, wygrywając głosowanie 190 do 0.

Wcześniej przegrywając 1 do 27 wybory na przewodniczącego Rady Europejskiej.

Nie. To Europa przegrała z Niemcami. Pani kanclerz Merkel wystawiła Tuska.

I skutecznie go przegłosowała.

To był pokaz siły i arogancji. My zaś pokazaliśmy światu, że Tusk nie jest kandydatem Polski, tylko Niemiec. Nie zgadzam się z fałszywą tezą, w myśl której Polska jest jakoby skonfliktowana ze wszystkimi. Od trzech lat nasz prezydent, premierzy czy ministrowie spraw zagranicznych biorą udział we wszystkich ważnych wydarzeniach międzynarodowych na takich samych zasadach jak pozostali członkowie Unii i NATO.

Komentując sprawę listu ambasador Mosbacher do premiera Morawieckiego, stwierdził pan, że taka „megafonowa dyplomacja" nie służy dobrze relacjom polsko-amerykańskim. Jaka powinna być reakcja polskiego rządu?

Trzeba zachować spokój, gdyż mamy do czynienia z osobą spoza świata dyplomacji. Zachowanie pani ambasador może być wynikiem braku doświadczenia i przenoszenia prostych praktyk biznesowych do świata polityki i dyplomacji. Należy cierpliwie tłumaczyć nasze racje również w Waszyngtonie. Pani ambasador nie jest przecież jedynym naszym kontaktem z administracją USA.

Schetyna planuje „depisizację". Spodziewam się już na początku kilku gestów typu wręczenie Orderu Orła Białego Timmermansowi

Jak będzie wyglądać polska polityka zagraniczna, jeśli PO wróci do władzy?

Schetyna planuje „depisizację". Spodziewam się już na początku kilku spektakularnych gestów typu wręczenie Orderu Orła Białego Timmermansowi lub pani Merkel w ramach wdzięczności za obronę demokracji, rzekomo naruszonej za naszych rządów. Zapewne politycy PO odbędą kilka wiernopoddańczych wizyt do Berlina i Brukseli. Być może też do resortu spraw zagranicznych wrócą wyrzuceni za naszych rządów, wcześniej skompromitowani dyplomaci, ewentualnie przyjdą jakieś nowe twarze trybunów ludowych z demonstracji KOD.

Ma pan kogoś konkretnego na myśli?

Mam, ale nie muszę o tych osobach mówić, bo nie mam potrzeby ich nobilitować…

Angela Merkel stwierdziła niedawno, że państwa narodowe powinny rezygnować ze swojej suwerenności na rzecz unijnego centrum. Co prawda pani kanclerz powoli żegna się z polityką, ale wydaje się, że jej poglądy są reprezentatywne dla unijnych elit. Jak w tej sytuacji odnajdzie się Platforma?

Rafał Grupiński już powiedział, że prawo UE nie może być łamane z powodu rzekomej obrony suwerenności. Z pewnością Platforma po dojściu do władzy znów podporządkuje Polskę trójkątowi: Berlin-Paryż-Bruksela. Znów oddamy naszą suwerenność unijnym biurokratom za cenę znalezienia się w „głównym nurcie" europejskiej polityki.

Przynajmniej nie będziemy upokarzani kolejnymi połajankami na forum Parlamentu Europejskiego.

Będziemy jednak upokarzani dyrektywami pracowniczymi, dyskryminującymi polskich pracowników, pakietami klimatycznymi, niszczącymi polski przemysł. Polska pod rządami PO na pewno przyjmie euro, tym samym całkowicie podporządkowując się decyzjom gospodarczym, podejmowanym bez zgody Warszawy. A pan będzie zarabiał najwyżej kilkaset euro. W Niemczech pan poszaleje za taką kwotę… Kusząca wizja?

A jak rozwiną się relacje z USA? Donald Tusk ostro krytykuje Trumpa…

Wiele wskazuje na to, że Donald Trump za dwa lata wygra drugą kadencję. To byłby duży problem dla rządzących Polską liberałów, bo z pewnością nie będą w stanie porozumieć się z nim. Zapewne z obrzydzeniem będą podejmować kolejne decyzje dotyczące obecności amerykańskich wojsk w Polsce.

A co z Rosją?

Relacje z nią się poprawią, jeśli politycy PO zaczną znów, tak jak dawniej, zapalać świeczki na grobach sowieckich „wyzwolicieli", odbudowywać ich pomniki i pozostawią wrak samolotu w Smoleńsku na zawsze. Obawiam się też, że za cenę ciut tańszego gazu podłączymy się do Nord Stream 2, na kolejne dziesięciolecia uzależniając się energetycznie od Kremla. Zapewne będzie postępować zwijanie polskiego przemysłu, zamykanie kopalń… Nie powstanie też Centralny Port Komunikacyjny, bo – jak powiedział minister spraw zagranicznych w gabinecie PO – po co budować nowe lotnisko, skoro jest już jedno w Berlinie. Jestem w takim wieku, że na szczęście nie będę musiał patrzeć na tak zwasalizowane, uległe państwo, jeśli do tego dojdzie po kilku kadencjach naszych rządów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Gorzkie słowa na stulecie

Ewa Polak-Pałkiewicz

Czym hierarcha może zaskoczyć swoich wiernych w czasie świętowania 100-lecia niepodległości? Homilią!

Arcybiskup Stanisław Gądecki podczas homilii wygłoszonej 11 listopada w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie z okazji stulecia odzyskania niepodległości wykorzystał podniosły moment narodowego święta, by Polakom, a zwłaszcza obecnej ekipie rządzącej, po prostu przygadać. Usłyszeliśmy manifest polityczny utrzymany w tonacji nie świątecznej zgoła, lecz żałobnej. Litanię gorzkich wymówek pod adresem Polaków i naszej historii (utkaną misternie wśród obszernych fragmentów Starego Testamentu i rozlicznych wypowiedzi Jana Pawła II).

DWIE HISTORIE POLSKI

Szef Konferencji Episkopatu Polski sformułował tezę, że „praźródłem niewoli", czyli przyczyną rozbiorów Rzeczypospolitej, było „bałwochwalstwo" podobne do tego, którego dopuścili się starożytni Izraelici. „Podobnie i my, szukając najgłębszych przyczyn naszych rozbiorów, dostrzeżemy, iż ostatecznie przyczyną tego nieszczęścia było bałwochwalstwo naszych przodków; cześć boska oddawana stworzeniu zamiast Stwórcy" – zaznaczył. Rozbiory Polski byłyby zatem karą za bałwochwalstwo, tak jak niewola Izraela. Arcybiskup, rzucając tak poważne oskarżenie, nie przytoczył jednak ani jednego historycznego przykładu tego przestępstwa. Zostawił Polaków w poczuciu zadziwienia, że tyle już lat uczą się zupełnie innej historii – także w kościołach – niż ta, którą chciałby w tak uroczystym dniu przedstawić.

Sto lat temu papież Benedykt XV w orędziu do Polaków z okazji odzyskania przez Polskę niepodległości podkreślił, że w ciągu swej historii byli „wielokrotnie przez sąsiadów skazywani na śmierć". Nasi sąsiedzi w XVIII w. to protestanckie Niemcy, schizmatycka Rosja i nękana przez józefinizm Austria, katolicka w tym czasie tylko z nazwy (jednymi z pierwszych posunięć po III rozbiorze były zamknięcie klasztorów kontemplacyjnych na terenie zaboru austriackiego i brutalne wypę-

eprasa.pl 52d88eeb8a

Msza w Świątyni Opatrzności Bożej 11 listopada FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

dzenie z nich setek zakonników). Były to państwa, których przywódcy rzeczywiście zdradzili Kościół, a ich społeczeństwa się z tym pogodziły. Polska pozostała katolicka. W XVIII w. ta część wielkich rodów, która dwa wieki wcześniej przeszła na kalwinizm czy arianizm, masowo powracała na łono Kościoła. Kto więc zasłużył na wytknięcie mu bałwochwalstwa?

I czy nie rzucono się na nas w momencie, gdy wprowadzaliśmy Konstytucję 3 maja, jedyną w owym czasie w Europie i na świecie, która uchwalana była „W imię Trójcy Przenajświętszej" i która gwarantowała prawa obywatelskie wszystkim stanom, co było wyzwaniem zwłaszcza pod adresem Rosji, gdzie status chłopa równał się statusowi niewolnika? I właśnie równouprawnienie wszystkich klas społecznych, którego źródła wypływały z samej istoty chrześcijaństwa – a w przyszłości także planowane uszlachcenie wszystkich Polaków – wywołało taką panikę Katarzyny II…

Rzucanie Polakom w twarz 11 listopada, że byli bałwochwalcami i dlatego zasłużyli na utratę państwa, jest nadużyciem nie tylko wobec uczuć narodowych Polaków, lecz także wobec prawdy historycznej.

WINY POLAKÓW

Arcybiskup Gądecki, wymieniając zasługi Polaków okresu niewoli, na pierwszym miejscu sytuuje organizatorów pracy organicznej, na ostatnim bohaterów czynu zbrojnego (poświęca im jedno zdanie homilii). Jednak obszerną część rocznicowego wystąpienia zajmują… winy Polaków popełnione w czasie zaborów. Okazuje się, że choć ksiądz arcybiskup nie wyklucza, że „część Polaków zachowała w tym czasie wierność Ewangelii", wszyscy Polacy tamtego okresu byli – obiektywnie rzecz biorąc – winni! Jeżeli nawet nie zaciągnęli „winy kryminalnej", „winy politycznej", „winy moralnej", co miało na ziemiach polskich miejsce, to wszyscy ponoszą „winę metafizyczną", jak ujął to hierarcha, powołując się, co szczególne, na teorię niemieckiego psychiatry Karla Jaspersa (także uwikłanego w egzystencjalizm i fenomenologię filozofa, bezwyznaniowca). „[…] istnieje bowiem solidarność między ludźmi jako ludźmi, na mocy której każdy jest obarczony odpowiedzialnością za wszelkie zło i niesprawiedliwość na ziemi, jeśli to zło zostało dokonane w jego obecności lub z jego wiedzą. […]. W takiej sytuacji konieczna jest nasza prośba o przebaczenie win, które zostały popełnione w tamtym okresie przeciwko Ewangelii, przeciwko Kościołowi i polskiemu społeczeństwu" – mówił arcybiskup. Tutaj także zabrakło jakichkolwiek historycznych przykładów tego znieprawienia. Teza o rozbiorach jako karze dla Polaków zyskała jednak dodatkowe uzasadnienie. Bałwochwalcy okazali się także złoczyńcami z tej przyczyny, że wtedy właśnie żyli. A tak długo trwaliśmy w zaślepieniu, sądząc, że to Moskale obciążeni są winą niezliczonych zbrodni na Polakach! Zsyłek, katorgi, rabunków, uniemożliwiania praktykowania wiary katolickiej, wynaradawiania młodych pokoleń. I że to Niemcy zafundowali nam status kolonii. Że jedni i drudzy wprowadzali brutalny terror, więzili kapłanów i biskupów, wyrzucali z domu polskie rodziny, siłą wcielali polską młodzież do obcych armii.

Kolejną część rocznicowej homilii szef Konferencji Episkopatu poświęcił „miłości nieprzyjaciół", której Polakom okresu zaboru najwyraźniej zabrakło. „Jezus zniósł prawo odwetu, zastępując je prawem miłości… […]. Poprzez rezygnację z własnych – nawet słusznych – praw i przez pragnienie dobra drugiej osoby uczeń Chrystusa może przyczynić się do nawrócenia agresora i zmiany jego życia. Najpierw trzeba uśmierzyć agresję łagodnością, a dopiero wtedy można odwołać się do prawdy i sprawiedliwości" – zaznaczył. To już kolejna wina naszych rodaków w niewoli. Zdaniem abp. Gądeckiego Polacy powinni sobie uświadomić, że przez te 123 lata otrzymywali po prostu to, na co zasłużyli. Nie potrafili być dobrotliwi i przyjaźni wobec rycerskich Rosjan, szczerzyli zęby wobec uprzejmych Niemców, nie zdobywali uśmiechem i kwiatami serc dwornych Austriaków. Za abp. Szczęsnym Felińskim

eprasa.pl 52d88eeb8a

– cytując fragment jego „Pamiętników" – autor homilii surowo rozlicza patriotycznych duchownych zaangażowanych po stronie walczących o wolność powstańców: „Nie tylko nie troszczyli się oni wcale o nawrócenie swoich prześladowców, lecz zbyt swobodnie pojmując obowiązki podbitego narodu względem zaborczej władzy, nie poprzestawali oni na upoważnieniu biernego oporu w rzeczach przeciwnych sumieniu i zastrzeżeniu praw swoich […]". „Bezdroża…" – ten stosunkowo łagodny epitet unaocznia ogrom przewin polskich powstańców listopadowych, styczniowych i ich kapelanów wobec zaborców, który mogliśmy w tej rocznicowej homilii usłyszeć.

Kościół jednak zna pojęcie porządku miłości, ordo caritatis – najpierw trzeba troszczyć się o najbliższych, którzy są zagrożeni. Zna też pojęcie wojny sprawiedliwej, do której ludzie wierzący mają nie tylko prawo, lecz także wręcz ich obowiązkiem jest ją prowadzić. Z niejasnych powodów zostało ono zapomniane. Wojna sprawiedliwa to wojna obronna. Toczące się na ziemiach polskich powstania narodowe były de facto „wojną sprawiedliwą": o wiarę, wolność dla Kościoła, w obronie polskiej rodziny, w obronie przed demoralizacją i rozpijaniem narodu prowadzonymi zwłaszcza przez Rosjan (należało do nich 80 proc. ziem Rzeczypospolitej).

Co takiego wydarzyło się w Kościele w ciągu ostatniego stulecia, że podczas gdy Benedykt XV w orędziu skierowanym do Polaków w 1918 r. mówi o „niewypowiedzianych katuszach ludu polskiego", o jego „męczeństwie", o „ciemiężonym narodzie", o „narodzie wiernym i rycerskim", abp Gądecki grzmi o obciążającym nas grzechu bałwochwalstwa i o tym, że na rozbiory po prostu zasłużyliśmy? Benedykt XV oczekuje, że cierpienia i bohaterstwo Polaków zostaną uwiecznione w najnowszej historii Kościoła, szef episkopatu układa w misterne ciągi nasze małości i zdrady (przywołując autorytet niemieckiego psychiatry).

NIEPODLEGŁOŚĆ I SAVOIR-VIVRE

Arcybiskup Gądecki poświęcił także fragment homilii konieczności „odnowy naszej wiary" i „odnowy naszych sumień" oraz „odnowie naszej kultury", posługując się obszernymi cytatami z Jana Pawła II. Jest z pewnością wielkim przywilejem móc odnaleźć się we wspólnocie etycznej, jaką stanowiło w ciągu wieków historii polskie społeczeństwo, powiązane religią, kulturą, pamięcią. We wspólnocie wiary i losu, która jest jednocześnie wspólnotą słowa. Jednak gdy w zakończeniu homilii abp Gądecki mówi o „odnowie polityki", ignoruje potrzebę takiej wspólnoty. Akcentuje zupełnie inne umocowanie norm społecznych: „prawo", a także „interesy" i „opinie". Pojawia się zarzut wobec sprawujących władzę: „I nie myślę tutaj jedynie o sporze o reformę sądownictwa, ale o czymś znacznie bardziej podstawowym, o prawach, które w zasadniczy sposób są sprzeczne z prawdą o człowieku i w konsekwencji uznają życie niektórych ludzi za »niewarte życia«. Jakże bym pragnął, aby ludzie, którym na sercu leży praworządność, z pełnym przekonaniem zaangażowali się w zniesienie takich praw, bo jak istnieją fake news, tj. fałszywe informacje, tak też istnieją fake laws, czyli fałszywe prawa. Wprawdzie instytucje publiczne wytrzymają wiele, a wolna polityka bez konfliktowego elementu jest niemożliwa – skoro nasze interesy, opinie i przekonania konkurują ze sobą – niemniej jednak wolnościowy ład potrzebuje pewnego politycznego stylu, jeśli coraz więcej obywateli nie ma się odwrócić od niego ze wstrętem".

W homilii niespodziewanie „rozrachunkowej" znalazło się miejsce na swoiste odcięcie się od katolików sprawujących rządy

Autor homilii powołał się tu na kolejny niemiecki autorytet – politologa Bernharda Sutora, autora „Etyki politycznej". Obarczanie winą obecnego rządu za proceder aborcji, zrzucanie odpowiedzialności za ten fakt wyłącznie na ustawodawcę – przy mocnym akcentowaniu roli indywidualnego sumienia w tej samej wypowiedzi, z obszernym przywołaniem Jana Pawła II – jest chyba równie trafne jak przypisywanie XVIII-wiecznym Polakom bałwochwalstwa. Zwłaszcza że pamiętamy, iż przez wiele lat, w tym przez lata rządów PO i lata wcześniejsze, biskupi o grzechu aborcji milczeli; sprawa stała się nagle aktualna dziś. Nadal nie mówi się jednak o grzechu wobec Boga, co jest przecież zadaniem Kościoła, ale o winie wobec człowieka, wobec jego praw.

W homilii tak niespodziewanie „rozrachunkowej" znalazło się miejsce na swoiste odcięcie się od katolików sprawujących rządy w państwie. Arcybiskup daje wyraźny komunikat, że nic nie łączy hierarchii Kościoła z ekipą rządzącą. To skądinąd logiczne – skoro nie łączy historia, to nie łączy też wspólnota. Nie łączy nade wszystko – i to jest chyba najbardziej zagadkowy element rocznicowego wystąpienia – wiara.

SZPILKI W AKAPITACH

Wśród licznych i obszernych cytatów (oprócz Starego Testamentu, Karola Wojtyły, także dokumentów ostatniego soboru), które stanowią zasadniczą objętość homilii, słowa przygany wobec rządzących są niczym „armaty ukryte w kwiatach" albo raczej ostre szpileczki wysuwające się co kilka akapitów. Po wysłuchaniu wystąpienia w Świątyni Opatrzności Bożej nasuwa się przypuszczenie, że część hierarchii Kościoła – z pewnością nie wszyscy polscy biskupi – znalazła się w rodzaju dysonansu poznawczego. Świadczy o tym lansowanie przez episkopat pomysłów Angeli Merkel przygarniania przez Polskę islamskich uchodźców (tymczasem zasada ordo caritatis pozwala sprzeciwiać się masowemu przyjmowaniu imigrantów w zgodzie z chrześcijańskim przykazaniem miłości). Ignorowanie wysiłków obecnych władz politycznych dla dźwignięcia państwa, brak odniesienia się do ich oszczerców w Polsce i za granicą, milczenie w sprawie afer i przestępstw poprzedniej ekipy – to kolejne cechy tego dysonansu. W tej sytuacji zarzucanie polskim władzom braku „pewnego politycznego stylu, jeśli coraz więcej obywateli nie ma się odwrócić ze wstrętem", co aluzyjnie czyni abp Gądecki, jest – mówiąc eufemistycznie – nie najbardziej fortunnym i nie najbardziej eleganckim, zważywszy na czas i miejsce, gestem.

Końcowe zdanie homilii księdza arcybiskupa: „Na koniec prośmy więc Boga – słowami ojca Piotra Skargi – o suwerenność i niepodległość naszej Ojczyzny" znalazło się w tekście przedrukowanym 13 listopada w „Naszym Dzienniku", lecz zniknęło z tego zamieszczonego na stronach Episkopatu Polski (po nim następują cytaty ks. Skargi i Antoniego Góreckiego). Prosi się na ogół o coś, czego się nie posiada. Czyżby zdanie to zawierało kolejną ukrytą aluzję, którą polscy katolicy powinni odczytać? Że nasza dzisiejsza suwerenność i niepodległość nie jest tą właściwą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bareja globalny

W Polsce – niezależnie od tego, kto rządzi – ciągle dzieje się coś, co jest „jak z Barei", ewentualnie „Mrożek by tego nie wymyślił". Dlatego miło się przekonać, że inne kraje też mają na koncie podobne osiągnięcia.

Nawet tak potężne jak Ameryka. Pani ambasador USA, która nazywa premiera kraju, przy którym jest akredytowana, ministrem, robi błąd w jego nazwisku, a także w nazwisku ministra spraw wewnętrznych – to historia jak z „South Parku".

Mnie raduje też – wiem, że to przejaw słowiańskiej małostkowości – niekończąca się budowa lotniska w Berlinie, które – są na to szanse – nigdy nie zostanie dokończone. Równie symptomatyczna – i zabawna – była historia samolotu kanclerz Merkel. Otóż na strzeżonym lotnisku wojskowym włamał się do niego jakiś Turek, by samotnie, ale z przytupem świętować swoje urodziny. Został wykryty dopiero, gdy włączyły się systemy przeciwpożarowe, bo bawił się chłopina z takim przytupem, że aż iskry szły.

Z mniejszych rzeczy. Ucieszyła mnie ostatnio w Jordanii podróż tzw. Drogą Królewską – główną osią komunikacyjną tego pięknego kraju. Wjechaliśmy na dwupasmowy odcinek tej trasy i dopiero po dłuższej chwili zauważyliśmy, że coś jest nie w porządku. Po jeszcze dłuższej zrozumieliśmy co. Otóż po obu stronach naszego pasa ruchu stał prawdziwy las znaków drogowych. Co 10–15 metrów ustawiony był banalny znak (z ograniczeniem prędkości albo z informacją, żeby trzymać się prawego pasa) i tak… po horyzont. Wyglądało to tak, jakby ekipa robotników drogowych postanowiła sobie ułatwić pracę i znaki przeznaczone na cały kraj wkopała na odcinku 10 km.

Było to dziwne, ale po kilku kilometrach stało się naprawdę niedorzeczne. Otóż gąszcz znaków zniknął z naszego pasa, a pojawił się po obu stronach pasa przeciwnego. Z tym że znaki ustawione były… w naszą stronę. Czyli kierowcy jadący z naprzeciwka nie widzieli znaków, które były dla nich przeznaczone. A były ich naprawdę grube setki. Albo byliśmy świadkami jakiegoś gigantycznego przekrętu, albo widzieliśmy efekty grupowego odurzenia silnymi środkami psychotropowymi. Alkoholu bowiem się tam raczej nie pija.

Skądinąd z tym alkoholem u muzułmanów to też zabawna sprawa. Prorok Mahomet zakazał picia wina w tym samym akapicie, w którym zabronił też wróżenia z lotu strzał, co było nieco mniej brzemienne w skutki. Najciekawsze jest jednak to, że kilkaset lat później Arabowie wynaleźli destylację. Tak, to im zawdzięczamy fundamenty naszej tożsamości. Przez jakiś czas zastanawiano się nad tym, co z tym fantem zrobić, bo prorok nic nie wspominał o destylatach. Niestety, jak wiemy, była to historia bez happy endu. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Kłopoty to nasza specjalność

Nawet największy zwolennik dobrej zmiany nie może zamykać oczu na dziecinną łatwość, w której nasze państwo pakuje się w kłopoty. Przeważnie całkowicie niepotrzebne. Nie oznacza to, że intencje są niesłuszne, cele haniebne, a urzędnicy nieudolni. We wszystkich sprawach, których doświadczyliśmy w ostatnim roku – czy chodzi o walkę z fałszerzami historii, ambitny plan reformy sądownictwa czy przeciwdziałanie nierzetelnej propagandzie – polska prawica ma 100 proc. racji. I, gdyby tylko wszystko się udało, projektodawcom tych zamierzeń należałyby się pomniki i wdzięczna pamięć pokoleń. Jeśli się jednak nie udaje? Wtedy okazuje się, że nie ma żadnego planu B poza – wstyd powiedzieć – rejteradą.

Czy mając w głowie plan określonej batalii, nie należało zrobić tego wolniej, spokojniej, za to konsekwentniej?

Czy naprawdę nie można było przewidzieć reakcji na tzw. ustawę IPN-owską, na wysłanie wierchuszki Sadu Najwyższego na emeryturę czy na dobieranie się do skóry kłamliwemu zagranicznemu medium? Co więcej, czy mając w głowie plan określonej batalii, nie należało zrobić tego wolniej, spokojniej, za to konsekwentniej?

W dodatku jako ostrożny zwolennik spiskowych teorii dziejów dopuszczam możliwość prowokacji i nie wykluczam aktywności agentów wpływów. W dodatku istnieje ewentualność, że prowokacje mogą być bardziej piętrowe, niż w pierwszej chwili się to wydaje. Prymitywna ustawka z imprezą nazistów mogła mieć naturalnie jednorazowy cel – dostarczenie pożywki kołom budującym narracje o faszyzmie odradzającym się w Polsce. Mógł jednak istnieć plan dalszy i perfidniejszy, np. chodziło o to, żeby wywołać reakcje władz przeciw obcej stacji, co w efekcie prowadziłoby do konfliktu z jej potężnym protektorem.

Gra przeciwko Polsce prowadzona jest na wielu poziomach i na licznych fortepianach – doprowadzenie do stanu, „by było, jak było", jest tylko jednym z celów i to wcale nie najważniejszym. Zadanie główne to Polska słaba, podzielona i pozbawiona najważniejszych sojuszników. Dlatego czasami trzeba pięć razy się zastanowić przed podjęciem nawet najbardziej słusznej i popularnej decyzji i nie bać się stwierdzenia: „Lepiej nie"! – J.F. Kennedy, kiepski prezydent i wcale nie rewelacyjny kochanek, zasłynął kiedyś bon motem, że wojny należy robić tak jak jeże miłość – ostrożnie. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

Holokaust Chmielnickiego

FOT. HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

Jacek Komuda

Dla zbuntowanych Kozaków Żyd był tak samo przeklętym wrogiem jak polski szlachcic i ksiądz

W czasie powstania Bohdana Chmielnickiego czerń i Zaporożcy zamordowali kilkadziesiąt tysięcy Żydów. W powszechnym rozumieniu buntowników to właśnie ich działalność stała się jedną z przyczyn powstania, społeczność żydowska napływała bowiem licznie na Ukrainę, gdzie zajmowała się handlem i dzierżawą nieruchomości.

W liście do księcia Dominika Zasławskiego z 12 czerwca 1648 r. kozacki wódz skarży się: „Nawet i Żydzi w nadzieję i pozwolenia Ich Mości wielkie zbytki nad nami czynili". Maksym Krzywonos, krwawy przywódca czerni, wini ich za wszystko, co złe, pisząc: „A Żydów aż do Wisły Wasza Książęca Mość racz zawrócić; bo ta wina zaczęła się z Żydów. Oni i z was rozumu wywiedli". W ugodzie zborowskiej, wymuszonej na Rzeczypospolitej w 1649 r., znalazł się ustęp, w którym Żydzi mieli zakazany wstęp na terytorium przyznane Kozakom.

ŻYD ZAMYKA CERKIEW

Jednymi z głównych przyczyn buntu były ograniczanie praw Kozaków oraz wyzysk ekonomiczny w ramach systemu zarządzania wielkimi posiadłościami ziemskimi. Oczywiście między bajki należy włożyć tezy o kolonizacji i wykupywaniu ziemi przez katolicką szlachtę. Jak pokazują badania Henryka Litwina zawarte w książce „Napływ szlachty polskiej na Ukrainę", tuż przed powstaniem Chmielnickiego ciągle dominowała tam wielka własność ziemska należąca do miejscowych ruskich rodów magnackich. Natomiast system zarządzania tymi majątkami wyglądał tak, że poszczególne folwarki i całe starostwa dzierżawiono szlachcie, która płaciła zakontraktowane sumy, a w zamian za to czerpała z nich dochody jak z własnych posiadłości. W województwie kijowskim w latach 1631–1648 prawie połowa dzierżawców pochodziła z ziem zachodniej Korony, podczas gdy ruskich było tylko 38 proc. Każdy folwark składał się jednak, mó-

eprasa.pl 52d88eeb8a

wiąc dzisiejszym językiem, z pomniejszych podmiotów gospodarczych, takich jak młyny, karczmy, browary, gorzelnie, stawy, pasieki, a nawet cerkwie, którymi szlachcic dzierżawca nie był w stanie samodzielnie zarządzać. Zatem wydzierżawiał je kolejnym arendarzom, którymi często stawali się właśnie Żydzi. Zapłaciwszy właścicielowi, szlachcic starał się wycisnąć z majątku jak najwięcej; to samo robił Żyd arendarz. Oznaczało to bezwzględny wyzysk chłopów i Kozaków. Dochodziło do kuriozalnych sytuacji, że Żydom powierzano arendowanie… prawosławnymi świątyniami.

UKRAINA W OGNIU

Kiedy zbuntowani Kozacy i Tatarzy pokonali wojska koronne nad Żółtymi Wodami i pod Korsuniem, masy kozackiej czerni, chłopów i ruskich mieszczan rzuciły się na Lachów, księży i Żydów, biorąc pomstę za lata ucisku. Jak pisze Joachim Jerlicz, prawosławny szlachcic, panowie oraz ich pomocnicy szukali schronienia w zamkach i miasteczkach. Kronikarz i naoczny świadek tych wydarzeń, talmudysta Natan Hanower, podaje, że Żydzi uciekali do Połonnego, Zasławia, Ostroga, Konstantynowa, Tulczyna i Baru.

Na początku wymordowane zostały gminy z Zadnieprza, leżące blisko rzeki – Baryszów i część gminy w Łubniach. Kozacy i czerń prześcigali się w wymyślaniu najsroższych tortur zadawanych Polakom i Żydom. Jak podaje Hannower: „Z jednych zdarto skórę, a ciało rzucono psom na żer, innym obcięto ręce i nogi, a tułów rzucono na drogę, przez ich ciała przejeżdżały wozy i tratowały ich konie. […] Dzieci zarzynano w łonie matek, wiele pocięto jak ryby. Kobietom ciężarnym rozpruwano brzuchy, a wydobyty płód zabijano w ich obliczu. Innym rozpruwano brzuchy i wsadzano żywego kota do wnętrza i tak zostawiano, zaszywając brzuchy. Następnie obcinano im ręce, by nie mogły wyjąć owego kota. I wieszali niemowlęta na piersiach matek, inne dzieci nabijano na rożen, pieczono przy ogniu i przynoszono matkom, by jadły ich mięso".

Na Prawobrzeżu żydowscy mieszkańcy Pohrebyszcza, Buzówki, Tetiowa uciekli do Żywotowa, widząc zaś, że nie ma szans na obronę, oddali się dobrowolnie w niewolę Tatarom – razem ok. 3 tys. ludzi. W ten sposób niespodziewanymi opiekunami starozakonnych stali się… ordyńcy, którzy choć gwałcili żydowskie kobiety, brali za sługi i nałożnice, to jednak ich nie zabijali, traktując jak wartościowy jasyr i cennych niewolników. Prawie wszyscy Żydzi schwytani przez Tatarów zostali odkupieni przez gminy z Krymu i Konstantynopola, te ostatnie ponoć wykupiły aż 20 tys. żydowskiego jasyru z Ukrainy.

MOJŻESZ WIŚNIOWIECKI

Jedyną nadzieją dla Żydów z Zadnieprza stał się książę Jeremi Wiśniowiecki wycofujący się na północ. Jak podaje kronikarz: „Jarema wyruszył ze swym ludem w kierunku ku Litwie, a z nim około 500 obywateli (Żydów), a każdy z żoną i dziećmi. I niósł ich jakby na skrzydłach orlich, aż ich przyprowadził, dokąd chcieli. Gdy groziło im niebezpieczeństwo z tyłu, kazał im iść przed sobą, a gdy groziło z przodu, wówczas on maszerował przed nimi, jako tarcza i puklerz". Gdy zaś Jarema zawrócił później na południe, działania jego żołnierzy umożliwiły przetrwanie wielu niedobitkom z rzezi i pogromów.

REKLAMA

eprasa.pl 52d88eeb8a

W tym samym czasie Chmielnicki wyprawił kilka pułków kozackich, w tym Maksyma Krzywonosa, Hiry i Głowackiego, w celu rozszerzania powstania. Zagony te zasłynęły niezwykłym okrucieństwem. Jednym z pierwszych miast, w których doszło do okropnej rzezi, był Niemirów, gdzie schroniło się 6 tys. Żydów i szlachty z Ukrainy. 10 czerwca został zdobyty podstępem przez Kozaków, którzy porobili sobie chorągwie podobne do polskich i podeszli pod miasto, udając wojsko Rzeczypospolitej. Kiedy otwarto im bramy, wpadli do środka i razem z mieszkańcami uzbrojonymi w szable, spisy, kosy i kije „wymordowali Żydów w straszny sposób, a kobiety i dziewice gwałcili dowolnie". Okrutnego losu uniknęli tylko ci Żydzi, którym udało się ujść do pobliskich lasów. Zostali oni później uratowani przez oddziały księcia Wiśniowieckiego, które z kolei zdobyły miasteczko i wyścinały Kozaków.

TULCZYN, POŁONNE, BAR

W tym samym czasie dopełniał się los pozostałych miast i zamków, które stawały się pułapkami dla uciekinierów. Tak było w Tulczynie, gdzie schroniło się 2 tys. Żydów i 600 szlachty. „Zawarli Żydzi ze szlachtą przymierze, że będą się wzajem wspierali w walce z wrogami, a umocnili je przysięgą, że jedni nie zdradzą drugich" – podaje Hannower. Jednak kiedy odparto pierwsze szturmy, dowodzący Kozakami Krzywonos zastosował psychologiczny podstęp. Najpierw nakazał oblężonym zapłacić okup i wydać majątek Żydów. Książę Janusz Czetwertyński przystał na to – szlachta odebrała broń starozakonnym i zmusiła ich do złożenia kosztowności. Żydzi byli oburzeni; chcieli nawet uderzyć na Polaków za złamanie przymierza, jednak odwiódł ich od tego rektor jesziby – Aron. Jednak trzeciego dnia Kozacy zażądali, aby wydano im wszystkich starozakonnych. Szlachta zdradziła ich i zmusiła do wyjścia, a mołojcy od razu otoczyli w ogrodzie pod miastem. Później wymordowali półtora tysiąca Żydów, pozostawiając przy życiu tylko 10 rabinów, których zakuli w kajdany, i zażądali wysokiego okupu.

Haniebny postępek nie wyszedł na dobrze szlachcie. Kozacy znów ruszyli na Tulczyn osłabiony wydaniem części obrońców. „Jak uczyniliście z Żydami, łamiąc układ z nimi zawarty, tak uczynimy z wami – miara za miarę" – powiedzieli, po czym zdobyli i wymordowali miasteczko, zabili też księcia Czetwertyńskiego.

Masakra polskich jeńców w bitwie pod Batohem w 1652 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Kolejnym łupem Kozaków stało się Połonne; miasto zostało zdobyte w wyniku zdrady części wojsk, które przeszły na stronę Kozaków. Około 10 tys. Żydów zostało wymordowanych.

Na wieść o oblężeniu Połonnego Żydzi uciekli z Zasławia do Ostroga i Międzyrzecza. Na szczęście wkrótce przybyły tu wojska księcia Dominika Ostrogskiego, a z nimi znany warchoł, Samuel Łaszcz, który teraz zwany był przez Żydów bohaterem. Kiedy doszła do nich wieść o upadku Połonnego, książę opuścił miasto, a razem z nim uciekli Żydzi, unosząc bogactwa i rzeczy na wozach.

Dużo mniej szczęścia mieli obrońcy Machnówki, zdobytej i wymordowanej przez powstańców. Kozacy w końcu przyszli też do Zasławia, zabijając pozostałych w mieście 200 Żydów, zbyt chorych i starych, aby uciekać, lub też tych, którzy sądzili, że ukryją się u ruskich mieszczan. Wielu jednak uciekło do lasów – kiedy po pewnym czasie wrócili, Rusini natychmiast ich schwytali i chcieli zabić. Wówczas Żydzi poprosili, by zrobili to na cmentarzu, zatem zaprowadzono ich tam i zamordowano. Bożnicę w mieście zamieniono na stajnię.

W tym samym czasie wymordowano 600 Żydów pozostałych w Ostrogu. W Konstantynowie, który zdradził, Kozacy zabili 3 tys. Żydów. Z kolei Huszczy należącej do wojewody Adama Kisiela wszystkich starozakonnych ścięto.

Ogromnym szokiem stał się upadek Baru, w którym schroniło się kilka tysięcy szlachty i Żydów. Znowu zdradzili ich ruscy mieszczanie, którzy wykopali albo odkryli podziemny chodnik i wpuścili Kozaków do miasta. Żydzi uciekli do zamku, ale i tam zginęło ich ok. 2 tys. W tym samym czasie w Dubnie zabito 1,2 tys. Na Litwie przeżyli tylko ci, którzy uciekli do Wilna i Grodna, a także do Wielkopolski. Kozacy mordowali pozostałych w Homlu, Starodubie, Czernihowie, Buczynie i Władowie. W Pińsku urządzili pogoń za uchodzącymi, dogonili ich i zabili.

OBRONA LWOWA

Nie wszystkie na szczęście twierdze wpadły w ręce Kozaków. Obronił się Kamieniec Podolski, a kiedy po klęsce pod Piławcami Chmielnicki ruszył na zachód, nie udało mu się wziąć Jazłowca, Buczacza, Komarna, Bełzu, klasztora w Sokalu ani Przemyśla. Tak samo obroniły się Brody, które stały się celem zaciekłych ataków kozackich, gdyż była to stolica jednego z głównych wrogów Chmielnickiego – Aleksandra Koniecpolskiego. W Żółkwi oblężeni mieszczanie okupili się, dając sowity okup.

2 listopada padł Narol, gdzie doszło do jednej z największej masakry Żydów. Zginęło ich nawet 12 tys. Kilkaset kobiet i dzieci ocalało, położywszy się między trupami. Oszaleli z głodu żywili się później trupami. Równie straszliwe rzezie, o których mało do dziś napisano, miały miejsce na Lubelszczyźnie – w Tomaszowie, Szczebrzeszynie, Hrubieszowie, Łucku, Tarnogrodzie, Biłgoraju, Kraśniku.

Już po ustaniu działań wojennych dochodziło do ostatnich pogromów niedobitków, jak choćby na początku marca 1649 r. w Ostrogu. Gdy Chmielnicki odstąpił od oblężenia Zamościa, ruscy mieszczanie posłali listy do okolicznych miast, pisząc, że Żydzi mogą wrócić, bo król i Chmielnicki zawarli pokój. Kiedy przyszło ich ok. 300, Rusini posłali po Kozaków i wspólnie wymordowali ocalałych, w tym także wielu powracających szlachciców z rodzinami. Jak pisał Hannower – dalej na wschód od Zasławia „nie było ani jednego szlachcica i ani jednego Żyda".

PIERWSZY SHOAH?

Trudno dziś ustalić, ilu Żydów zabili Kozacy w czasie wypadków z lat 1648 i 1649. Weryfikując liczby podane przez Natana Hannowera w kronice „Bagno głębokie", dochodzimy do ponad 40 tys. zamordowanych. Ponieważ w Koronie i na Litwie żyło wówczas ok. 300–400 tys. Żydów, jest to wynik ogromny, sięgający jednej dziesiątej populacji. Nawet gdybyśmy jednak przyjęli połowę tej liczby, ciągle jest porażająca.

Chociaż w XVII w. nie wypracowano takich metod masowych mordów, które stosowały systemy totalitarne z XX stulecia, wydarzenia na Ukrainie noszą znamiona zaplanowanego działania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

Granice upragnione

Wielka wojna przyniosła Polsce upragnioną niepodległość. Wróciliśmy na mapy po 123 latach

5529 km liczyły granice powracającej na mapy II Rzeczypospolitej. Proces ich wykuwania nie był jednak prosty. Towarzyszyło mu wiele konfliktów rozwiązywanych w drodze powstań, walk i plebiscytów. Główne problemy dotyczyły spornych terytoriów z Niemcami, z Ukrainą próbującą utworzyć niepodległe państwo, nowo powstałą Czechosłowacją czy też Litwą.

Granice ustalane były poprzez traktaty: wersalski, ryski, w Saint-Germain, w Trianon oraz poprzez rozstrzygnięcia Rady Ambasadorów. Pastwo polskie kształtowało się od listopada 1918 r., czyli zakończenia I wojny światowej, aż do roku 1922, kiedy to kształt granic został wreszcie ustalony i pozostał niezmienny aż do wybuchu II wojny światowej.

Po 1918 r. los i kształt Polski zależał od najsilniejszych światowych mocarstw, które wygrały wielką wojnę – Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Na mocy umowy pokojowej Niemcy utraciły na rzecz Rzeczypospolitej prawie całą Wielkopolskę, która jeszcze przed tymi decyzjami wywalczyła sobie suwerenność w powstaniu. Polsce nie przyznano Gdańska, który miał status wolnego miasta.

W 1920 r. państwu polskiemu groziła likwidacja ze strony armii sowieckiej, niosącej na Zachód rewolucję komunistyczną. Polska powstrzymała jednak marsz komunistów na Zachód.

Nie byliśmy jednak w stanie zatrzymać agresji naszych sąsiadów w 1939 r. Niemcy i ZSRS podczas II wojny światowej znów podzieliły się polskim terytorium, a Rzeczpospolita zniknęła z map na kolejne lata.

Po pokonaniu III Rzeszy o losach świata znów decydowali zwycięzcy. Kształt polskich granic ustalono w Jałcie, gdzie obradowała wielka trójka: Roosevelt, Churchill i Stalin. Decydujący głos w decydowaniu o Polsce miał niestety ten ostatni, a Rzeczpospolita, choć w pełni zależna od ZSRS, odrodziła się w obowiązujących do dziś granicach.

wrr

Wystawa w Wieliczce

Na dziedzińcu Zamku Żupnego w Wieliczce można oglądać wystawę „Granice Rzeczypospolitej 1918–1945". Jest ona kolejną z historycznego cyklu wystaw przygotowywanych przez Muzeum Żup Krakowskich Wieliczka we współpracy z historykami Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Komentarze są dostępne w pięciu językach: polskim, angielskim, niemieckim, hiszpańskim i rosyjskim. Partnerem projektu jest Narodowe Archiwum Cyfrowe w Warszawie.
„Granice Rzeczypospolitej 1918–1945".
Zamek Żupny w Wieliczce, ul. Zamkowa 8

Wystawa czynna od 30 października do 31 grudnia 2018 r.

eprasa.pl 52d88eeb8a

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Oczy Studnickiego

Przytaczam ten fragment „Książki moich rozczarowań" Stanisława Cata-Mackiewicza z dwóch powodów. Po pierwsze – bo wspaniale oddaje charakter Studnickiego. Po drugie – bo jest znakomitym przykładem niepowtarzalnego stylu Mackiewicza. A brzmi on tak: „Władysław Studnicki ma duże oczy, które przypominają latarnie samochodu. To gasną jak latarnie auta spotkane nocą na szosie, to znów się rozpłomieniają, intensyfikując napięcie światła, gdy je podnieci nowa myśl. I tak szare, szlachetne oczy Studnickiego płonęły na myśl, że to po tylu etapach ofiar dla Polski i walki o Polskę będzie mógł w senacie jej służyć".

Człowiekowi, który zawodowo trudni się pisaniem, twórczość „Cata" dostarcza sprzecznych wrażeń. Z jednej strony zachwyca. Erudycją, siłą argumentacji, pięknem języka, celowością metafor. A z drugiej strony wpędza w kompleksy. Mój Boże, jak ja chciałbym umieć TAK pisać!

„Książka moich rozczarowań" to kolejny tom dzieł wybranych „Cata" przygotowany przez Jana Sadkiewicza i wydawnictwo Universitas. Jest to zbiór publicystyki „Cata" z lat 30. Tekst o Studnickim idealnie pasuje do tytułu książki. Mackiewicz przypomina bowiem o kolosalnych zasługach Studnickiego dla idei niepodległości Polski. I o tym, jak potraktowano Studnickiego, gdy Polska tę niepodległość odzyskała.

Zepchnięty na boczny tor, zapomniany, wyszydzany jako „postrzelony staruszek". Studnickim – który przez całe życie toczył bezinteresowną, zaciętą walkę o Polskę – w II RP pomiatał byle partyjny pieczeniarz, który zajął państwowy stołek. Byle starosta czy wojewoda.

„Jakimże drobiazgiem – pisał Mackiewicz – jakże nieznaczną nicością jest Studnicki wobec tych, którzy jeżdżą automobilami, są dygnitarzami i nawet zaczynają mówić przez nos, jak jeden z moich kolegów, kiedy został ministrem. Ale to są kryteria dla użytku współczesnych. Historyk nie będzie nawet szukał nazwisk 90 procent naszych ministrów, a Władysława Studnickiego zaliczy do twórców naszego państwa".

Tak, Mackiewicz – jak to często bywało – miał rację. Kto dziś pamięta o tych wszystkich sanacyjnych dygnitarzykach i dygnitarzątkach? A legenda Studnickiego, przez pół wieku zwalczana przez komunistów, powróciła i potężnieje. ©℗

★★★★★★

STANISŁAW CAT-MACKIEWICZ „KSIĄŻKA MOICH ROZCZAROWAŃ" RED. JAN SADKIEWICZ, UNIVERSITAS 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pechowa data koronacji

W pierwszych dekadach chrześcijańskiej Polski chętnie łączono święta kościelne z wydarzeniami o znaczeniu politycznym. Mieszko I z rozmysłem przyjął chrzest na Wielkanoc 966 r. (wprawdzie do dzisiaj nie wiadomo gdzie), a w 1025 r. Bolesław Chrobry koronował się na króla. Jego następcy na dzień koronacji wybierali Boże Narodzenie, rychło jednak odstąpiono od tego zwyczaju. Nie bez powodu – data ta okazała się bowiem pechowa dla królów z dynastii Piastów.

> **Mieszko II Lambert, syn Chrobrego, wybrał tę datę jako pierwszy (1025 r.)**

Mieszko II Lambert, syn i następca Chrobrego, wybrał tę datę jako pierwszy (1025 r.) i jego panowanie okazało się wyjątkowo tragiczne. Współdziałanie Niemców i Rusi Kijowskiej spowodowało upadek władcy, który trafił do czeskiej niewoli, gdzie został wykastrowany (jedno z największych upokorzeń, jakie mogło spotkać mężczyznę i wojownika w epoce średniowiecza). Państwo pierwszych Piastów zawaliło się z hukiem, dopiero Kazimierz Odnowiciel długą i żmudną pracą odbudował naszą państwowość, chociaż w okrojonych granicach i oczywiście bez korony królewskiej. Jego syn, Bolesław Śmiały, przywrócił Polsce pierwszorzędne znaczenie w polityce europejskiej, a koronacja dokonana w Boże Narodzenie 1076 r. miała być tego symbolem. Znów jednak data ta nie przyniosła szczęścia, niebawem król wdał się w konflikt z biskupem krakowskim Stanisławem ze Szczepanowa, a po egzekucji hierarchy doszło do buntu możnych. Śmiały stracił koronę i w konsekwencji życie, a Polska spadła do rangi księstwa zależnego od Niemiec.

Nic zatem dziwnego, że Boże Narodzenie uznano za pechową datę i żaden (!!!) polski władca już nie założył korony tego dnia. Przemysł II koronował się w czerwcu 1295 r., Wacław II we wrześniu. W postępowaniu kolejnych władców widać wręcz gorączkowe usiłowanie pominięcia pechowej daty. Władysław Łokietek wolał poczekać do 20 stycznia, a Aleksander Jagiellończyk wybrał 12 grudnia 1501 r., chociaż z powodu Adwentu koronacja powinna zostać przesunięta na inny termin.

Teoretycznie najbliżej do Bożego Narodzenia było Zygmuntowi III Wazie, który przybył do Krakowa 9 grudnia 1587 r., a sejm koronacyjny zatwierdził jego wybór dzień później. Uroczystość odłożono do 27 grudnia, co nie było przypadkiem. Przecież jednym z obrzędów koronacyjnych była wizyta władcy, jeszcze przed mszą koronacyjną, w kościele na Skałce, gdzie według tradycji został zamordowany św. Stanisław, a piesza wędrówka przyszłego króla miała formę symbolicznej pokuty za postępek Bolesława Śmiałego. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

SZOKUJĄCE ROZMOWY
z Żydami ocalałymi z getta

Piotr Zychowicz – **Źli i dobrzy policjanci**
Robert Frost – **I RP nie była skazana na klęskę**
Sławomir Koper – **Romanse Ignacego Paderewskiego**
Jonathan Brent – **Żydowskie ofiary Stalina**
Tomasz Stańczyk – **Ostatnie dni Stanisława Augusta**
Sławomir Cenckiewicz – **Memoriał Dmowskiego**
Mirosław Szumiło – **„Pogrom" we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 52d88eeb8a

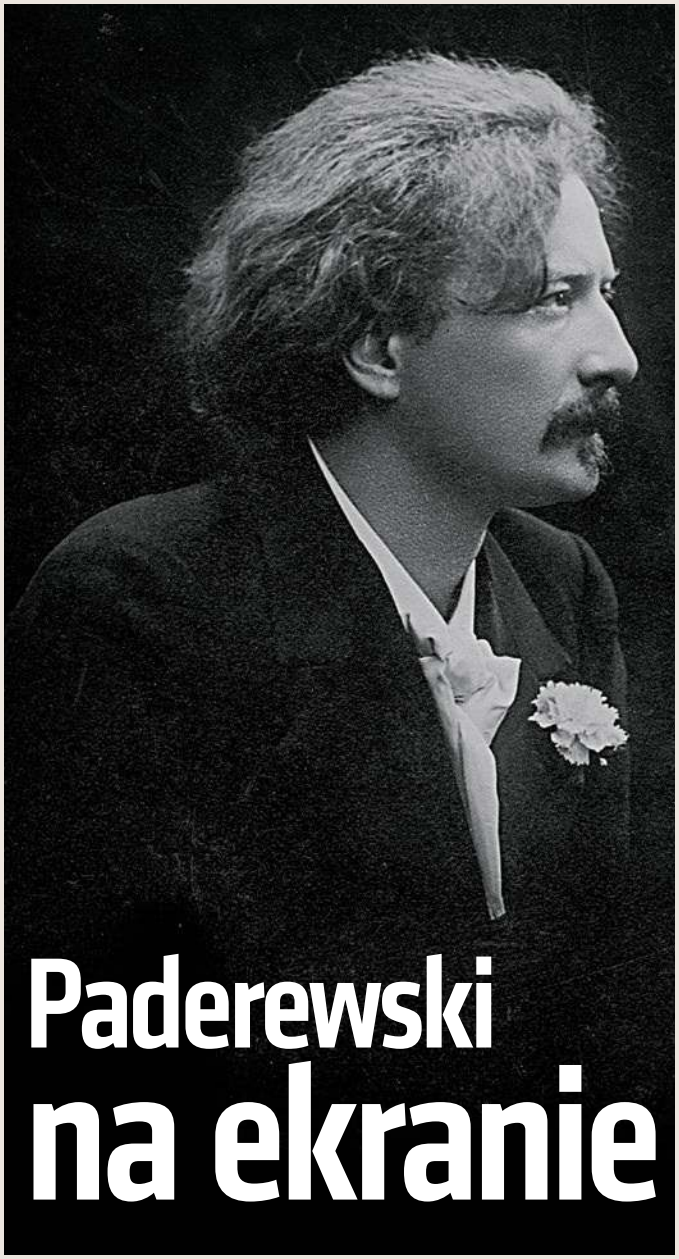

FOT. NAC.

Paderewski na ekranie

Sławny pianista, kompozytor i obiekt kobiecych westchnień. Obecnie jednak odkrywamy nowego Ignacego Paderewskiego – męża stanu i jednego z architektów drugiej Rzeczypospolitej. Pomoże w tym film.

W 1892 r., w czasie drugiego tournée po USA, zgłosił się do polskiego pianisty student o nazwisku Hoover i poprosił o koncert w ramach kulturalnych wydarzeń studenckich. Paderewski wyraził zgodę i wystąpił na sali wynajętej w okolicy uniwersytetu. Problem w tym, że na wydarzenie niemal nikt nie przyszedł. Hoover nie zorientował się, że w tym samym czasie w San Francisco odbywał się doroczny mecz amerykańskiego futbolu między drużynami Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley i Uniwersytetu Stanforda. Kasa pozostała pusta i brak było środków nawet na opłacenie sali, nie mówiąc już o uzgodnionym honorarium dla pianisty. Zażenowany Hoover przedstawił sytuację Paderewskiemu, ten zaś zapytał: „Ile wam brakuje do pokrycia kosztów wynajmu sali?". Po otrzymaniu odpowiedzi wyjął książeczkę czekową i wypisał czek na tę sumę. Na zapewnienia, że wkrótce zostanie mu ona zwrócona, odpowiedział: „Proszę się nie martwić, wam te pieniądze są bardziej potrzebne niż mnie".

Do ponownego spotkania między Paderewskim a Hooverem doszło po I wojnie światowej, kiedy Hoover został mianowany szefem zaopatrzenia i pomocy ofiarom wojny w Europie. W tym czasie tereny byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, przez które wielekroć przewalały się straszliwe fronty I wojny światowej, pogrążone były w skrajnej biedzie. Odzież oraz żywność przysyłana jako pomoc Stanów Zjednoczonych zadecydowała o przetrwaniu ogromnej liczby wycieńczonych wojną mieszkańców odradzającej się Rzeczypospolitej, w szczególności dzieci, wdów i kombatantów. USA wysłały statkami do Gdańska milion ton żywności i 3 mln ton odzieży na potrzeby głodujących po wojnie Polaków.

Hoover spotkał się z Paderewskim jako nowo wybranym premierem Polski w styczniu 1919 r. w Warszawie. Wydarzenie to zostało udokumentowane na fotografii wykonanej przed Belwederem, na której Hoover, Piłsudski i Paderewski stoją w asyście grupy oficerów Wojska Polskiego. Hoover pamiętał Paderewskiego. „Panie premierze, chyba spłaciłem swój dług wobec Pana i wszystkich Polaków" – miał powiedzieć.

Jak to się stało, że współcześnie pamiętamy Paderewskiego przede wszystkim jako pianistę, a nie kompozytora i męża stanu? Nawet muzycy zapominają, że jedyną polską operą wystawioną kiedykolwiek w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku jest właśnie „Manru" autorstwa Paderewskiego. Był to również jedyny polski artysta, który przekuł swój sukces muzyczny w osiągnięcia polityczne.

Teraz te i wiele innych faktów przypomni film produkcji Concert Film zatytułowany po prostu „Paderewski" w reżyserii Witolda Orzechowskiego. Premiera planowana jest na jesień 2020 r. W zamierzeniu film ma mieć charakter biograficzny i opowiadać o 50 latach kariery tego w swoim czasie najsławniejszego Polaka. Zdjęcia będą realizowane w Polsce i za granicą: w Paryżu, Wiedniu, Londynie i Stanach Zjednoczonych – gdzie przebiegała kariera artystyczna i dyplomatyczna Paderewskiego.

– Cała działalność polityczna i dyplomatyczna Ignacego Paderewskiego wzięła się ze świadomości powinności wykorzystania własnej sławy na rzecz Polski – tłumaczy w wywiadzie Witold Orzechowski. – Znał najważniejszych ludzi swojej epoki: polityków i premierów. Dzięki przyjaźni z głównym doradcą prezydenta Wilsona, płk. House'em, dostał się do Białego Domu. To nasz wirtuoz zaraził Wilsona marzeniem o niepodległości Polski. Bez sławy artystycznej Paderewskiego nasz głos byłby niesłyszalny – podkreśla reżyser.

Geniusz muzyczny, pianista i kompozytor, jednocześnie amant o wielkiej urodzie, portretowany przez brytyjskich Prerafaelitów. Bywalec salonów, którego koncertów słuchała jeszcze królowa Wiktoria. Obywatel świata i równocześnie żarliwy patriota. Człowiek niezwykle pogodny, którego marzeniem przez większość życia było wyleczenie z choroby niepełnosprawnego syna. Tytan pracy, który potrafił w czasie jednej trasy koncertowej zarobić nawet 500 tys. dol. Właściciel przepięknych rezydencji na całym świecie, winnic oraz jednocześnie filantrop i fundator pomników. Wreszcie polski premier, a potem minister spraw zagranicznych i przewodniczący Rady Narodowej RP. Modelowy bohater hollywoodzkiej produkcji. Aż dziwne, że taki film dotąd jeszcze nie powstał.

Maria Kądzielska

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HOBBIT I RASIZM

Do niecodziennych wniosków dochodzą ludzie zajmujący się kulturą, a szczegółowiej rzecz biorąc – literaturą. „The Times" opublikował artykuł, w którym pochylono się nad segregacją rasową w utworach Tolkiena. Chodzi np. o to, że pan pisarz brzydko przedstawił orków – jako coś gorszego. A tymczasem powinien raczej próbować ich zrozumieć, wyjaśnić, dlaczego byli tacy, jacy byli, i dlaczego służyli Sauronowi. No cóż, w porównaniu z takimi tekstami należy przyznać, że Tolkien nie był najlepszy w fantazjowaniu.

OMIJANIE MIGRANTÓW

Unijni decydenci wciąż uważają, że należy przyjmować migrantów i im pomagać. Tymczasem w środku Brukseli pasażerowie komunikacji mieli już tak dość koczujących przy Dworcu Północnym i parku Maximilien migrantów, że flamandzka firma transportu publicznego De Lijn przeniosła przystanki w inne miejsca. Zanim to zrobiła, prosiła władze regionu o interwencję w tej sprawie. Bezskutecznie.

PRACOWAĆ JAK WŁOSI

Podejrzliwa żona może wpędzić w kłopoty wielu ludzi, nie tylko męża. Jedna pani z Sycylii, która dowiedziała się, że mąż wymyka się gdzieś w godzinach pracy, doprowadziła do kontroli w całym urzędzie. Okazało się, że od pracy uchylał się nie tylko niewierny małżonek. Służby zarejestrowały 42 urzędników, którzy w czasie pracy byli: u fryzjera, na wycieczce za miastem, na zakupach, na randkach. Wobec wszystkich zastosowano areszt domowy.

UDAWANY POGRZEB PIŁKARZA

Irlandzka drużyna piłkarska Ballybrack FC poinformowała, że jej zawodnik, hiszpańskiego pochodzenia, pojechał do swojego kraju i tam zginął w wypadku. Piłkarze wystąpili w czarnych opaskach, a na początku meczu uczcili kolegę minutą ciszy. Okazało się jednak, że piłkarz pojechał do Hiszpanii, ale dawno temu z niej wrócił, a wszystko było ustawką, dzięki której Ballybrack FC mogła „z szacunku dla zmarłego kolegi" odroczyć sobie nadchodzący kolejny trudny mecz.

PILOT ZASNĄŁ PODCZAS LOTU

Samolot australijskich linii towarowych Vortex Air lecący na wyspę King minął cel podróży o 46 km. Bo pilot zasnął. Wyszło to na jaw, bo wieża kontrolna kilka razy próbowała porozumieć się z kokpitem, ale nikt nie odpowiadał. Samolot leciał w trybie automatycznym. Firma przeprosiła wszystkich swoich klientów i wszczęła postępowanie wyjaśniające. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O pięknoduchach

Silvia Romano (lat 23) jest kolejną włoską wolontariuszką, która z potrzeby serca pojechała pomagać biednym na koniec świata i została porwana dla okupu. Do Kenii przy granicy z Somalią wysłała ją jedna z blisko 150 organizacji charytatywnych działających w Italii – Africa Milele (Afryka na zawsze). Być może włoskiemu rządowi uda się dziewczynę wykupić za kilka milionów euro z rąk somalijskich bandytów, a może przyjdzie jej zapłacić życiem za własną naiwność i karygodną niefrasobliwość organizacji.

Niestety, działacze Africa Milele nie poinformowali dziewczyny, że w krajach Trzeciego Świata biali wolontariusze to zwierzyna łowna, a Włosi i Włoszki są w szczególnie wysokiej cenie, bo rząd zawsze płaci okup. Niedawno włoska ambasada w Nairobi zaprosiła wszystkie 150 organizacji na spotkanie poświęcone bezpieczeństwu, ale zjawiło się tylko kilka osób. Najwyraźniej pięknoduchy są przekonane, że ich intencje i dzieła to gwarancje nietykalności.

W prowadzonych we włoskich mediach przez te organizacje rekrutacjach wolontariuszy i prośbach o wsparcie nadal pokutuje mit szlachetnego dzikusa, który śpiewa i tańczy, a w przerwach uczy się albo modli. Najgorsze, gdy tej wizji towarzyszy zideologizowanie. W 2005 r. doświadczona dziennikarka komunistycznego „Il Manifesto" Giuliana Sgrena pojechała do Iraku i umówiła się tam na wywiad z dowódcami Al-Kaidy. Była przekonana, że przyjmą ją z honorami, bo włoscy komuniści uważali islamistów za szlachetnych partyzantów broniących swego kraju przed inwazją imperialistów. Jednak islamiści bezceremonialnie porwali kobietę. Została uwolniona, bo rząd imperialisty Berlusconiego zapłacił Al-Kaidzie kilka milionów dolarów, a całą akcję życiem przypłacił jeden z dowódców włoskiego wywiadu wojskowego. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Piotr Semka
z Kijowa

Rosjanie zaatakowali na Morzu Azowskim niemal dokładnie w piątą rocznicę rozpoczęcia Majdanu w 2013 r.

Ukraińska huśtawka strachu

Wtedy, w 2014 r., Rosja zemściła się zaborem Krymu i części Donbasu. Teraz mszczą się jasną deklaracją – „Azowskoje Morie" to wewnętrzne rosyjskie jezioro. Atak na ukraińskie okręty był dobrze zaplanowany. Jest zapowiedzią odcięcia Ukrainy od swobodnej żeglugi po Morzu Azowskim. Rannych zostało sześciu ukraińskich marynarzy, dwóch jest w stanie ciężkim, 24 pozostaje w niewoli.

Warto spojrzeć na mapę tego akwenu. Na jego brzegach leżą aż dwa z czterech najważniejszych ukraińskich portów – Mariupol i Berdiańsk (dwa pozostałe to Odessa i Mikołajów z dostępem do Morza Czarnego). Tyle że ukraińska żegluga przez Morze Azowskie miała od pewnego czasu jedną podstawową słabość. Wyjście z tego morza – Cieśnina Kerczeńska – jest od 2014 r. w ręku Rosjan.

Prowokacja była więc prosta. Rosjanie osadzili na mieliźnie, przy wyjściu z cieśniny, spory tankowiec i gdy ukraińskie statki starały się go ominąć, ogłosili, że weszły na rosyjskie wody. Było to ordynarne kłamstwo, ale Rosjanie takimi problemami się nie przejmują.

Teraz rozpoczyna się to, co Rosjanie lubią najbardziej. Procesy aresztowanych marynarzy, ich wymuszone w jakiś sposób wyrazy skruchy przed kamerami telewizji i być może wlekące się miesiącami negocjacje w sprawie ich wypuszczenia. My, Polacy, to dobrze znamy. Tak Kreml bawi się z Polską od ośmiu lat w sprawie wraku tupolewa. Tyle że w przypadku rozgrywki z Kijowem gra dotyczy żywych ludzi.

Od tygodnia Ukraińcy żyją w lęku przed nową wojną ze wschodnim sąsiadem. Wszystko to znowu ich zjednoczy. Tyle że u tych, którzy krytycznie patrzą na rządy Petra Poroszenki, dochodzi nieufność. Jak ukraiński prezydent wykorzysta najnowsze prowokacje Moskwy do wzmocnienia swej władzy przed wyborami prezydenckimi w marcu 2019 r.?

KREW WSIĄKŁA W ŚNIEG

W Kijowie jest już biało od śniegu. Przez tydzień mojej listopadowej wizyty w stolicy Ukrainy w trakcie rozmów z politykami i dziennikarzami powracało rozdwojenie. Szacunek dla Poroszenki jako głowy państwa, które broni swej suwerenności, ze wściekłością, że tak mało udało się zmienić kraj w ciągu pięciu lat od Majdanu.

Euromajdan w 2014 r. zaczął się 22 listopada, gdy Janukowycz odłożył podpisanie umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Trwał do 21 lutego, gdy prorosyjski prezydent uciekł do Rosji. Zginęło w nim 99 osób. Gdy Rosja runęła na Donbas, najwaleczniejsi obrońcy Majdanu szybko pojechali na front.

W Kijowie spaceruję po ul. Instytuckiej – miejscu walk sprzed pięciu lat. Urządzono tam centralne miejsce pamięci poległych z Niebiańskiej Sotni z wielkim krzyżem w staroruskim stylu

eprasa.pl 52d88eeb8a

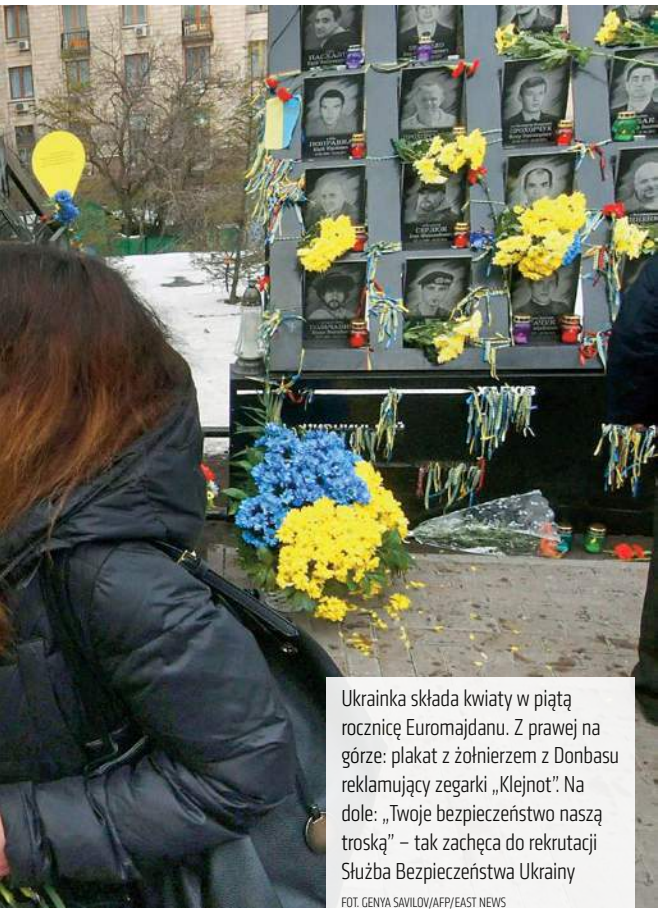

Ukrainka składa kwiaty w piątą rocznicę Euromajdanu. Z prawej na górze: plakat z żołnierzem z Donbasu reklamujący zegarki „Klejnot". Na dole: „Twoje bezpieczeństwo naszą troską" – tak zachęca do rekrutacji Służba Bezpieczeństwa Ukrainy

FOT. GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS

i maleńką kapliczką. Tutaj składała kwiaty niedawno sama Angela Merkel. Jednak cały ponadkilometrowy odcinek ulicy od górnej stacji metra Chreszczatyk do placu Europejskiego usiany jest indywidualnie wystawianymi płytami z wizerunkami poległych. Jest w tym coś wzruszającego – widać oddolną inicjatywę. I wagę, jaką zwykli Ukraińcy przywiązują do pamięci o ofiarach Majdanu. Jednak też powracające pytanie: Czy ci, którzy sprawują dziś władzę, dobrze wykorzystują tamtą ofiarę? I ofiarność tych, którzy wciąż giną ma froncie w Donbasie?

Pod gigantyczną kolumną Archanioła Michała, w centrum Majdanu Niezależności, młode wolontariuszki zbierają datki na pomoc „tym, co na froncie". Kto wpłaci sumę, ten otrzymuje niebiesko-żółtą wstążkę.

O wojnie nie sposób zapomnieć. Przypominają o niej plakaty w metrze i na ulicach wzywające do wstępowania do gwardii narodowej. „Stań do obrony ojczyzny, podpisz kontrakt!" – głosi afisz ozdobiony zdjęciem gwardzisty z dzieckiem na ręku. Łopatologia? Tutaj nikt otwarcie z takich plakatów nie kpi. Ba, obrona ojczyzny jest wykorzystywana w reklamie. W witrynie ukraińskiej firmy zegarków „Klejnot" – zdjęcie żołnierza z Donbasu z firmowym czasomierzem i napis: „Dziękujemy obrońcom Ukrainy". 10 proc. zysków ze sprzedaży zegarków idzie na fundusz pomocy wojskowym. Patriotyczne reklamy stylizowane na ikony zachęcają też do wstępowania do SBU – Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Stylizowany na św. Jerzego kozak wbija lancę w dwugłowego smoka z carskimi koronami na głowach.

Piotr Andrusieczko – polski dziennikarz, Ukrainiec urodzony w Koszalinie – często odwiedza front walk z Rosją. Opowiada, że dziś walkami dowodzą już zupełnie inni ludzie niż pięć lat temu. – Front nie trzyma się już na ofiarnych ochotnikach nadrabiających brak inicjatywy wojskowych z epoki Janukowycza. Spotykam dziś profesjonalnych oficerów po kursach wojskowych w USA czy Kanadzie. Armia ukraińska wykonała ogromną pracę, aby się unowocześnić. To niebo i ziemia w porównaniu z tym, co widziałem w 2014 r.

Gdy pytam ukraińskich polityków o walki w Donbasie, słyszę znużenie wlokącymi się utarczkami. „To zamrożony konflikt" – mówi pierwsza wiceszefowa Rady Najwyższej Ukrainy, Irina Gieraszczenko. „Umowy mińskie praktycznie nie działają. W każdej chwili Putin może spuścić swoje psy wojny ze smyczy".

Walki w Donbasie są już elementem oficjalnej pamięci. W Muzeum II Wojny Światowej – postsowieckim kompleksie z epoki Breżniewa na wzgórzach koło Ławry Peczerskiej – oglądam kolekcję „Mad Maxów". Tak, w dowcipnym nawiązaniu do australijskiego filmu science fiction, nazywane są chałupniczo robione samochody opancerzone, które Ukraińcy budowali w pierwszych miesiącach walk.

WYRWAĆ SIĘ Z BŁOTA

Wiktor Szabunin, młody działacz NGO, mówi: „W kółko muszę tłumaczyć zachodnim korespondentom, że Putinowi wcale nie chodzi o Donieck czy Ługańsk. On chce duszy Ukraińców, a nie żadnych nowych terytoriów. Jak dotąd paraliżuje jego plany pokolenie Euromajdanu. Jednak władca Kremla liczy na stopniowe zmęczenie brakiem poprawy życia i czeka na wybuch społeczny".

Temu stanowi grzęźnięcia Ukrainy w koleinach reform nie pomaga fakt, że najbardziej aktywni młodzi wyjeżdżają za pracą na Zachód. Ilu ich jest? Padają liczby od 3 do 5 mln ludzi. Działacze antykorupcyjni wzdychają. Gdyby ci młodzi byli tu, ma miejscu, demonstracje przeciw korupcji byłyby bardziej masowe i skuteczniejsze.

W Radzie Najwyższej, czyli parlamencie Ukrainy, słucham dwóch młodych deputowanych – Serhija Leszczenki i Mustafy Nayyema. W wyborach w październiku 2014 r. weszli do parlamentu z Bloku Petra Poroszenki. Wtedy wielu z dziennikarzy, prawników i młodych aktywistów z Majdanu przyjęło ofertę wejścia do bloku nowego prezydenta. Dzisiaj nie chcą mieć z Poroszenką nic wspólnego. Chcą wystawić własną listę i zebrać głosy tych młodych, którzy nie zamierzają wyjeżdżać, tylko zmienić coś na miejscu. „Nasza lista nie ma jeszcze nazwy, do wyborów jesienią 2019 r. mamy jeszcze rok – wyjaśnia Leszczenko. – Jednak wiemy już, że z Poroszenką nie zwalczymy ani korupcji, ani wszechwładzy oligarchów". Wierzy, że dzięki mediom społecznościowym dotrą do młodego pokolenia, bo oligarchowie trzymają prywatne telewizje mocno w garści.

Dlaczego nie wystawiają kandydata w wyborach prezydenckich? „Tutaj nie mamy szans. Za to jesienią ożywi się

eprasa.pl 52d88eeb8a

Wycieczka szkolna podziwia „Mad Maxy", czyli robione chałupniczo samochody opancerzone, które walczyły w Donbasie FOT. PIOTR SEMKA

dawna Partia Regionów z epoki Janukowycza, choć oczywiście pod najróżniejszymi, nowymi nazwami. Ktoś musi być dla nich przeciwwagą" – mówi Mustafa Nayyem.

Jeśli coś zostało z ducha Majdanu, to oprócz takich (stosunkowo) młodych polityków jak Leszczenko i Nayyem są to działacze ruchów antykorupcyjnych. Mają już swoich męczenników. To Katarina Handziuk, tropiąca lokalne afery w Chersoniu. Zgodziła się zostać doradcą do walki z korupcją w otoczeniu mera Chersonia, ale z czasem zorientowała się, że to próba otorbienia niepokornej. Gdy zaczęła coraz mocniej krytykować miejscowe układy w prokuraturze i policji, zaczęła otrzymywać pogróżki.

31 lipca br. pod własnym domem jakiś „nieznany sprawca" oblał jej twarz żrącym kwasem. Zmarła trzy miesiące potem – 4 listopada. Śledztwo jest typowe. Najpierw gromkie zapowiedzi traktowania sprawy jako priorytetowej, a potem cisza i bezruch.

Irina Szyba z fundacji De Iure organizuje dla zagranicznych dziennikarzy spacery po parku Maryńskim w Kijowie – w dzielnicy rządowej. Specjalnie prowadzi reporterów pod okna biur dygnitarzy, którym zarzuca się korupcję, aby przynajmniej psuć im dobre samopoczucie. Wraz z Iriną stajemy pod oknem szefa resortu zdrowia na ul. Michala Hruszewskiego 7.

„Pan minister tak napisał zasady przetargu na szczotki do sprzątania placówek służby zdrowia, że tylko jedna firma pasowała do tych norm. Jak przeliczyliśmy, jedna szczotka kosztowała resort 50 euro". Pięćset metrów dalej Irina pokazuje nam rozległe business center pod skarpą naddnieprzańską, na której pyszni się pałac Maryński – rokokowa siedziba prezydenta. Jak powstał ten szklany pałac biznesu? „Podstawieni przez Janukowycza »konkreciarze« zbudowali centrum po to, by na jego dachu mógł lądować prezydencki helikopter". Co się dzieje z centrum teraz? „Jest nadal w posiadaniu rodziny Janukowycza. Pytacie, dlaczego Poroszenko na to pozwala? A znacie przysłowie: »Kruk krukowi oka nie wykole«?".

Ukraińscy działacze antykorupcyjni tłumaczą, na czym polega to janusowe oblicze Poroszenki. Prezydent sam jest oligarchą, więc nie potrafi rozmontować systemu władzy najbogatszych wielmożów. Jedyne, co egzekwuje od bogaczy, to trzymanie się z dala od prób ingerowania Kremla w suwerenność Ukrainy. Jednak płaci za to słoną cenę – przymykanie oczu na ich kupowanie kraju i urzędników.

W redakcji tygodnika „Nowoje wriemia" redaktor naczelna Kristina Berdynskich tłumaczy, jaką fikcją jest powoływanie coraz to nowych instytucji do walki z nadużyciami gospodarczymi. Powstają one, aby wykazać gościom z Zachodu, że akcja antykorupcyjna toczy się pełną parą. W praktyce rozmnożone niczym króliki instytucje nawzajem się blokują.

„Mamy generalną prokuraturę, mamy NABU, czyli Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy, i mamy specjalną prokuraturę antykorupcyjną. Jednak wnioski śledczych są odsyłane przez prokuratorów jako niewystarczające i czas mija. Między rozmaitymi organami toczy się ambicjonalna walka i rywalizacja, a efektów nie widać. Za to Rada Najwyższa nie śpieszy się z powołaniem sądu antykorupcyjnego. Komedia" – smutno uśmiecha się Kristina.

WYŚCIG BEZ LIDERA

W sondażach prezydenckich do momentu wybuchu kryzysu na Morzu Azowskim – Poroszenko nie stał najlepiej. Na pierwszej pozycji znajdowała się Julia Tymoszenko – była premier Ukrainy z 2005 r. i lat 2007–2010 potrafiąca wciąż wracać do gry o władzę. Ukraińska „żelazna lady" używająca nienagannej niepodległościowej retoryki, ale podejrzewana o chęć odbudowania gospodarczych deali z Rosją. Na drugiej pozycji ankietowani wymieniają Włodimira Zelenskiego – komika i showmana telewizyjnego, w stylu naszego Roberta Górskiego z programu „Ucho prezesa". Zelenski tak doskonale, ale i inteligentnie parodiuje ukraińską politykę, że wielu ankietowanych uznaje, iż to on najlepiej by ją poprowadził. Poroszenko znalazł się na trzecim miejscu. Od paru miesięcy prowadzi propaństwową kampanię pod hasłem: „(jedna) Armia, (jedna) mowa, (jedna) wiara – My to Ukraina".

Prezydencki postulat jednej wiary – przynajmniej w przypadku Cerkwi prawosławnej – realizuje się na naszych oczach. Po długich staraniach Poroszenki patriarchat w Konstantynopolu przyznał Cerkwi ukraińskiej autokefalię, czyli wyjęcie spod zwierzchnictwa patriarchatu moskiewskiego. Są tacy, którzy podejrzewają w Kijowie, że wprowadzenie stanu wojennego w większym stopniu łączyć należy z obawami władz przed sporami o budynki cerkwi, które wybuchnąć mogą między zwolennikami autokefalii i tymi duchownymi prawosławnymi, którzy nadal będą wierni Moskwie.

Na pewno stan napięcia pomoże w wyborach Poroszence. Jednak przesadne są opinie, że prezydent Ukrainy przeforsował stan wojenny, aby odsunąć wybory. Stan ma trwać tylko 30 dni i parlament ukraiński, uchwalając jego wprowadzenie, potwierdził jednocześnie termin wyborów prezydenckich w dniu 31 marca.

W Polsce wciąż powraca narracja, że cały zgiełk wokół takich incydentów jak ten na Morzu Azowskim ma przykryć kompletną ruinę państwa ukraińskiego, że nie warto bronić państwa oligarchów, przeżartego korupcją. Równie dobrze można w podobny sposób opowiadać o Polsce. Pytać, po co US Army ma budować bazy w kraju patologicznie skłóconym i podzielonym między dwie wrogie partie, kraju populizmu i skrywanego nazizmu.

Ukraina jest słaba swoimi problemami, ale ma wciąż aktywne i żywotne siły pragnące uzdrowienia państwa. Można ją porównać do Polski z epoki Konstytucji 3 maja, z egoistycznymi magnatami i zacofaniem, która jednak toczyła wewnętrzną walkę o uzdrowienie z zaborczą Moskwą.

Najważniejsze jednak – że pięć lat wojny w Donbasie znacząco wzmocniło ukraińską tożsamość niepodległego narodu. Ukraina to już dziś na pewno nie Rosja. Ofiara Majdanu jednak nie poszła na marne.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Reportaż powstał w wyniku wyjazdu grupy dziennikarzy z Polski i Niemiec na Ukrainę zorganizowanego przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Poland Daily

News, business & culture

EVERYDAY on Telewizja Republika

REPUBLIKA

10:00 PM, 12:00 AM, 2:00 AM, 4:00 AM (Warsaw time)
4:00 PM, 6:00 PM, 8:00 PM, 10:00 PM (Eastern Time, US)

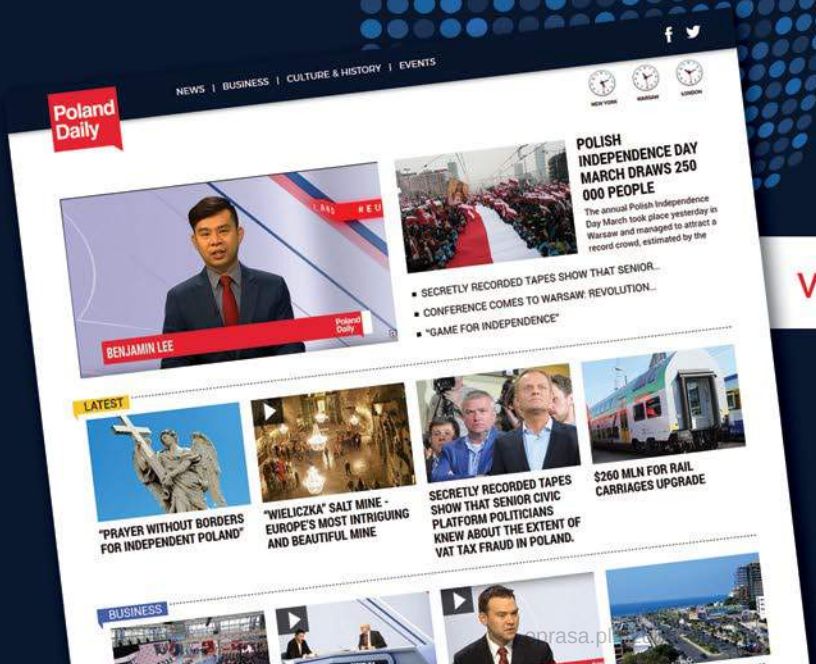

visit **polanddaily.com**

Polacy na Marsie

Jacek Przybylski

Po przebyciu niemal 485 mln km skonstruowany przy pomocy Polaków instrument do badania tajemnic Czerwonej Planety dotarł bezpiecznie na powierzchnię Marsa. Koszt projektu NASA szacuje się na niemal miliard dolarów

FOT. NASA

„Żyję i działam!" – sygnał tej treści odebrali naukowcy w NASA 26 kwietnia o 20:52:59 polskiego czasu od bezzałogowej sondy InSight, która na powierzchni Czerwonej Planety wylądowała po siedmiu miesiącach podróży i przebyciu niemal 485 mln km.

W sumie koszt projektu InSight szacowany jest na astronomiczną kwotę: 993 mln dol., z czego 814 mln wyłożyły Stany Zjednoczone, a pozostałą kwotę Francuzi i Niemcy. Bezzałogowy lądownik został wysłany na Marsa w ramach programu Discovery – projekty z tej kategorii charakteryzują się zaś tym, że mogą mieć przełomowe znaczenie dla nauki, ale jednocześnie są obarczone kosmicznie wysokim ryzykiem. Już kilka dni przed lądowaniem naukowcy z NASA skarżyli się więc na bezsenne noce, spocone dłonie i bóle żołądkowe. Około 60 proc. z 43 prób przerzucenia na Marsa różnego rodzaju łazików i innych urządzeń zakończyło się porażką. Podobnie mogło być również tym razem.

W poniedziałek, gdy sonda weszła w rzadką atmosferę Marsa, w centrach kontroli misji panowało więc ogromne napięcie. W ciągu zaledwie kilku minut sonda musiała bowiem wytracić prędkość do zera z 19,8 tys. km/godz. Po odłączeniu się od modułu przeznaczonego do kosmicznej podróży sonda InSight najpierw hamowała aerodynamicznie, wykorzystując opór atmosferyczny. Kłopot w tym, że na Marsie jest wyjątkowo cienka atmosfera. Ryzyko kosmicznej klęski przy lądowaniu jest więc bardzo wysokie. Po udanym przejściu tego etapu InSight otworzyła spadochrony, aż wreszcie z użyciem silników hamujących delikatnie opadła na specjalne nogi absorbujące energię z uderzenia. Na miejsce lądowania wyznaczono wulkaniczną równinę Elysium Planitia, mniej więcej 600 km od krateru Gale, gdzie w sierpniu 2012 r. wylądował słynny łazik Curiosity. To jedno z ulubionych miejsc do lądowania pojazdów kosmicznych. Nie ma tu gór, wysokich klifów, kraterów czy zbyt wielu kamieni. Eksperci NASA nazywają więc te tereny „największym placem parkingowym na Marsie". Jednak na wszelki wypadek i tak jeszcze przed startem pomierzyli dokładnie rozkład kraterów czy długość cieni rzucanych przez kamienie. Przy odrobinie pecha InSight mogłaby wylądować na stromym zboczu, a potem przewrócić się lub wylądować na powierzchni, na której nie dałaby rady rozstawić instrumentów badawczych.

Na szczęście lądowanie było udane, a chwilę potem sonda wysłała na Ziemię pierwsze zdjęcia, przedstawiające miejsce lądowania, zrobione kamerą umieszczona na spodzie korpusu sondy. Stacjonarny lądownik ma do dyspozycji jeszcze jedną kamerę, zamontowaną na wysięgniku. Kilka godzin po wylądowaniu rozłożył panele słoneczne – których średnica wynosi aż 2,2 m, co ma sprawić, że będzie miał do dyspozycji 600–700 watów mocy – i wziął się ostro do pracy. Dopiero wówczas zespół naukowców zgromadzonych w ziemskich centrach kontroli mógł wreszcie nieco odetchnąć.

Dane z sondy InSight, kiedy ta wchodziła w marsjańską atmosferę i lądowała na Marsie, przekazywały na Ziemię dwa minisatelity – wielkości walizki – nazwane Mars Cube One. Poleciały one na Marsa własną ścieżką za sondą InSight. I z powodzeniem zakończyły w ubiegłym tygodniu eksperyment związany z nowym sposobem na przekazywanie danych z innych planet. To dobra wiadomość. Do tej samej klasy miniaturowych satelitów należą bowiem również czekające na wystrzelenie polskie satelity: zbudowany przez studentów z Politechniki Warszawskiej PW-Sat 2 oraz polsko-fiński ICEYE-X2.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

Udane lądowanie sondy InSight na Marsie to wielkie wydarzenie nie tylko

eprasa.pl 52d88eeb8a

w dziejach NASA, lecz także w historii polskiej nauki. Jednym z trzech najważniejszych elementów sondy – wykonanej wspólnie przez Amerykanów, Francuzów, Niemców oraz Polaków – jest próbnik HP3 (Heat Flow and Physical Properties Package), służący do wwiercenia się w marsjańskie grunty.

Mechanizm wbijający do kosmicznego „kreta" na zlecenie Niemieckiej Agencji Kosmicznej (DLR) zaprojektowali i wykonali inżynierowie polskiej firmy Astronika wspomagani przez naukowców z Politechniki Warszawskiej, Centrum Badań Kosmicznych PAN, Politechniki Łódzkiej oraz Instytutów Lotnictwa i Spawalnictwa. Penetrator HP3 jest kompletnym urządzeniem zaprojektowanym i wykonanym w Polsce. Polskie firmy coraz częściej zostają wykonawcami elementów urządzeń, ale realizacja tak kompletnego zlecenia jest jak na razie w naszym kraju rzadkością – podkreślają przedstawiciele Astroniki.

„Kret" ma za zadanie wbić się w grunt na głębokość aż 5 m. Tak głęboko do wnętrza Czerwonej Planety jeszcze nigdy dotąd nikomu nie udało się dostać. – To historyczna misja. Na Marsie jak dotąd grunt badany był tylko na kilka cali w głąb. Zresztą na głębokość 5 m nie wbijano się nie tylko pod powierzchnię Marsa, lecz także Księżyca ani żadnych innych ciał niebieskich – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy" Damian Szczerbaty z Astroniki. Dlaczego akurat na 5 m? – To minimalna odległość, aby móc odizolować czujniki instrumentu od dobowych i rocznych zmian temperatury na Marsie – dodaje. A zmiany są istotne. W okolicach równika na Marsie temperatury latem w ciągu dnia mogą sięgać 20 st. C, a nocą spadają do –70 st. C. Naukowcy dzięki misji InSight mają nadzieję zebrać jak najwięcej informacji nie tylko na temat skorupy Marsa, lecz także płaszcza i wielkości jądra planety.

Zadanie jest skomplikowane, ponieważ sonda InSight nie jest poruszającym się łazikiem, lecz lądownikiem stacjonarnym, który instrumenty badawcze umieści na powierzchni planety za pomocą specjalnego robotycznego ramienia. Żeby dobrze wybrać miejsca, w których zostaną rozstawione urządzenia pomiarowe, naukowcy na Ziemi skonstruowali specjalną piaskownicę. Na podstawie zdjęć wykonanych przez dwie kamery lądownika odwzorowują w niej warunki panujące wokół miejsca lądowania. Skonstruowanie wyjątkowo precyzyjnego modelu tego fragmentu Marsa – z dokładnością do poszczególnych kamieni – ma pomóc w jak najlepszym ustawieniu instrumentów badawczych: francuskiego sejsmografu oraz niemiecko-polskiego „kreta". Chodzi o to, aby w pracy nie przeszkodził im np. kamień leżący na powierzchni Marsa lub płytko pod powierzchnią. Mniejsze kamienie pod powierzchnią nie są wielkim problemem, ale większe, o średnicy ponad 10 cm, mogą być już kłopotliwe.

Naukowcy trzymają więc kciuki. Zbadanie wnętrza Marsa to bowiem przełomowe zadanie. Wiele wcześniejszych misji łazików pozwoliło już dość dobrze poznać powierzchnię Marsa. Dopiero badanie poszczególnych warstw geologicznych może jednak pozwolić na odkrycie największych tajemnic czwartej od Słońca planety i nie tylko jej. – Sonda InSight podróżuje na Marsa, ale to o wiele, wiele więcej niż tylko marsjańska misja. W pewnym sensie jest ona naukowym wehikułem czasu. Dostarczy nam bowiem informacji o najwcześniejszych etapach historii Marsa, tych sprzed 4,5 mld lat. Te badania pomogą nam więc zrozumieć, w jaki sposób formują się obiekty takie, jak Ziemia, Wenus, Merkury, Księżyc, a nawet planety w innych układach planetarnych – tłumaczył Bruce Banerdt, szef grupy naukowej misji InSight, jeszcze zanim rakieta Atlas V wyniosła sondę w przestrzeń kosmiczną.

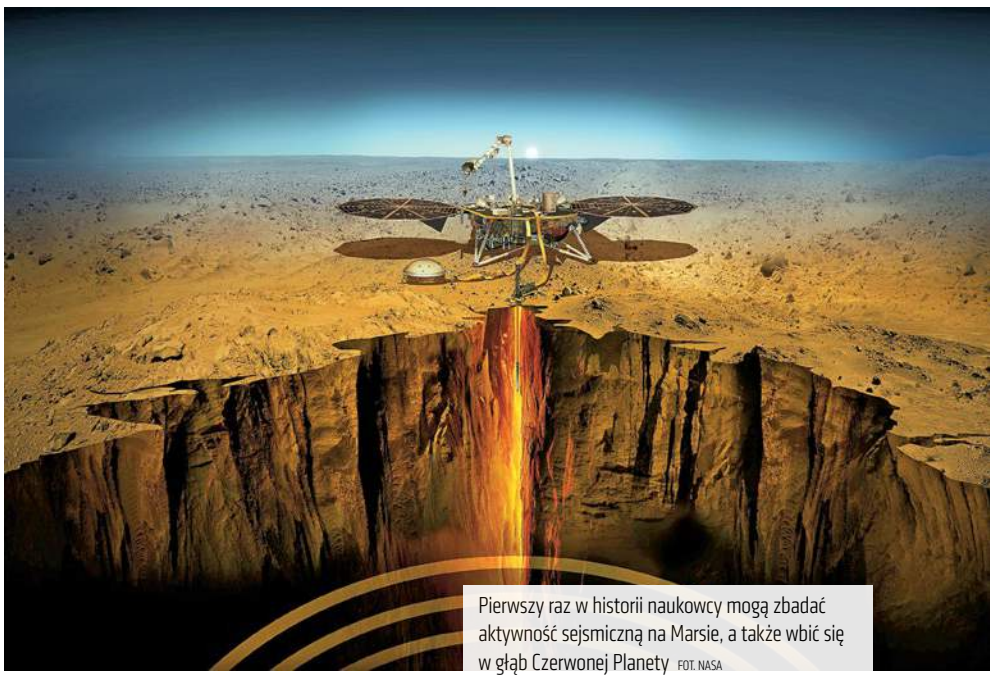

Pierwszy raz w historii naukowcy mogą zbadać aktywność sejsmiczną na Marsie, a także wbić się w głąb Czerwonej Planety FOT. NASA

485 mln km

TAKI DYSTANS POKONAŁA W CIĄGU SIEDMIU MIESIĘCY SONDA INSIGHT

Dokładne badania Czerwonej Planety mają też przybliżyć naukowców do odpowiedzi, dlaczego na Ziemi – a więc planecie pod wieloma względami bardzo podobnej do Marsa – panują sprzyjające dla życia warunki, a na Marsie już nie. Według naukowców istnieje spore prawdopodobieństwo, że po pustynnej obecnie Czerwonej Planecie płynęły kiedyś rzeki. Jedno z najważniejszych pytań brzmi więc: dlaczego choć Mars i Ziemia ponad 4,5 mld lat temu powstały z podobnej materii, to ich ewolucja potoczyła się inaczej?

Taka wiedza ułatwi poznanie historii Układu Słonecznego oraz planet pozasłonecznych. Ale nie tylko. Naukowcy podkreślają bowiem, że badania sondy InSight mogą też być swego rodzaju „powrotem do przyszłości".

eprasa.pl 52d88eeb8a

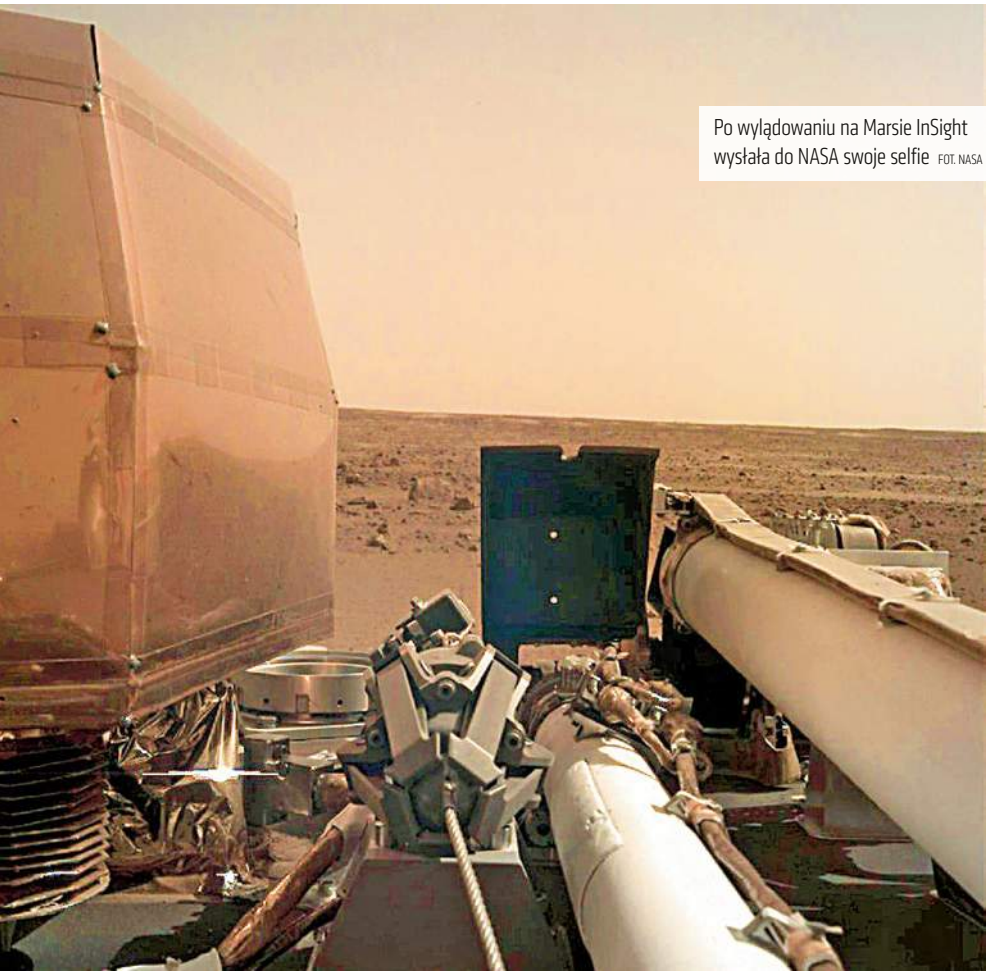

Po wylądowaniu na Marsie InSight wysłała do NASA swoje selfie FOT. NASA

– Informacje, które uzyskamy podczas tej misji, mogą pozwolić nam również przewidzieć, jak Ziemia będzie dalej ewoluować, a także odpowiedzieć na pytanie, czy czeka nas taki sam los jak Marsa – wyjaśnia Damian Szczerbaty z Astroniki.

Przesyłane dane trafią najpierw do głównego badacza w NASA. Potem jako jedni z nielicznych na świecie jeszcze przed oficjalnym udostępnieniem danych będą mogli się z nimi zapoznać badacze współpracujący przy tym projekcie, w tym polski inżynier dr Jerzy Grygorczuk, jeden z założycieli firmy technologiczno-naukowej Astronika.

BILET W JEDNĄ STRONĘ

Lądownik będzie prowadził badania na powierzchni Marsa przez ponad jeden rok marsjański, czyli dwa lata ziemskie.

Za pomocą danych zgromadzonych z francuskiego sejsmografu naukowcy pierwszy raz uzyskają dane o trzęsieniach gruntu na Marsie. Będą mogli także sprawdzić, jak często na powierzchnię Czerwonej Planety spadają meteoryty, oraz wykrywać burze piaskowe.

2030 rok

NAJPÓŹNIEJ WTEDY NA MARSIE MAJĄ WYLĄDOWAĆ PIERWSI LUDZIE

Specjalne sensory termiczne umieszczone na powierzchni „kreta" mają pozwolić na monitorowanie temperatur oraz przepływu ciepła na powierzchni Marsa. Wiedza na ten temat może mieć ogromne znaczenie dla projektu wysłania na Marsa misji załogowej. Nie ma czasu do stracenia, bo według założeń NASA ludzie na Czerwonej Planecie pojawić mają się najpóźniej w roku 2030.

Najpierw jednak Amerykanie chcą ponownie wysłać astronautów na Księżyc. Pierwszy raz stopę na srebrnym globie postawił w lipcu 1969 r. Neil Armstrong. Oprócz niego jak dotąd na Księżycu miało szansę stanąć jeszcze tylko 11 osób. Plan zakładający kolonizację Marsa został już przyjęty w grudniu zeszłego roku przez amerykańskiego prezydenta. Donald Trump nakazał w nim naukowcom z NASA, aby ponownie skupili się na ludzkiej eksploracji kosmosu.

Jeszcze wcześniej ludzi na Marsa chcą wysłać prywatni przedsiębiorcy. W 2027 r. na Marsie mają wylądować cztery osoby wysłane tam w ramach projektu Mars One holenderskiego biznesmena Basa Lansdorpa. Cel: ustanowienie na Czerwonej Planecie stałej kolonii ludzkiej. I dosyłanie kolejnej grupy czterech astronautów co 26 miesięcy. Koszt pierwszego etapu szacowany jest na ok. 6 mld dol. Bilet: w jedną stronę. Pierwszy etap selekcji ochotników został zakończony w roku 2013: z 202,5 tys. osób zakwalifikowało się 1058 z ponad 100 krajów świata. W 2015 r. do ostatniego etapu rekrutacji zakwalifikowano 100 osób: 50 kobiet i 50 mężczyzn, w tym troje Polaków.

Identyczne zadanie jak Holender stawia przed kolonizatorami ekscentryczny południowoafrykański miliarder Elon Musk. W tym wypadku nie będzie to jednak darmowa podróż. Musk, nazywany przez niektórych najważniejszym współczesnym innowatorem, szacuje, że bilety na podróż prywatnym statkiem kosmicznym będą kosztować „kilkaset tysięcy dolarów". Co więcej, 47-letni obecnie założyciel takich firm, jak PayPal, Tesla czy SpaceX, ogłosił w zeszłym tygodniu, że sam rozważa lot na Czerwoną Planetę. W wywiadzie dla HBO Musk ogłosił, że widzi 70-procentową szansę na to, że w ciągu siedmiu lat będzie mógł polecieć na Marsa. Jednocześnie przyznał, że zdaje sobie sprawę, iż zarówno on, jak i inni kolonizatorzy tej planety najprawdopodobniej będą musieli zostać na niej aż do śmierci. Zresztą niektórzy mogą nie przeżyć nawet samego lotu. Ci zaś, którzy dotrą na Marsa, nie będą mieć łatwego życia. I będą musieli bardzo ciężko pracować, aby samemu przeżyć i stworzyć warunki do życia dla nowych pokoleń kosmicznych śmiałków. Według Muska ogłoszenie dotyczące rekrutacji na wyprawę na Marsa powinno być więc podobne do tego, które według legendy sir Ernest Shackleton umieścił w londyńskim „Timesie", szukając chętnych na wyprawę na Antarktydę: „Potrzebni mężczyźni na niebezpieczną wyprawę, niskie zarobki, przenikliwy chłód, długie miesiące całkowitych ciemności, nieustające zagrożenia, wątpliwy bezpieczny powrót, honor i uznanie w przypadku powodzenia".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rekompensologia stosowana

Nie trzeba być specjalnie bystrym, by spostrzec, jak bardzo władza, w tym także ta z PiS, lubi podwyżki – choćby nominalne, a najlepiej realne – dochodów wyborców i jak boi się obniżek – realnych, a jeszcze bardziej nominalnych – ich dochodów. Czy to wskutek cięcia pensji, czy windowania podatków i cen – towarów, usług, wody, gazu, prądu itd.

Niestety, jak wiadomo, podwyżki cen są nieuchronne i choćby nie wiem, jak zaklinać rzeczywistość, jak bardzo odwlekać je w czasie, pewnego dnia staje się to po prostu dłużej niemożliwe. Jak teraz w przypadku cen prądu. A że wprowadzenie ich odsuwano ponad wszelką miarę, to i podwyżki szykują się spore – wprost proporcjonalnie wysokie do czasu ich odkładania.

I jak zwykle w takim przypadku politycy próbują się uciec do magicznej sztuczki: chcą tak podnieść ceny prądu, by było to jak najmniej zauważalne przez wyborców, a najlepiej – w ogóle niezauważalne. Najpierw więc zaoferowali wypłatę rekompensat za podwyżkę dla najmniej zarabiających – z pierwszego progu podatkowego. Wkrótce jednak, jak się nietrudno domyślić – wskutek pomruków niezadowolenia wydawanych przez Suwerena – postanowili wypłacać rekompensaty wszystkim. Wypłacać z budżetu, no bo skąd? Czyli – nie inaczej – podatnicy złożą się na rekompensaty dla siebie i będą musieli dorzucić do tego marżę dla rządu – na pensje urzędników, którzy będą tę operację co miesiąc przeprowadzać; a nie będzie ona tania – miliony gospodarstw domowych i rachunków.

Wszelako, znając niewyczerpane pokłady pomysłów naszych polityków, niewykluczone, a nawet wielce prawdopodobne, że to nie koniec polowania na płatników rekompensat za podwyżki cen prądu. Może się łacno okazać, że powinni się na nie składać nie wszyscy podatnicy, lecz tylko najbogatsi z nich i w związku z tym trzeba pilnie podnieść stawkę nakładanej na ich dochody powyżej miliona złotych tzw. daniny solidarnościowej (a najbogatsi i tak znajdą sposób, np. w swych firmach, by się swą stratą „podzielić" z uboższymi rodakami). A może rekompensaty za podwyżki cen prądu powinny Polakom fundować zagraniczne sieci handlowe (czyli znowu my sami, bo przecież one i tak wrzuciłyby nam je w ceny produktów)? Nie wspominając o tym, że niejeden polityk PiS może zechcieć zmusić do zrzutki na rekompensaty za podwyżki cen prądu banki – rzecz jasna nie polskie, lecz cudzoziemskie (i to dopiero one przerzuciłyby na nas te koszty – w swych prowizjach i odsetkach za kredyty).

Tak czy siak, jakkolwiek rządzący by kombinowali, i tak prędzej czy później, w ten czy inny sposób rachunek za podwyżkę cen prądu w naszych domach będziemy musieli zapłacić my sami. A także – w tym przypadku od razu – rachunek za wzrost cen wszystkich towarów i usług, które wskutek podwyżek cen prądu podrożeją. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Jak powstało „500+"

Ostatnio przeglądałem archiwa moich tekstów publicystycznych, a było ich kilka tysięcy na przestrzeni minionych 20 lat. W oczy rzucił mi się felieton z początku 2013 r., w którym proponuję wprowadzenie w Polsce stypendium demograficznego. Ta propozycja zainspirowała polityków do stworzenia programu „500+". Chciałbym w dużym skrócie przypomnieć tamten tekst.

Według ostrzegawczej prognozy ONZ zakładającej obecny poziom dzietności w roku 2100 może nas być tylko 16 mln. Aby zwiększyć liczbę urodzeń, potrzebne są potężne dodatkowe pieniądze dla rodzin, które podejmą decyzję o posiadaniu wielu dzieci. Wszystkie badania kondycji polskich rodzin pokazują bowiem, że rodziny wielodzietne są najuboższe, więc nic dziwnego, iż wielu młodych ludzi podejmuje decyzję o tym, żeby mieć góra jedno dziecko. Dodatkowo polskie państwo prowadzi opresyjną politykę wobec wielodzietnych rodzin, ponieważ podatki płacone przez te rodziny są o wiele większe niż płacone przez singli. Singiel wydaje bowiem tylko część swojego dochodu, więc płaci podatek VAT tylko od części dochodu, a rodzina wielodzietna często wydaje na dzieci wszystkie pieniądze, więc płaci znacznie większy kwotowo podatek VAT.

Ten stan rzeczy musi ulec zmianie. Proponuję wprowadzenie stypendium demograficznego, czyli transferu z budżetu państwa do rodziców pewnej sumy co miesiąc, od momentu urodzin do ukończenia przez dziecko 18. roku życia. W najprostszej postaci byłaby to kwota tysiąca złotych miesięcznie za każde nowo narodzone dziecko w każdej polskiej rodzinie. Jeżeli w pierwszym roku takiej polityki urodzi się 500 tys. dzieci, to oznacza wydatek rzędu 6 mld zł. Po roku to będzie już 12 mld. W szczytowym momencie, gdy pierwsi stypendyści osiągną wiek 18 lat, koszty tej polityki sięgną ok. 100 mld zł. To bardzo dużo, w finansach publicznych są rezerwy na ok. 30–40 mld zł.

Wraz z upływem czasu bilans korzyści będzie się zmieniał, nowo narodzone dzieci będą generowały nowy popyt, gospodarka będzie się rozwijać coraz szybciej, pojawią się nowe usługi i nowe firmy. Jeżeli jednak ta kwota byłaby za wysoka do udźwignięcia przez naród, to można ten pomysł zmodyfikować i płacić stypendium dopiero na drugie dziecko i następne. Pewnie pojawi się zarzut, że ten pomysł dzieli dzieci na lepsze i gorsze – lepsze to te, które załapały się na stypendium demograficzne, a gorsze to te, które urodziły się za wcześnie, zanim zaczęto przyznawać stypendia. Jednak celem mojej propozycji nie jest poprawa sytuacji materialnej obecnych wielodzietnych rodzin, tylko doprowadzenie do silnego zwiększenia liczby urodzin w krótkim czasie. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 52d88eeb8a

Interes na prądzie

Tomasz Cukiernik

Za wzrost cen prądu odpowiada unijna polityka energetyczno-klimatyczna

Z doniesień medialnych wynika, że ceny prądu mogą wzrosnąć nawet o kilkadziesiąt procent. „Energa Obrót w wyznaczonym terminie złożyła do prezesa URE wniosek o zatwierdzenie taryfy dla energii elektrycznej na 2019 rok. Ze względu na trwający proces administracyjny spółka nie informuje o wysokości wnioskowanych taryf dla klientów grup taryfowych G ani innych szczegółach wniosku" – podał Andrzej Dunajski, dyrektor biura prasowego Grupy Energa. Podobne wnioski złożyły pozostałe koncerny energetyczne.

CHODZI O BIZNES

W tej sytuacji minister energii Krzysztof Tchórzewski zapowiedział wprowadzenie rekompensat dla gospodarstw domowych oraz dla małych i średnich przedsiębiorstw. Ma zostać utworzony specjalny fundusz. Łącznie chodzi o niebagatelną kwotę rzędu kilku miliardów złotych rocznie. – Jeżeli rząd, który nie ma własnych pieniędzy, bo rząd operuje pieniędzmi podatnika, deklaruje dopłaty do gospodarstw domowych, czyli bezpośrednio do zużycia prądu przez indywidualnych odbiorców, to on te pieniądze musi albo wziąć z kredytu, albo pozyskać z innych podatków – mówi poseł Kukiz'15 Krzysztof Sitarski, zastępca przewodniczącego sejmowej Komisji ds. Energii i Skarbu Państwa. – Społeczeństwo i tak poniesie koszt, ale będzie to w troszeczkę innej formie ta sama kwota plus koszty operacji urzędniczych. Nie jest rozwiązaniem szukanie dopłat, specjalnych mechanizmów, wyrównywania, bo to wyrównywanie jest zawsze bardziej kosztowne niż nieobciążanie obywatela – dodaje. Z kolei Daria Kulczycka, dyrektor Departamentu Energii i Zmian Klimatu Konfederacji Lewiatan, uważa, że „uzasadniona jest czasowa ochrona odbiorców w sytuacji szokowego wzrostu cen", jednak dotowanie w nieskończoność bez obniżania emisyjności energetyki i przemysłu „skończy się katastrofą". Z kolei zdaniem ekspertów WEI to „leczenie przysłowiowej dżumy socjalistycznych regulacji klimatycznych Brukseli cholerą interwencjonizmu państwa polskiego jest drogą donikąd".

Rekompensaty to tylko dorywcze gaszenie kosztownych pożarów wywołanych unijną polityką energetyczno-klimatyczną. Chociaż czynników, które windują ceny energii elektrycznej, jest kilka, to jeden jest podstawowy: rosnące ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla. – Na ceny energii na rynku hurtowym kluczowy wpływ mają zmiany na rynku praw do emisji CO_2 – mówi Piotr Ludwiczak, kierownik biura prasowego Grupy Enea. Rok temu ceny uprawnień do emisji dwutlenku węgla kształtowały się na poziomie ok. 7 euro za tonę, podczas gdy aktualnie przekroczyły 20 euro. Oznacza to wzrost aż o 180 proc. – To determinuje ceny energii na rynku hurtowym do pułapu 300 zł za MWh, co jeszcze niedawno było ceną wysoką, a w tej chwili jest wręcz przyjmowane jako norma – mówi poseł Sitarski. Nie można też zapominać o kosztach wynikających z zielonych certyfikatów, które energetyka węglowa musi kupować, by wspierać OZE. A te w ostatnim roku podrożały trzykrotnie.

No ale dlaczego swoją polityką klimatyczno-energetyczną Bruksela uderza w polską energetykę i w rezultacie gospodarkę? Aby chronić klimat? Oczywiście tu nie chodzi o żadne globalne ocieplenie, które jest tylko pretekstem dla naiwnych, lecz o twarde interesy. Cały problem wynika z tego, że polska energetyka jest oparta na innym paliwie niż systemy energetyczne państw Europy Zachodniej, które dyktują UE kierunek polityki. – To jest biznes – mówi poseł Sitarski. – Interesy Unii Europejskiej kreują producenci energii elektrycznej z atomu we Francji i z odnawialnych źródeł energii w Niemczech, Danii i innych państwach. To nic innego jak tylko ścieranie się interesów. Rozpętana histeria dekarbonizacyjna polega na tym, żeby Polska z producenta energii elektrycznej ze źródeł konwencjonalnych stała się odbiorcą energii przekazywanej z nadwyżek produkcyjnych w Unii Europejskiej – wyjaśnia poseł. A zdaniem NIK „Polska prawdopodobnie stanie przed koniecznością dokonania statystycznego transferu energii z OZE z państw członkowskich UE, które mają nadwyżkę tej energii. Koszty tego transferu mogą wynieść nawet 8 mld zł".

WĘGIEL NIE JEST WINNY

Co więcej, prezes Tauronu Filip Grzegorczyk zauważa, że wzrost kosztów emisji dwutlenku węgla wynikający z unijnej polityki hamuje niezbędne reformy w polskiej energetyce. – Rosnące koszty emisji CO_2 drenują polskich wytwórców energii z pieniędzy, za które mieliby oni przeprowadzić transformację energetyczną – mówił w sierpniu br. prezes Grzegorczyk. A przestarzała infrastruktura energetyczna również odpowiada za rosnące ceny energii elektrycznej. Dyrektor Kulczycka przypomina, że polska energetyka, oparta w 78 proc. na węglu, ciągle wykorzystuje stare, wysokoemisyjne bloki z powodu niewystarczającej liczby

eprasa.pl 52d88eeb8a

FOT. ADOBE STOCK

nowoczesnych jednostek wytwórczych – zarówno konwencjonalnych, jak i odnawialnych. A tymczasem wskaźnik udziału energii ze źródeł odnawialnych w końcowym zużyciu energii brutto spadł z 11,9 proc. w 2015 r. do 11 proc. w 2017 r. Oznacza to, że do 2020 r. Polska może nie osiągnąć narzuconego przez Brukselę 15-procentowego udziału energii z OZE.

Do tego dochodzi brak konkurencji pomiędzy koncernami energetycznymi, co wynika z przeregulowania branży oraz faktu zdominowania jej przez państwo i politykę. – Dodatkowo zmonopolizowanie sektora wytwarzania ułatwia producentom przerzucanie rosnących kosztów na odbiorców przemysłowych – mówi Kulczycka. – Wyborcy już dziś odczuwają wzrosty cen prądu – kolejny rachunek za pełen przekrój politycznej nieudolności: dotowanie nierentownych kopalń, nieudolne zarządzanie czy milionowe dotacje dla instytucji takich jak Polska Fundacja Narodowa – dodaje dr Tomasz Kasprowicz, przedsiębiorca oraz wykładowca na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie, w Wyższej Szkole Biznesu w Dąbrowie Górniczej oraz w Wyższej Szkole Ekonomii i Innowacji w Lublinie.

Po części wzrost cen energii wynika też z podwyżek cen węgla. Chociaż światowe ceny tego paliwa są o ok. 4 proc. niższe niż rok temu, to w Polsce przez ostatni rok podniosły się one o ok. 20 proc. To oczywiście prawda, że polskie górnictwo źle działa, bo podobnie jak energetyka jest pod zbyt dużym wpływem państwa. Jednak warto przypomnieć, że polski węgiel mógłby być znacznie tańszy także wtedy, gdyby zdjęto z górnictwa rekordowe podatki (w tym także wymuszoną unijnymi regulacjami akcyzę od węgla i koksu), które znacznie przekraczają wartość tak krytykowanych dotacji dla branży (a te idą nie na pomoc górnictwu, ale głównie na likwidację kopalń i wydatki społeczne, takie jak rekompensaty za utracone prawo do bezpłatnego węgla). – Obciążenia fiskalne – przeszło 30 rodzajów podatków na węglu kamiennym – także powodują wysoką cenę węgla. O tym mówiłem wielokrotnie. Z mównicy sejmowej od trzech lat padały deklaracje Ministerstwa Energii, kilka razy padały deklaracje na komisjach energii, zakłada się w programie strategii dla Śląska i strategii energetycznej weryfikację obciążeń fiskalnych produktu, jakim jest węgiel kamienny, i sektora górniczego, i na deklaracjach się kończy. I to zaczyna być już irytujące – mówi poseł Sitarski.

NIE WOLNO WALCZYĆ Z UNIĄ

To wszystko nie są dobre wiadomości. Nawet jeśli URE sztucznie spowoduje, że gospodarstwa domowe nie dostaną wyższych rachunków, to po pierwsze, zapłacimy je wszyscy jako podatnicy, a po drugie, wzrost cen energii elektrycznej uderzy w „niechronionych" przedsiębiorców, którzy ostatecznie będą zmuszeni przerzucić swoje wyższe koszty na konsumentów, co wywoła inflację. – Skutki wzrostu kosztów wytwarzania energii poniosą wszyscy odbiorcy: energochłonni, pozostali odbiorcy biznesowi, komunalni i gospodarstwa domowe – mówi dyrektor Kulczycka. Tym samym polscy przedsiębiorcy staną się mniej konkurencyjni nie tylko na rynku krajowym, lecz także w eksporcie. – Skutkiem wzrostu cen energii jest pogorszenie pozycji konkurencyjnej polskich przedsiębiorstw na rynku UE – zauważa ekspertka Lewiatana. To może poważnie uderzyć w rozwój gospodarczy. Według szacunków ekspertów Instytutu Jagiellońskiego wzrost cen energii elektrycznej będzie kosztował polską gospodarkę ok. 16 mld zł w 2019 r. i 22 mld zł w 2020 r.

Faktem jest, że zaniedbania zarówno w polskim górnictwie, jak i energetyce ciągną się od dekad. – Jednak my nie mamy wyjścia. Specyfika polskiego rynku energii opiera się na węglu kamiennym i brunatnym. Amen – mówi poseł Sitarski. Nie da się tak szybko porzucić węgla, jak życzyłaby sobie tego Bruksela. Jak w takim razie wyjść z tej sytuacji, jeśli nadal mamy być członkiem Unii Europejskiej? Poseł Sitarski wymienia kilka działań. Po pierwsze, jego zdaniem bardzo dobrą koncepcją polskiego rządu są leśne gospodarstwa węglowe. Chodzi o nasadzanie odpowiednich gatunków drzew, które będą pochłaniały CO_2. – Jeśli koncepcja leśnych gospodarstw węglowych zostanie wynegocjowana w odpowiedniej formule, żeby zbilansować koszty emisji, to mamy sprawę w dużym stopniu zniwelowaną – uważa poseł. Po drugie, należy zweryfikować obciążenia fiskalne dla producentów węgla energetycznego. Po trzecie, trzeba wspierać produkcję energii z OZE. W projekcie Polityki Energetycznej Państwa zapowiedziano co prawda rezygnację z rozbudowy wiatraków na lądzie, ale na rzecz inwestowania w farmy morskie oraz w fotowoltaikę. Po czwarte wreszcie, ważne są ostatnie zapowiedzi rządu na temat energetyki jądrowej. Minister Tchórzewski poinformował, że nieformalna decyzja o budowie elektrowni atomowej już zapadła, a z projektu PEP wynika, iż łącznie ma powstać sześć bloków jądrowych.

Czy jednak Bruksela przyjmie argumentację polskiego rządu, jeśli na drugiej szali są interesy Niemiec i Francji? – Zadaniem rządu jest stanowcze i asertywne podejście do polityki energetycznej względem partnerów zachodnich – żeby uwzględnili specyfikę i zaszłości historyczne wytwarzania energii elektrycznej w Polsce – uważa poseł Sitarski. – Nie wolno walczyć z Unią. Trzeba przekonywać do naszych racji – podkreśla. I w tym celu należy też wykorzystać polską prezydencję na ONZ-owskiej konferencji klimatycznej COP24 w Katowicach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

TEST „DO RZECZY": LENOVO YOGA 530

Obracalny, dotykowy ekran, który można odchylić o 360 stopni, całkiem przyzwoita wydajność działania oraz stosunkowo niska cena – to największe zalety modelu Yoga 530.

Z wyglądu jeden z najnowszych ultrabooków typu dwa w jednym nie wyróżnia się niczym szczególnym. Sprzęt jest solidnie wykonany, ale plastikowa obudowa nie zachwyca. Design jest nieco nudny, choć może to być zaletą dla tradycjonalistów. Testowany laptop trudno jednak uznać za szczególnie lekki (waży 1,6 kg) czy też wyjątkowo smukły (w najgrubszym miejscu mierzy 17,6 mm). Dużym plusem jest sprawnie działający czytnik linii papilarnych, który w sprzęcie za takie pieniądze występuje rzadko. Zaletą tego modelu są też liczne porty: dwa USB 3.0, jeden USB typu C, złącze HDMI oraz czytnik kart SD. Układ klawiatury jest standardowy. Miłośników pracy po nocach ucieszą dwa tryby podświetlania klawiatury. Również trackpad pracuje bez zastrzeżeń.

Dotykowy ekran o przekątnej 14-cali o rozdzielczości 1920 x 1080 pikseli został wykonany w technologii IPS. Jakość obrazu jest co najwyżej przeciętna. Wyświetlacz ma poprawne kąty widzenia, przyzwoity kontrast i – co w tym przypadku najważniejsze – możliwość odchylenia o 360 stopni, co pozwala szybko zamienić laptopa w tablet. Znacząco ułatwia to korzystanie z urządzenia np. podczas podróży samolotem czy pociągiem. Odchylany ekran pozwala nie tylko oglądać filmy, lecz także robić notatki czy też – przy użyciu opcjonalnego pióra cyfrowego – rysować jak na tradycyjnej kartce papieru.

To, co wyróżnia testowany model, znajduje się wewnątrz obudowy. Sercem Yogi 530 nie jest bowiem procesor Intela, ale AMD Ryzen 3 z taktowaniem 2,5 GHz, które w razie potrzeby może być zwiększone do 3,4 GHz. Wewnątrz znajdują się też dysk o pojemności 128 GB oraz 4 GB pamięci RAM. To zdecydowanie za mało jak na koniec drugiej dekady XXI w. Mimo to taka konfiguracja przeważnie wystarcza do wykonywania zadań domowych czy biurowych. Yoga 530 powinna dobrze służyć studentom i osobom, którym wystarczy sprzęt do pisania tekstów, przeglądania Internetu czy oglądania filmów. Z pewnością nie jest jednak laptopem dla wymagających graczy. Nieco lepszy mógłby być również czas pracy na baterii – podczas testów na jednym ładowaniu średnio obciążony ultrabook pracował ok. sześciu godzin. Szału nie ma, choć Lenovo umożliwiło opcję szybkiego ładowania, dzięki której po kwadransie ładowania laptopotablet może pracować przez ok. dwie godziny.

Dużą zaletą tego modelu jest z pewnością cena, która wynosi tylko 2299 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

KOSMICZNY KOMUNIKATOR

Czy to jest jeszcze smartfon czy może coś więcej? A może coś mniej? Producenci przekonują, że to „komunikator" na skalę „kosmiczną", i rzeczywiście trzeba przyznać, iż na pierwszy (i drugi też) rzut oka robi wrażenie. Mowa o urządzeniu o nazwie Cosmo Communicator, które jest zarazem gadżetem umożliwiającym kontakt z innymi osobami, kamerą i przenośnym komputerkiem.

Kieszonkowy smartfon (dual SIM) z podświetlaną klawiaturą i podobnie podświetlanymi ekranami dotykowymi oraz aparatem fotograficznym 24 MP wygląda imponująco. Zewnętrzny ekran ma 2 cale, wewnętrzny, po otwarciu i rozłożeniu urządzenia – 6 cali (LCD 2160 x 1080).

Działa zarówno pod Androidem 9 Pie, jak i Linuxem, ma też opcję multi-boot. W standardzie oczywiście 4 G LTE, Bluetooth, połączenia Wi-Fi, klawiatura QWERTY, dwa głośniki stereo, głosowy asystent, dwa wejścia USB, czytnik linii papilarnych i możliwość wykonywania połączeń oraz robienia zdjęć bez otwierania klapki zabezpieczającej.

Sercem urządzenia jest 8-rdzeniowy procesor Mediatek P70 oraz oddzielne procesory GPU i AI. Ma 6 GB pamięci RAM i 128 GB pamięci Flash. Oferuje rozszerzenie pamięci za pomocą kart microSD. To wszystko z niezłą baterią 4220 mAh.

Nie jestem tylko przekonany co do jakości zdjęć, ponieważ wiele z obecnych już na rynku smartfonów ma minikamery znacznie lepszej klasy.

Zamawiać można na Indiegogo. Dostawa w czerwcu przyszłego roku, a cena w promocji to ok. 2 tys. zł.

MALEŃKI POWERBANK

Na pewno nie zajmuje wiele miejsca. Producenci twierdzą, że jest też obecnie najlżejszy na rynku. Można go po prostu, specjalnym klipsem, przypiąć sobie do kurtki. Gadżet nazywa się Lightr i oprócz niewielkiej wagi i rozmiarów ma też kilka innych zalet: bezprzewodowe ładowanie telefonu do 100 proc. pojemności baterii i wysyłanie informacji dźwiękowej na tenże – dzięki specjalnej aplikacji informującej o tym, że proces ładowania telefonu został zakończony.

Pojemność tej przenośnej ładowarki nie jest niestety zbyt duża – to dwie miniaturowe baterie o pojemności 750 mAh.

Zamawiać można na Indiegogo. Dostawa w kwietniu przyszłego roku, a cena ok. 160 zł za sztukę. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52d88eeb8a

Polacy na świątecznych zakupach

Polska rodzina przeznaczy na święta blisko 1170 zł, o 6 proc. więcej, niż wydała rok wcześniej. To najwyższy wzrost spośród analizowanych krajów – wynika z 21. edycji międzynarodowego badania „Zakupy świąteczne 2018", przeprowadzonego przez firmę doradczą Deloitte.

W tym roku Polacy deklarują, że na prezenty przeznaczą 45 proc. bożonarodzeniowego budżetu (532 zł), a na żywność 44 proc. (511 zł), natomiast na spotkania towarzyskie planują przeznaczyć 11 proc. (125 zł). Na tle Europy Polacy byli najbardziej skłonni przekroczyć założony budżet – 53 proc. przyznaje, że w 2017 r. wydało więcej o ponad 200 zł, niż zakładali (średnia dla analizowanych krajów to 32 proc.).

Z badania Deloitte wynika także, że w tym roku, podobnie jak we wcześniejszych latach, Polacy najczęściej spodziewają się, że pod choinkę dostaną kosmetyki, perfumy oraz słodycze i książki. Podobnie jak w ubiegłym roku najbliższych zamierzamy obdarować przede wszystkim książkami, kosmetykami, perfumami oraz słodyczami. Wśród upominków kupowanych nastolatkom dominują słodycze, gry komputerowe, książki oraz gotówka. Do najchętniej kupowanych prezentów dla dzieci należą lalki i zabawki pluszowe. Na drugim miejscu znalazły się zabawki konstrukcyjne, a na trzecim książki.

FOT. ADOBE STOCK

Z kolei z badania serwisu Ceneo.pl wynika, że w tym roku 85 proc. Polaków wybierze prezenty, siedząc przed komputerem lub ze smartfonem w ręku. Na podarki dla rodziny i przyjaciół chcemy wydać średnio nawet o 100 zł więcej niż w 2017 r. Panie najbardziej chciałyby dostać biżuterię, a panowie elektronikę. Na kolejnych miejscach znalazły się odzież, książki, filmy czy gry. Najmniej oczekiwanymi prezentami są akcesoria do samochodu oraz odzież sportowa. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

Naturalne świece zapachowe
dla Ciebie i Twoich bliskich

★ 130 obłędnych zapachów ★
★ ręcznie robione ★
★ nietoksyczne ★

www.domkove.pl

eprasa.pl 52d88eeb8a

REKLAMA

Cztery oblicza Brazylii z diamentowej kolekcji MK Fresh

Zestaw świeżo palonych arabik pochodzących z serca świata kawowego – Brazylii. Cenione za swoją delikatność, brak kwasowości i słodycz. W pudełku prezentowym kolekcja czterech kaw ziarnistych, które stanowią skarb brazylijskich plantacji. Każda reprezentuje inne oblicze regionu: harmonijne, pełne słodyczy, orzeźwiająco owocowe, a także intensywne.
Podaruj w prezencie kawowe diamenty – czyli wszystkie style brazylijskiej kawy w najlepszym wydaniu.
Dostępne na **mkfresh.pl**
Cena: 119,90 zł

REKLAMA

Oonies – magiczne baloniki

Totalna innowacja wśród zabawek! Baloniki Oonies, które po napompowaniu, możesz magicznie połączyć! Napompuj baloniki specjalną pompką i baw się w kreatywne tworzenie figurek i ozdabianie ich akcesoriami, kosmykami i brokatowymi naklejkami. Więcej na www.cobi.pl

Little Live Pets Jednorożec

To zabawka z dobrze znanej serii zwierzątek interaktywnych Little Live Pets. Jednorożec Iskierka chodzi w miejscu, a także tańczy w takt granej przez siebie muzyki. Róg na czole świeci różnymi kolorami w zależności od tego, co Iskierka w danej chwili robi. Uwielbia być głaskana. Jak tylko poczuje rękę na swojej szyi, wtuli głowę i będzie wydawać dźwięki zadowolenia. Ma długie piękne różowe włosy i szczotkę do ich czesania. Więcej na www.cobi.pl

Treasure X – światowy hit!

Czy znajdziesz skarb pokryty prawdziwym złotem? Zostań Łowcą skarbów! Przejdź przez 10. etapów przygody, aby odkryć figurkę oraz skrzynię skarbów. Nalej do skrzyni wodę, a po chwili zobaczysz, jaki skarb znalazłeś! Czy znalazłeś skarb pokryty prawdziwym złotem? Więcej na www.treasurex.eu

Klocki Cobi World of Tanks Sabaton

Czołg Sabaton Primo Victoria (łac. Pierwsze Zwycięstwo) to pojazd opracowany do gry wideo World of Tanks. Inspiracją do tego projektu był popularny, skandynawski zespół muzyczny Sabaton. Więcej na www.cobi.pl

eprasa.pl 52d88eeb8a

GRAJ Z EPEE

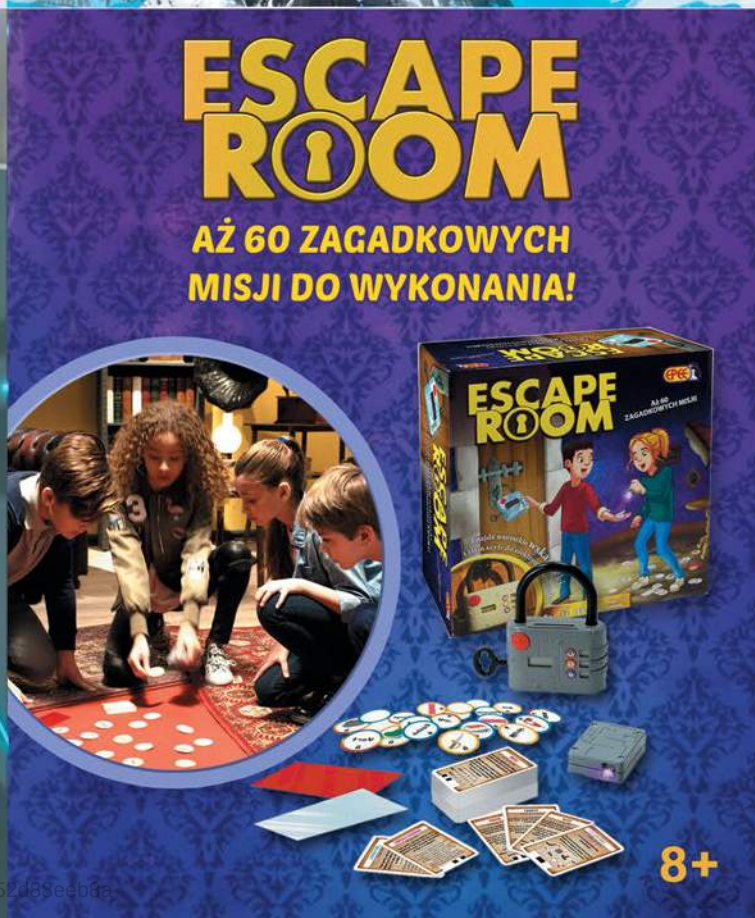

eprasa.pl 52d88ecb6a

Na 100 lat niepodległości!

Pióro w polskich barwach z orłem na skuwce, wykonane z mosiądzu lakierowanego z wykończeniami chromowanymi. Całość w kasecie drewnianej na biurko z miejscem na dodatkowe instrumenty piśmiennicze oraz z płytą w komplecie.

Cena 449 zł

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

W APLIKACJI MOBILNEJ

w prezencie opaska sportowa
MANTA BLUETOOTH SWT9305

Cena: 148 zł
Oszczędność: 190 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

Prenumerata na rok 2019 w cenach roku 2018
ZAMÓW JUŻ TERAZ

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 52d88eeb8a

Przygotuj się na

Historyczne Święta

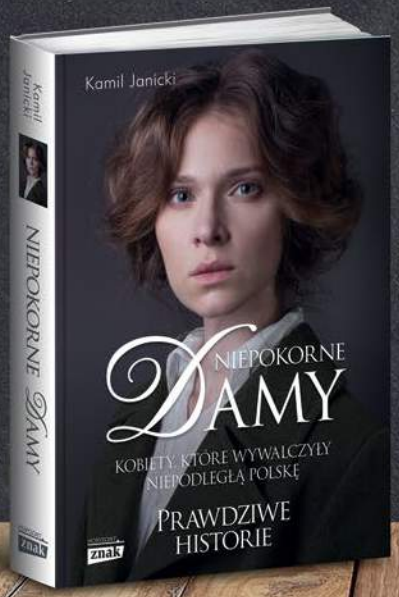

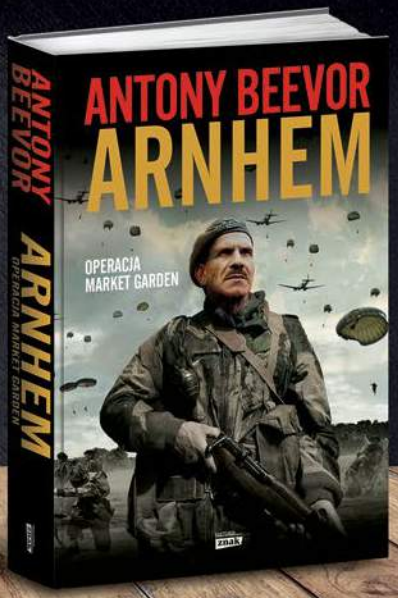

znak

Katarzyna Pinkosz

Wiedza o tym, że palenie szkodzi, jest powszechna. Mimo to w Polsce nadal pali 9 mln osób, a poradni pomocy palącym zamiast przybywać, ubywa

Czy palenie się opłaca

FOT. ADOBE STOCK

Przeciętny palacz przez to, że przez wiele lat sięga po papierosa, traci nawet 22 lata życia. – Codziennie pali 31 proc. mężczyzn i 18 proc. kobiet w Polsce. Jedna trzecia zgonów w naszym kraju jest spowodowana paleniem tytoniu – mówi dr n. med. Joanna Didkowska z Zakładu Epidemiologii i Prewencji Nowotworów Centrum Onkologii w Warszawie. W tym roku z powodu skutków palenia przedwcześnie umrze 67 tys. osób, czyli średniej wielkości miasto. I na razie nie widać, żeby to się miało zmienić, bo malejąca przez wiele lat liczba palaczy ostatnio przestała się zmniejszać.

W papierosach jest kilkadziesiąt substancji, które powodują raka. Nie tylko płuca i krtani: udowodniono, że palenie ma wpływ na rozwój 12 typów nowotworów, także w tak odległych od wdychanego powietrza narządach jak pęcherz moczowy czy żołądek. – Substancje zawarte w dymie przedostają się wraz z tlenem do układu krążenia i krążą po całym organizmie. Wraz z krwią dostają się np. do nerek, a potem do pęcherza moczowego. Zalegają tam, drażnią ściany pęcherza, powstaje rak – tłumaczy prof. Tadeusz Orłowski, kierownik Kliniki Chirurgii w Instytucie Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie. Z kolei toksyczne składniki dymu połykane wraz ze śliną przedostają się z jamy ustnej przez przełyk do żołądka, przez co rośnie ryzyko pojawienia się raka w tych trzech lokalizacjach. Trzustka, wątroba, szyjka macicy, jelito grube, nerka, krew (ostra białaczka szpikowa) – te wszystkie nowotwory również mają związek z paleniem. Dym tytoniowy zwiększa też ryzyko miażdżycy, zawału serca, udaru mózgu, cukrzycy, POChP, nadciśnienia, zaćmy, zaburzeń erekcji, obniżenia płodności… Choroby można by mnożyć, zresztą całą ich listę można zobaczyć od niedawna na opakowaniach papierosów.

JA TO MAM DOBRE GENY...

Skoro wiedza na temat skutków palenia jest znana i powszechnie dostępna, to dlaczego codziennie tak wiele osób świadomie sobie szkodzi? Zwykle pierwszy raz po papierosy sięgają nastolatki, w których naturze jest skłonność do eksperymentowania, a palenie to dla nich wciąż symbol dorosłości. Ekspertów niepokoi to, że wciąż rośnie liczba palących młodych dziewcząt, coraz częściej też młodzież sięga po e-papierosy. – W Pol-

eprasa.pl 52d88eeb8a

sce 62 proc. nastolatków sięgało po wyroby elektroniczne: to poziom najwyższy w świecie. Uważają, że one nie szkodzą, tymczasem w wyrobach elektronicznych żadnego zdrowia nie ma, są nikotyna, która uzależnia, oraz substancje smakowe i zapachowe, którymi stymulujemy uzależnienie. To tak, jakby konia prowadzić do wody: musi pić – mówi obrazowo wiceminister zdrowia Zbigniew Król.

Po latach palenia niełatwo rozstać się z nałogiem mimo wiedzy o jego szkodliwości, bo w grę wchodzi zarówno uzależnienie fizyczne od nikotyny, jak i psychiczne od samej czynności palenia. – Wiemy, że palenie szkodzi, a z drugiej strony palimy, więc musimy coś zrobić, żeby dobrze się ze sobą czuć. Zaczynamy tworzyć w sobie mechanizmy obronne mające na celu utrzymanie dobrego samopoczucia: „Mam dobre geny, moja babcia paliła i dożyła 90 lat" albo: „Na coś trzeba umrzeć" – mówi Magdalena Cedzyńska, psycholog, kierownik Poradni Pomocy Palącym z Centrum Onkologii.

Eksperci przekonują, że nigdy nie jest za późno, by przestać palić, choć im szybciej, tym lepiej. Potrzebna jednak silna motywacja. – Do młodych ludzi nie trafia przekonywanie, że papierosy powodują raka, bo nowotwór rozwija się przez 20–30 lat. To perspektywa zbyt odległa, a zapalenie papierosa już dziś sprawia przyjemność – przekonuje prof. Orłowski. Dlatego on zwykle kobietom mówi, że jak przestaną palić, to wydadzą mniej pieniędzy na kremy, bo będą wyglądały młodziej, a mężczyznom – że poprawi się ich sprawność seksualna, gdyż palenie niekorzystnie wpływa na układ krążenia.

– Myślę, że nie warto przekonywać palacza, iż palenie jest bez sensu, bo będzie tworzyć coraz więcej mechanizmów obronnych. Lepiej pozwolić mu, żeby sam doświadczył refleksji na temat tego, czym jest palenie. Jeśli młoda matka mówi, że zdrowie dzieci jest dla niej najważniejsze, to można spytać, jak do tego ma się palenie. Im więcej palacz będzie miał tego typu refleksji, tym jego mur zadowolenia z siebie będzie coraz bardziej kruszał – mówi Magdalena Cedzyńska.

Korzyści z rzucenia palenia pojawiają się szybko: poprawia się wydolność oddechowa i funkcjonowanie układu krążenia.

– Znam osoby, które paliły po trzy paczki dziennie, np. kierowcy tirów, którzy praktycznie nie wyjmowali papierosa z ust. Silny stres związany z operacją spowodował, że rzucali palenie jak ręką odjął – przekonuje prof. Orłowski. Niektórym udaje się to od razu, jednak przeciętnie palacz podejmuje siedem–osiem prób, zanim osiągnie sukces. Eksperci radzą, żeby zapalenia papierosa nie traktować jak porażkę, tylko jak część procesu leczenia, wręcz wpisaną w wychodzenie z nałogu. Jeśli jednak czujemy, że mamy za mało silnej woli, to warto poszukać pomocy specjalisty. Na stronach wojewódzkich oddziałów NFZ można znaleźć informacje o lekarzach oraz poradniach specjalizujących się w pomocy osobom rzucającym palenie. Podobne informacje można też uzyskać poprzez bezpłatną aplikację PulmoInfo, stworzoną przez Polską Grupę Raka Płuca.

Ministerstwo Finansów powinno przekazywać 0,5 proc. wpływów z podatku akcyzowego na działania zmniejszające liczbę palaczy. Nigdy jednak takich pieniędzy nie przekazało, a ustawowy zapis w tym roku przestał obowiązywać

PAŃSTWO POMAGA CZY SZKODZI?

Nie tylko koncerny tytoniowe zarabiają na ludzkiej słabości i nałogu; państwo też, czerpiąc niemałe dochody z akcyzy od wyrobów tytoniowych – w 2017 r. wyniosły one w Polsce 18,7 mld zł. Z drugiej strony Ministerstwo Rolnictwa dopłaca rolnikom do upraw tytoniu (według danych fundacji Alivia w latach 2015–2020 planuje się na to przeznaczyć 180,5 mln euro). Z trzeciej strony – NFZ płaci ogromne pieniądze za leczenie chorób spowodowanych paleniem. Gdy do tego dołożyć koszty przedwczesnego „wypadania" palaczy z rynku pracy, rent, zasiłków chorobowych, przedwczesnych zgonów, bilans jest zdecydowanie ujemny. Magdalena Cedzyńska podkreśla, że decyzje zakazu palenia w miejscach publicznych stwarzają dobry klimat dla osób rzucających palenie, jednak takich działań jest zdecydowanie za mało. Szczególnie brakuje skutecznej edukacji skierowanej do młodzieży. Również poradnictwo i pomoc osobom, które chcą rozstać się z nałogiem, są w Polsce zdecydowanie zbyt małe.

– Od 1996 r. działa przy Centrum Onkologii telefoniczna poradnia pomocy palącym, jej numer jest na każdej paczce papierosów. Teraz na szczęście finansuje ją NFZ, ale przez wiele lat tak nie było. A poradnia stacjonarna funkcjonuje w dużej mierze dzięki wsparciu Centrum Onkologii – mówi Magdalena Cedzyńska. Mimo że coraz więcej lekarzy i pielęgniarek jest przeszkolonych w udzielaniu pomocy palącym, paradoksalnie liczba kontraktów z NFZ na takie leczenie spada. Przykład: w województwie mazowieckim liczba kontraktów spadła ze 197 w 2008 r. do 27 w 2018 r., w lubelskim – ze 101 do 10, w śląskim – z 218 do 41. – Poradni antynikotynowych nie ma wiele, wbrew logice, bo powinno się przeznaczać pieniądze na profilaktykę, wtedy będzie się ich wydawać mniej na leczenie onkologiczne. Jednak punkty konsultacyjne dla palaczy raczej się zamykają, niż otwierają – potwierdza prof. Orłowski.

Magdalena Cedzyńska wskazuje na jeszcze jeden absurd: pacjent może z uzależnienia od palenia tytoniu leczyć się w poradni tylko… raz w życiu. – Nikotynizm to choroba przewlekła i nawracająca, tak ją definiuje WHO. Jeśli jednak przychodzi do nas palacz, który już się leczył, to w zasadzie nie możemy go przyjąć, gdyż nie dostaniemy pieniędzy z NFZ. Ten przepis trzeba zmienić – apeluje psycholog.

Zgodnie z ustawą o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych Ministerstwo Finansów powinno przekazywać 0,5 proc. wpływów z podatku akcyzowego na działania zmniejszające liczbę palaczy. Nigdy jednak takich pieniędzy nie przekazało, a ustawowy zapis w tym roku przestał obowiązywać. O rzucaniu palenia wiele się u nas mówi, ale skoro uzależnienie od nikotyny jest chorobą, to trzeba ją leczyć. Finlandia postawiła sobie za cel całkowitą eliminację palenia tytoniu do 2040 r. Wygląda na to, że Polska zamiast leczyć przyczynę, woli zmagać się z leczeniem nowotworów. Tyle że na to wręcz dramatycznie brakuje pieniędzy, co widać w każdym szpitalu onkologicznym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Jak skończył Juraszko

Jerzy Chmielnicki, zwany Juraszkiem albo Chmielniczeńkiem, najmłodszy syn Bohdana Chmielnickiego, okazał się prawdziwym mistrzem w marnowaniu sił i środków kozackiego państewka, które zbudował jego ojciec. Wybrany na hetmana po obaleniu propolskiego Jana Wyhowskiego podpisał z Moskwą kolejną ugodę perejasławską, w której jeszcze bardziej podporządkował Kozaczyznę carskiej władzy. Od tej pory rosyjskie garnizony miały stacjonować w najważniejszych miastach Ukrainy, Kozacy nie mogli już wybierać hetmana, ten zaś z kolei wyznaczać ani usuwać pułkowników. Rok później chwiejny Chmielnicki, osaczony przez Jerzego Lubomirskiego pod Cudnowem, podpisał kolejną ugodę – tym razem podporządkowującą Kozaków Koronie. Znów musiał pójść na ustępstwa – traktat wzorowany na hadziackim przyznawał im autonomię, jednak nie było już mowy o utworzeniu księstwa ruskiego w ramach Rzeczypospolitej. Juraszko nie był też w stanie opanować walk na łonie Kozaczyzny podzielonej na stronnictwa propolskie, moskiewskie, a na koniec, po rozejmie w Andruszowie, protureckie. W 1663 r. złożył buławę, obawiając się, aby nie spotkał go los wielu innych hetmanów, pułkowników i atamanów zaduszonych lub rozszarpanych przez czerń i Kozaków. Próbował nawet wstąpić do klasztoru. Jednak nowy, propolski hetman kozacki Paweł Tetera oskarżył go o układy z Moskwą, zatem Juraszko powędrował do celi, ale… na zamku w Malborku, skąd zwolniono go dopiero po zawarciu rozejmu z Moskwą w 1667 r.

Młody Chmielnicki natychmiast udał się na Ukrainę, szukając szczęścia. Jednak władzę przejął hetman Piotr Doroszenko, usiłujący z kolei podporządkować Ukrainę Turkom.

FOT. WIKIPEDIA

Obawiając się konkurenta, wydał Juraszkę Tatarom, którzy – jak podaje Janusz Kaczmarczyk w biografii Chmielnickiego – wysłali go do Stambułu. Tam Turcy trzymali go w więzieniu przez kolejnych sześć lat – do chwili, kiedy w trakcie odnowionej wojny rosyjsko-tureckiej Doroszenko po raz kolejny zmienił stronę, opowiadając się za Moskwą. Wówczas sułtan i jego wezyr przypomnieli sobie o synu Chmielnickiego, mianując go hetmanem Kozaków i wysyłając na Ukrainę razem z wojskiem uderzającym na rosyjski Czehryń. Po zdobyciu tej twierdzy w 1678 r. i kilku latach walk Jerzy Chmielnicki został mianowany „księciem Sarmacji" i osiadł w Niemirowie, pod władzą i protektoratem Turków.

Czym jednak było jego księstwo i skąd nagle pojawiło się na Ukrainie? Otóż tą nazwą Turcy określali Podole i część ziem Ukrainy zdobytych na Rzeczypospolitej w czasie wojny w latach 1672–1676 zakończonej rozejmem podpisanym pod Żórawnem. Była to XVII-wieczna wersja dzisiejszych sztucznych państewek w rodzaju Naddniestrza lub Donieckiej Republiki Ludowej, nieuznawana przez nikogo i zależna całkowicie od potężnego suwerena. Na owej Sarmacji osiedlili się w dodatku nie tylko Kozacy uznający władzę sułtana, lecz także część Lipków – Tatarów litewsko-polskich, którzy kilka lat wcześniej zbuntowali się przeciwko Rzeczypospolitej.

Jak skończył najmłodszy syn wielkiego Bohdana? Istnieje przynajmniej kilka wersji jego śmierci. Według Janusza Kaczmarczyka Juraszko dał się poznać poddanym jako tyran nie lepszy od mołdawskich hospodarów. Około 1681 r. wdał się w zatarg z niemirowskim mieszczaninem, niejakim Orunem, który zajmował się uczeniem i dostarczaniem odalisek do haremów sułtana i jego dostojników. Pewnego razu Juraszko na czele partii pijanych Kozaków dokonał zajazdu na dom Oruna, podczas którego zamordowano żonę właściciela, a pensjonarki ukrzywdzono w nieco inny sposób. Orun nie puścił płazem tej hańby. Ponieważ jego odaliski miały wpływ na sułtana i wielu wysoko postawionych Turków, wymógł przez nie, aby Wysoka Porta ukarała Juraszkę. Według jednej z wersji Juraszkę uduszono w Kamieńcu Podolskim. Według innych przekazów wezwano go do Stambułu i tam podarowano mu jedwabny sznurek. Nie brakuje jednak wersji, że został zesłany do jednego z prawosławnych monastyrów na terenie Grecji lub Malty.

Jaki był los owego „Księstwa Sarmacji" leżącego na Podolu pod panowaniem tureckim? Po śmierci Juraszki zarządzał nim hospodar mołdawski Jerzy Duca, który próbował nawet tytułować się hetmanem kozackim. Jednak w 1683 r. schwytany został przez wojska polskie i osadzony w więzieniu, a tereny prawobrzeżnej Ukrainy zajęte przez oddziały króla Jana III Sobieskiego. Ziemie te oficjalnie powróciły do Rzeczypospolitej po pokoju w Karłowicach w 1699 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52d88eeb8a

NIEBANALNY KURCZAK
Z ZIEMNIAKAMI OD SYLWII BOMBY

Niewiele osób wie o tym, że uwielbiam gotować. Moje dzieciństwo było pełne zapachów i smaków. Do tej pory pamiętam niedzielne i sobotnie popołudnia, kiedy to w sporej kuchni unosiły się zapachy, które kreowała moja mama. To właśnie od niej nauczyłam się gotować. Dzisiaj wymieniamy się z mamą przepisami. Poniżej przepis na jedno z moich popisowych dań, którego zwykle robię więcej, bo zawsze pojawiają się prośby o dokładki.

Składniki dla 4 osób:

- 10–12 średnich ziemniaków
- 2 świeże ogórki
- 4 papryki
- 2 kg piersi kurczaka
- jogurt grecki
- 2 ząbki czosnku
- koperek
- masło
- przyprawa tzatziki
- curry, sól, pieprz

Przygotowanie:

Piekarnik rozgrzewamy do 200 st. C. Ja używam trybu opiekania z termoobiegiem. Ziemniaki myjemy bardzo dokładnie, nie obieramy ich! Wycinamy wszystkie niepotrzebne skazy na skórce, przecinamy na pół. Myjemy po raz kolejny i każdą połówkę zawijamy oddzielnie w folię aluminiową. Wstawiamy na ok. 50 min do piekarnika.

W tym czasie możemy zająć się resztą. Kurczaka kroimy w drobne kawałki, wrzucamy na dużą patelnię i podsmażamy. Czerwoną paprykę oczyszczamy, myjemy i kroimy w kawałki podobne wielkością do kawałków kurczaka.

Gdy już kurczak się odrobinę podsmaży, dodajemy paprykę i smażymy dalej. Po kilku minutach posypujemy przyprawą curry. Zwykle zużywam całą saszetkę na taką ilość kurczaka i papryki, ale jeśli ktoś woli mniej intensywny smak, to może dodać mniej.

Sos:

Ogórki obieramy, trzemy na grubszej tarce. Sok odciskamy i dodajemy jogurt grecki. Wyciskamy do tego czosnek, dodajemy bardzo drobno pokrojony koperek i przyprawę tzatziki. Mieszamy i odstawiamy do lodówki.

Podanie:

Wyjmujemy ziemniaki z piekarnika, ja dla jednej osoby podaję ok. czterech połówek, ale i tak zwykle pojawiają się prośby o dokładki. Ziemniaki układamy na środku talerza, solimy, pieprzymy i dajemy na każdą z połówek odrobinę masła, które się rozpuści na gorących ziemniakach. Na ziemniaki kładziemy porcje kurczaka z papryką z patelni. Podajemy z sosem. ***oprac. raw***

FOT. ARCHIWUM SYLWII BOMBY

Sylwia Bomba jest fotografką, występuje w programie „Gogglebox" w telewizji TTV.

JOANNA BOJAŃCZYK

Rosołek atawistyczny

Gdy słyszę góralską kapelę, robi mi się jakoś tkliwie na sercu. Bo to coś bardzo swojskiego, dobrze znanego, głęboko wrośniętego w kod kulturowy, jak to się dzisiaj nazywa. Zastanawiam się, czy podobnie jest z jedzeniem. Kasza gryczana, ogórki kwaszone, barszczyk – gdyśmy na obczyźnie. Czy można się tym wzruszyć, poczuć nostalgię?

Na pewno nie zdążymy zatęsknić za ojczyzną, przebywając na dwutygodniowej wycieczce z biurem podróży. Niektórzy zresztą chętnie by do tej uciemiężonej przez PiS-owski reżim Polski wcale nie wracali. Jednak jeśli chodzi o jedzenie, to zauważyłam, że w wycieczkowych bufetach na talerzach naszych rodaków pojawiają się potrawy przynajmniej wyglądem zbliżone do rodzimych. Kawałek wieprzowiny z sosem, kurczak. Nieufność wzbudzają szczególnie warzywa. No bo po kapuście, ogórku, pomidorze to wiadomo, czego można się spodziewać. Jednak po jakichś afrykańskich bulwach?

FOT. ADOBE STOCK

Wcale się temu nie dziwię, mój mąż jest przykładem swoistego atawizmu jedzeniowego. Generalnie najbardziej lubi to, co zna z domu (babcia dawała), i eksperymenty nie leżą ani w jego charakterze, ani na jego talerzu. Wiadomo, przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka.

I my, Polacy, nie jesteśmy w tym wcale osamotnieni. Francuzi ksenofobię kulinarną mają w dużo większym natężeniu, tym bardziej że ich kuchnia nie daje im powodów do narzekań. Włosi podobnie.

Nasza rozmaitość produktów spożywczych jest dość świeżej daty. W PRL były biały ser, chleb baltonowski (bardzo dobry zazwyczaj), kefir, ser żółty, wołowe z kością i bez kości, a dla wybrednych baba z cielęciną.

W latach 80. stałam w kolejce w delikatesach. W skrzynce leżały brokuły. Co to takiego? – pytała kolejka, gdy kupiłam kilogram. Wiedziałam tylko dlatego, że mieszkałam parę lat za granicą. W Polsce nikt tego warzywa nie znał.

W późnych latach 70. uczyłam francuskiego holenderskich dyplomatów. Wyjechali na święta i zostawili mi zawartość lodówki, m.in. awokado i zaczęliśmy się z mężem zastanawiać, co z tym zrobić. Czy nam to właściwie smakuje?

Dzisiaj każde dziecko jadło zupę tajską, ale trzeba pamiętać, że rozpowszechnienie egzotycznych smaków, sprowadzanych z daleka warzyw nastąpiło dopiero po roku 1990, z wejściem sieci hipermarketów spożywczych.

A jednak do góralskiej muzyki zawsze się chętnie wróci, tak jak do obiadu „jak u mamy". Pod koniec naszej wycieczki w grupie zaczęły się westchnienia do rosołu…

Wiadomo, mango z Biedronki jest OK, ale rosół to dopiero jest coś. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

NASZ TEST: AUDI Q8

Muskularna, agresywna stylistyka dobrze pasuje do tego potężnego SUV-a. Prawie 5 m długości, niemal 2 m szerokości i 1,7 m wysokości sprawiają, że miejsca w kabinie jest naprawdę dużo, a uwodzicielsko opadający dach à la coupé nie odbija się zbytnio na wygodzie pasażerów nawet na tylnej kanapie. We flagowcu niemieckiego producenta wrażenie robią również nowoczesne technologie oraz… cena.

W KABINIE

Wnętrze przywołuje na myśl limuzynę Audi A8. Jest bardzo luksusowo, a jednocześnie nowocześnie i minimalistycznie. Głównym elementem deski rozdzielczej są dwa dotykowe ekrany wysokiej rozdzielczości o przekątnej 10,1 oraz 8,6 cala. Służą one do obsługi nawigacji, systemu multimedialnego, a także zastępują większość przycisków. Komendy można też wydawać głosowo. To wygodne rozwiązanie, choć byłoby jeszcze lepiej, gdyby niemieccy konstruktorzy wyodrębnili poza ekrany dotykowe np. fizyczny włącznik świateł awaryjnych. W miejscu tradycyjnych przycisków we flagowym SUV-ie Audi znajduje się 12,3-calowy wirtualny kokpit.

Pozwala on łatwo wybrać, które informacje mają być akurat wyświetlane. Nie zabrakło też bezprzewodowej ładowarki.

Miejsca dla pasażerów jest dużo. Gorzej jest z bagażami: kufer potężnego Q8 ma nieco ponad 600 l pojemności, więc choć jest najbardziej prestiżowym SUV-em z rodziny Audi, to pod względem praktyczności przegrywa z konwencjonalnie wyglądającym Q7, którego kufer ma aż 890 l pojemności.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAZDA

Trzylitrowy silnik Diesla o mocy 286 KM rozpędza dwutonowego SUV-a od zera do pierwszej setki w zaledwie 6,3 s. Ta jednostka daje też kierowcy przyjemne wrażenie, że podczas manewrów mamy do dyspozycji spory zapas mocy. Na pochwałę zasługuje także doskonałe wyciszenie kabiny – w środku jest wystarczająco cicho niezależnie od tego, czy jedziemy 100 czy 200 km/godz.

Duży plus należy się również konstruktorom za układ kierowniczy, a także za świetnie zestrojone zawieszenie. Na pokładzie Q8 bardzo przyjemnie pokonuje się ostre zakręty – SUV tylko nieznacznie wychyla się na zakrętach, a napęd na obie osie sprawia, że kłopoty z trakcją praktycznie nie występują. Dzięki temu Q8 prowadzi się pewnie i przewidywalnie. Nie jest to jednak jazda specjalnie ekscytująca.

Przyczepić można się jedynie do ośmiobiegowej, automatycznej skrzyni, która momentami nawet w sportowym trybie zbyt opieszale redukuje biegi, co odbiera nieco radości z dynamicznej jazdy luksusowym potworem. Na szczęście nie wszystko musi robić maszyna i gdy chcemy pojechać szybciej, możemy w razie potrzeby samodzielnie redukować biegi.

Dzięki systemowi Mild Hybrid auto na autostradzie spala średnio ok. 9,5 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Ten model Audi nie został jeszcze przetestowany przez Euro NCAP. Na uwagę zasługują jednak będące w standardowym wyposażeniu systemy zwiększające bezpieczeństwo. Należą do nich asystent pasa ruchu czy system automatycznie uruchamiający hamulce w przypadku wykrycia ryzyka kolizji. Asystent ruchu poprzecznego jest szczególnie przydatny, gdy cofamy na zatłoczonym parkingu.

CENA

Audi Q8 z silnikiem Diesla, automatyczną skrzynią biegów oraz napędem na cztery łapy bez żadnych dodatków kosztuje 369 tys. zł.

KONKURENCI

BMW X6, Mercedes GLE Coupé, Porsche Cayenne, Range Rover, Volvo XC90 ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 52d88eeb8a

Patriotyzm gospodarczy filarem międzynarodowego sukcesu Grupy AB

Historia wrocławskiej firmy pokazuje, jak można stać się numerem jeden w całym regionie, wspierając przy tym polską przedsiębiorczość i wcielając w życie idee patriotyzmu gospodarczego, zanim hasło to stało się modne

Stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę to czas nie tylko świętowania, lecz także podsumowań. Równie ważne jak wydarzenia społeczno-historyczne są dzieje polskiej przedsiębiorczości. Po okresie rozkwitu w dwudziestoleciu międzywojennym, hekatombie II wojny światowej i niewydolnym systemie gospodarki nakazowo-rozdzielczej w 1989 r. dokonała się wielka przemiana społeczno-gospodarcza. Na fali tych zmian obudził się duch przedsiębiorczości, tłumiony dotychczas przez komunistyczny system.

Mało kto wówczas zadawał sobie pytanie, czy międzynarodowy sukces może osiągnąć polska firma. Czy da się zbudować w Polsce od zera biznes, który dobrze zarabia, przejmuje za granicą, a do tego wspiera polską gospodarkę? Okazuje się, że odpowiedź na te pytania jest twierdząca. Udowadnia to dolnośląska Grupa AB, która jest największym dystrybutorem IT i elektroniki użytkowej nie tylko w Polsce, lecz także w Europie Środkowo-Wschodniej.

Jej historia sięga 1990 r., kiedy to w wynajętym pokoju w hotelu robotniczym we Wrocławiu Andrzej Przybyło rozpoczął swoją przygodę z dystrybucją sprzętu IT. Na tyle udaną, że obecnie Grupa AB z przychodami ponad 8 mld zł rocznie zajmuje w branży dystrybucyjnej wysokie dziewiąte miejsce w Europie. Jednocześnie wypracowała wiodącą pozycję w zakresie innowacyjności, m.in. w obszarze e-commerce, logistyki czy rozwiązań chmurowych. W rezultacie AB to laureat tegorocznej nagrody Innowatory „Wprost".

– Za nami 28 lat budowania zdrowego, uczciwego biznesu, którego strategia rozwoju opiera się na długoterminowym myśleniu, zdywersyfikowanym i zrównoważonym rozwoju z wpisanym w nasze DNA bezpieczeństwem. Traktowanie wszystkich partnerów fair, wsłuchiwanie się w ich potrzeby to również siła naszej organizacji – podkreśla Andrzej Przybyło, twórca i prezes Grupy AB.

– Wdrażaliśmy w życie ideę patriotyzmu gospodarczego, zanim to pojęcie stało się modne. Od początku jesteśmy polską firmą, z polskim kapitałem, tu mamy siedzibę i tu płacimy podatki, bez żadnych „optymalizacji". Kumulujemy kapitał w Polsce, ściągając tu nawet zyski ze spółek zagranicznych, które należą do naszej grupy kapitałowej – dodaje.

Grupa AB unowocześnia polską gospodarkę, inwestując w ludzi i technologie, a także innowacyjne rozwiązania, w tym logistyczne – jak te w uruchomionym w 2016 r. centrum dystrybucyjnym w Magnicach pod Wrocławiem (inwestycja warta 130 mln zł). Jako że patriotyzm to identyfikacja z miejscem, akcje i obligacje AB notowane są w Polsce, a dzięki relacjom biznesowym na całym świecie firma dostarcza do naszego kraju nowoczesne technologie i know-how. Tworzy tu miejsca pracy zarówno bezpośrednio, jak i poprzez współpracę z tysiącami partnerów biznesowych. Co ważne, AB wspiera polską małą przedsiębiorczość, organizując sieci franczyzowe – Alsen (IT), Kakto (RTV/AGD) czy Wyspa Szkrabów (zabawki), dzięki czemu pojedyncze sklepy otrzymują ofertę i narzędzia na równym poziomie z tymi, którymi dysponują ich najwięksi konkurenci – zagraniczne sieci handlowe. Grupa AB reaktywowała również kultową markę Optimus, a w ramach działalności społecznej realizuje marzenia chorych dzieci i wspiera innych potrzebujących.

– Aktywnie uczestniczymy w procesie dostosowywania obowiązującego w Polsce prawa do wymogów nowoczesnego rynku. Bierzemy udział w pracach nad uszczelnianiem systemu podatkowego, reformą prawa autorskiego czy też nad regulacjami dotyczącymi ochrony środowiska. Zaangażowanie w tworzenie korzystnych dla polskiej gospodarki rozwiązań systemowych uważamy za bardzo ważny aspekt postawy nowoczesnego przedsiębiorcy – wskazuje prezes Andrzej Przybyło.

eprasa.pl 52d88eeb8a

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Napięte relacje

MARCIN MAKOWSKI: Zacznę dyplomatycznie. Sporo się działo w ostatnim tygodniu w relacjach polsko-amerykańskich, prawda?

MATTHEW TYRMAND: A ja dyplomację odpuszczę i od razu przejdę do rzeczy. Sytuacja wokół ambasador USA Georgette Mosbacher, jej wystąpienia w Sejmie, nieprofesjonalnego listu do premiera Morawieckiego i bardzo emocjonalnej obrony TVN mnie nie zaskakuje, ale też na pewno nie cieszy. Od początku było wiadomo, że to osoba mocno powiązana z agendą globalistyczną. W końcu przez lata była członkinią rady Atlantic Council, czyli establishmentowej organizacji zrzeszającej zarówno demokratów, jak i republikanów. Problem jest taki, że Mosbacher jest z północno-wschodniej części Manhattanu, a tamtejszym republikanom bliżej do demokratów niż do takich populistów, jak Donald Trump, Steven Bannon czy PiS. Mosbacher ma wielu przyjaciół na Wall Street, jest aktywnym przedsiębiorcą – co ciekawe, nie była zaangażowana w kampanię Donalda Trumpa wtedy, gdy ważyły się losy jego prezydentury. Myślę jednak, że dzisiaj pewnym problemem w relacjach z polskim rządem jest nie tylko sama ambasador, lecz także sztab ambasady w Warszawie, składający się z ludzi, którzy związali swoje kariery z lewicą, podobnie zresztą jak ci z alei Szucha. Tyle że pomijając korpus zagraniczny, oba rządy mają podobny światopogląd, a Mosbacher powinna być łącznikiem między nimi. Tę rolę sabotują niektórzy jej doradcy, a listem i jego bezpośrednią formą po części ona sama.

> **Gdyby jej sztab dbał o stosunki z prawicą, to nie robiłaby sobie zdjęć z takimi osobami zaraz po przyjeździe do Polski**

To brzmi jak teoria spiskowa.

Dlaczego? Po prostu nie zdziwiłbym się, gdyby jej doradzali, aby zaprzyjaźniła się z lewicą i liberalnym centrum, bo oni wygrają przyszłe wybory. Ja tak nie uważam, ale taką narrację może przedstawiać jej sztab. Inną sprawą, którą trzeba mieć na uwadze, jest to, że jest bliską przyjaciółką szefa TVN Davida Zaslava, równocześnie prezesa Discovery Communication. To z kolei członek establishmentowej lewicy w USA. Georgette Mosbacher czasami zachowuje się jak lobbysta jego interesów, które są zupełnie inne niż Trumpa i jego popleczników. Zastanawiam się, jak zareaguje prezydent, kiedy dowie się, że Mosbacher broni „polskiego CNN". Stacji, której reporterzy niemal płakali na wizji, gdy Trump wygrał wybory. Oczywiście kapitał ma narodowość i to może ostatecznie przeważyć, ale w rewolucji trumpizmu, o ile taka istnieje, komponent ideowy też ma znaczenie.

Szczerze mówiąc, taka postawa ambasador wobec TVN mnie nie dziwi. Myślę, że telewizja to sprawa drugorzędna w stosunku do prostej zasady, którą zawsze kierowali się Amerykanie na całym świecie: wspieraj swój biznes.

Zgoda, ale jej obrona TVN jest obłudna, nie rozumie wszystkich faktów i złożoności sytuacji. Nie ma pojęcia, jak wcześniej funkcjonowała polska prawica, jakie miała problemy, jak działały służby w redakcji „Wprost". Nie wie też, jak wiele gier prowadzi się w obozie władzy. Przecież gdy mówiła w Sejmie o wolności mediów, po chwili Ziobro wszczął postępowanie w sprawie operatora TVN. Powinna być na tyle zorientowana, żeby wiedzieć, że to prowokacja wewnętrznej frakcji w Zjednoczonej Prawicy, która próbuje uderzyć w premiera i zyskać więcej władzy. Oczywiście pomysł, żeby ścigać operatora za materiał wcieleniowy o neonazistach był po prostu idiotyczny, ale tak działa Ziobro. Tak przecież było z IPN, reformą sądownictwa, z kwestią „polexitu" tuż przed wyborami samorządowymi.

Próbowałeś rozmawiać z ambasador? Przedstawić inny punkt widzenia?

Próbowałem, już w Nowym Jorku, ale jej attaché prasowy, Alice Chu, to typowa lewicowa aktywistka. Odbiłem się od ściany. Wiele rzeczy widać po pierwszych decyzjach. Pierwszy wywiad w TVN, potem obecność na balu Fundacji TVN, urodzinach Lecha Wałęsy, selfie z Janem Krzysztofem Bieleckim, ludźmi Ryszarda Petru. Gdyby jej sztab dbał o stosunki z prawicą, to nie robiłaby sobie zdjęć z takimi osobami zaraz po przyjeździe do Polski. Nie wiem, czy to przegrana sprawa, ale będzie ciężko. Może ostatnie zamieszanie coś w ambasador zmieni, pewne rzeczy przemyśli? Mam taką nadzieję. ©℗

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 52d88eeb8a

OKIEM JASTRZĘBIA

Jesień, ścianka i upływające piersi

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

To pewnie przez tę jesień i te upływające piersi. Tylko bardzo proszę bez nazwisk tych piersi i bez procesów o dobra osobiste piersi, proszę! To by dopiero był precedens. Trochę taki smutek, ale i może jakby leciutko wesoły. Niby durnota, a jednak filozoficzne refleksje krążą i krążą. Wokół czego na przykład? Na przykład wokół takiej instytucji ścianki, proszę państwa. Tak, tak, instytucja ścianki to jednak instytucja. Łączy ze sobą kompletny brak powagi z całkowitym naburmuszeniem i brutalną egzystencją.

Należy się tu kilka słów wyjaśnienia. Otóż instytucja ścianki polega na tym, że się robi party i zaprasza różnych celebrytów. Party może być robione z przeróżnych okazji. Premiery filmu, urodzin jakiegoś magazynu kolorowego, wręczenia czegoś tam komuś tam czy że na przykład – tak jak ostatnio – wielce zasłużony dla popularyzacji piękna kobiecego ciała oglądanego pod kołdrami przez pokolenia nastolatków „Playboy" zaprasza po prostu i przychodzą, i już. Ci celebryci. Oni mają przyszykowaną specjalną ściankę, na której tle stają i trwają sobie przez chwilkę, eksponując się najlepiej, jak potrafią, i pokazując, jakie włożyli ubrania, a to jest bardzo ważne, bo oni często dostają te ubrania do ponoszenia na kilka godzin tylko, więc się wypinają. Fotoreporterzy robią zdjęcia tym celebrytom na tej ściance, a potem te zdjęcia obiegają cały świat albo kilka gmin. Zależy od kalibru ścianki i celebrytów.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ci celebryci trochę ryzykują, bo nigdy nie wiadomo do końca, jak jakiś wredny redaktor ich oceni. Jednakże nie przychodząc i nie stając w bezruchu, ryzykują jeszcze bardziej, bo jeśli się nie pokazujesz, to tak jakbyś dla show-biznesu umarł. Nie ściankując się, stygniesz, a gdy wystygniesz: bieda, zapomnienie, brak ról, pracy, angaży, śmierć.

Jest to też wyśmienita okazja dla dziennikarzy prasy zbrodniczo lekkiej do odreagowania. Do oceny ściankowej gwiazdy poprzez nadanie tytułu na przykład, co tym odbiorcom często narzuca odbiór całkowicie. Tutaj jest bowiem też taka filozoficzna sprawa, proszę państwa, że ludzie nie za bardzo wiedzą, co mają myśleć, i trzeba pomyśleć za nich i wtedy jest ludziom lżej, bo nie muszą się trudzić myśleniem. I to dotyczy zarówno ludzi bardzo wykształconych, jak i tych nie bardzo.

Ile to gwiazd przepłakało całe noce po morderczych tytułach „Czy te piersi się nie wydłużyły?" lub choćby „Więcej silikonu nie było?". To są sprawy trudne, dlatego nie podaję nazwisk tych piersi. Po co komuś robić przykrość?

Jednak instytucja ścianki jest przecież w dłuższym wymiarze zapisem upływającego czasu, bo prawie ten sam garnitur celebrytów w pewnych wariacjach staje przez lata na ściankach, więc możemy obserwować nie tylko zmiany w modzie, lecz także procesy… W dekoltach widzimy więc, jak upływają piersi i zmienia się kształt świata tego.

Czy upływający na ściankach dekolt różni się od upływającego czasu według Romana Opałki? I tak, i nie. Piersi są bardziej sexy, a dzieło Opałki droższe. Gdyby ktoś przeoczył, to króciutko: Opałko malował wybitne obrazy, na których umieszczał po kolei cyfry, a potem liczby, jeden dwa, trzy… I tak po kolei.

Wybitnym interesem jest wmawianie ludziom różnych bzdur, za które ci ludzie są skłonni po takim namówieniu zapłacić

Ile mu tam weszło na obraz, tyle weszło, a na następnym kontynuował liczenie. Krytykom udało się tym biednym ludziom wmówić, że to strasznie wybitne, bo pokazuje upływ piersi (tfu! Przepraszam, upływ czasu oczywiście) i te obrazy są warte po kilka bimbalionów jeden.

Wybitnym interesem na świecie jest wmawianie tym biednym ludziom różnych bzdur, za które ci ludzie są skłonni po takim namówieniu zapłacić. I to dotyczy zarówno ludzi bardzo wykształconych, jak i tych nie bardzo. Sztuka Opałki jest tego najlepszym przykładem, chociaż oczywiście krytycy sztuki natychmiast opowiedzą, że barbarzyńcy nie pojmują cyferek na obrazach ani ukrytych głęboko znaczeń. Może. Wolę pojmować poukrywane znaczenia w dekoltach.

I na koniec tych refleksyjności coś zagrzewającego do działania: Spieszmy się kochać dekolty, tak szybko upływają. ©℗

eprasa.pl 52d88eeb8a

OKIEM BLOGERKI

Zła wiadomość dla Wałęsy

KATARYNA

ADAM BODNAR: ***Głęboko wierzę w to, że sędzia noszący koszulkę z napisem „Konstytucja" naprawdę będzie w stanie w sprawie o ochronę dóbr osobistych należycie wyważyć, gdzie doszło do naruszenia tych dóbr, czy bardziej powinna przemawiać wolność słowa czy ochrona reputacji.***

Abstrahując od sędzi z procesu Kaczyński-Wałęsa, mogę się z rzecznikiem zgodzić – sama koszulka nie dyskwalifikuje sędziego, choć nadgorliwcy z obu stron zrobili bardzo dużo, żeby uczynić z niej symbol oporu przeciwko obecnej władzy. Nie da się udawać, że nie jest pewną deklaracją polityczną i bynajmniej nie jest neutralna, co jednak nie oznacza, że każdy sędzia przyłapany kiedyś na noszeniu tej koszulki będzie stronniczy i niesprawiedliwy, wszak każdy jakieś poglądy ma i miał zawsze, z koszulką czy bez. Posiadanie poglądów politycznych nie świadczy o nieuczciwości w pracy czy to sędziego, czy np. dziennikarza. Jednak już zachowanie rzeszowskich sędziów, którzy napis z „opozycyjnej" koszulki umieścili przy swoim nazwisku podczas rozpraw, oceniam jako skandaliczne, bo sala sądowa to nie miejsce na polityczne demonstracje, a – jako się rzekło – napis z koszulki dawno przestał być politycznie neutralny. Jeśli ktoś chce bronić takiej formy afiszowania się z poglądami na sali sądowej, to niech sobie wyobrazi sędzię Przyłębską, która rozpatrując konstytucyjność aborcji eugenicznej, wystawi na rozprawie obok swojego nazwiska neutralny przecież cytat z ustawy o Rzeczniku Praw Dziecka, mówiący, że „w rozumieniu ustawy dzieckiem jest każda istota ludzka od poczęcia do osiągnięcia pełnoletności". Ktoś chętny do argumentowania, że cytując zapis obowiązującej ustawy, nie demonstrowałaby w skandaliczny sposób swoich politycznych poglądów na rozpatrywaną sprawę?

Trudno sobie wyobrazić wynik inny niż mocna wygrana Kaczyńskiego

Wracając do sędzi z Gdańska – to nie koszulką założoną prywatnie na jakiś wiec podważyła swoją bezstronność. Zrobiła to na sali sądowej, prowadząc rozprawę tak skandalicznie, że spokojnie mogłaby trafić na billboardy Polskiej Fundacji Narodowej jako argument za przeoraniem wymiaru sprawiedliwości. I choć może jej się wydawać, że bardzo pomogła Lechowi Wałęsie, to tak naprawdę zrobiła i jemu, i opozycji niedźwiedzią przysługę. Jeśli zamierza wydać wyrok na korzyść Wałęsy – a zdaje się plan jest taki, żeby argumentować, że to była tylko jedna z kłótni, w której obie strony są po równo winne i po równo poszkodowane – to bardzo trudno go będzie obronić przed opinią publiczną, a PiS zyska mocny przykład do pokazywania, jak bardzo chore jest sądownictwo, w którym politycznie zaangażowana sędzia uznaje za nienaruszające dóbr osobistych Kaczyńskiego oszczerstwo, że jest odpowiedzialny za śmierć 96 osób. Merytorycznie trudno sobie wyobrazić wynik inny niż mocna wygrana Kaczyńskiego. Jeśli sędzia tę sprawę przekręci, to da rządzącym argument za głęboką reformą personalną sądownictwa. Jeśli osądzi uczciwie, to Wałęsie trudno będzie przekonywać, że sędzia była „od Ziobry", a wyrok jest niesprawiedliwy. W interesie Wałęsy jest prestiżowa wygrana z Kaczyńskim, ale dzięki skandalicznemu zachowaniu sędzi w interesie opozycji stało się skazanie Wałęsy, bo każdy inny wyrok da paliwo rządzącym. Paliwo dostarczone przez samą sędzię nie na koszulce, ale na sali sądowej. ©℗

PODSŁUCHANE

Może remont?

Mateusz, musimy coś zrobić. Musimy, obiecaliśmy, że będziemy twardzi.
Ale co?
Joachim uważa, że powinienem wystąpić i powiedzieć, że nie będzie „Fort Trump". Będzie „Fort Obama". Rozumiesz, tak złośliwie.
No ale wtedy to raczej nic nie będzie. A przecież chcemy, żeby było. Czy już nie chcemy?
Właśnie nie wiem. Jeszcze się zastanawiam, robić czy nie robić. Myślisz, że jakbyśmy ogłosili, że jednak nie kupujemy tych patriotów, toby zadziałało?
Nie. To znaczy tak, w tym sensie, że patriotów by faktycznie nie było, ale Mosbacher by nadal była.
Tak podejrzewałem. Zbyszek ma jeszcze ciekawy pomysł.
On? Ciekawy pomysł?
Ale posłuchaj: państwo przejmuje teren wokół ambasady, ten kawałek Alej Ujazdowskich i Pięknej, tak jak plac Piłsudskiego, i robimy tam remont chodnika, ale taki, że ani wjechać, ani wyjechać. Rozumiesz, takie minisankcje.
I to jest Zbyszka pomysł? Faktycznie, pasuje do niego.
Czyli że nie?
No raczej.
No to co robić?
Może po prostu wystąp w telewizji i powiedz, że nikt nam tu nie będzie nic dyktował i takie tam dyrdymały, wiesz. Tylko potem trzeba szybko od nich coś kupić, jakieś rakiety czy coś, żeby się nie obrazili. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wchodzę do polityki. Zdecydowałem, że nie mogę stać z boku i biernie przyglądać się, jak Polska płonie".

***KRZYSZTOF ŚMISZEK**, partner Roberta Biedronia*

eprasa.pl 52d88eeb8a

Trump is cool (2)

fot. Jerzy Gumowski

Bardzo efektywne uskrzydlanie przez Trumpa gospodarki amerykańskiej musiało popsuć stosunki USA z wieloma azjatyckimi i zachodnioeuropejskimi partnerami Stanów (cła, nowe regulacje, itp.) — pisałem o tym przed tygodniem — lecz ekonomia to nie jedyna maszyneria, którą 45. prezydent zamieszał stosunki międzynarodowe odkurzająco/wkurzająco. Wkurzył *„liberalny”* świat choćby dokopaniem Iranowi — zerwał Obamową umowę o przyjaznych relacjach z *„krajem ajatollahów”* i zagroził sankcjami każdej firmie, która chciałaby tam prowadzić działalność, co sprawiło, iż sporo marek ucieka z Iranu, mimo że Unia Europejska grozi karami takim uciekinierom. Porozumienie między Teheranem a Obamowym Waszyngtonem miało zamrozić irański program nuklearny i znieść kontrirańskie sankcje, lecz gdy izraelski wywiad przewąchał, że Iran kontynuuje prace nad bronią jądrową, okłamując Zachód — Trump uznał to porozumienie za *„najgorszą umowę w historii”* i powiedział: basta! Jacek Przybylski: *„Trump zwrócił również uwagę na destabilizujące działania Teheranu na Bliskim Wschodzie, np. w Syrii oraz Jemenie, i podkreślił, że nie można pozwolić, aby Iran pieniądze na finansowanie wrogich działań zyskiwał z aktywów odmrożonych w ramach porozumienia oraz sprzedaży ropy, wcześniej objętej międzynarodowymi sankcjami”* (2018).

Nawet gdyby Unia Europejska nie pyskowała przeciw antyirańskim działaniom Waszyngtonu — front konfliktu amerykańsko–europejskiego byłby dziś równie gorący za sprawą kategorycznego sprzeciwu prezydenta USA wobec łamania przez zachodnioeuropejskich członków NATO obowiązku zasilania własnego budżetu militarnego sumą nie mniejszą niż 2% krajowego PKB. Publiczne zbesztanie Macrona i zwłaszcza Frau Merkel przez Trumpa wywołało spory huk, a w brukselskim *„dobrym towarzystwie”* niesmak, lecz Trump miał całkowitą słuszność, bo Stany Zjednoczone (główny militarny obrońca niemieckich podatników) wydają na obronność 3,57% PKB, zaś bogaty Berlin ledwie 1,1%! Konstytucyjnym obowiązkiem przywódcy Stanów Zjednoczonych jest dbanie przede wszystkim o interes Stanów Zjednoczonych, Trump więc zadał sobie elementarne pytanie: dlaczego USA mają być nieomal wyłącznym sponsorem parasola obronnego nad Niemcami, Włochami, Holandią czy Francją, i tym sposobem finansować *„dolce vita”* zachodnioeuropejskich społeczeństw, a jednocześnie tolerować handlowe kantowanie Ameryki przez te państwa? Europejski kociokwik z powodu takiego dictum łatwo zrozumieć, bo oszczędności w sferze obronności zezwalają Europie finansować szczodre programy świadczeń socjalnych tudzież przywilejów, wyznaczające parasocjalistyczny kurs UE. Trumpowska strategia pod hasłem *„Dość wyzyskiwania Ameryki!”* zabolała brukselskich mandarynów nawet mocniej niż zmarginalizowanie roli UE w bliskowschodnim kotle gier geopolitycznych. Piotr Apel (poseł Kukiz ’15): *„ — Amerykański prezydent chyba ostatecznie udowodnił, że wbrew obiegowym europejskim opiniom jest bardzo skutecznym światowym graczem. Udało mu się wykiwać europejską dyplomację i doprowadzić do sytuacji, w której to Ameryka rozdaje karty na Bliskim Wschodzie, a kraje europejskie są klientami Waszyngtonu”* (2018).

Zawiedli się też salonowcy kracząco prorokujący ugodową wobec Rosji politykę Białego Domu (zniesienie kontrrosyjskich sankcji, sojusz z Kremlem, itp.), Trump bowiem wprowadza (od sierpnia roku 2017) kolejne *„brutalne”* (według retoryki rozwścieczonego Putina) sankcje militarne, petrochemiczne, finansowe i personalne (sekowanie ruskich oligarchów) przeciwko *„imperium zła”*. Sami bezpośredni kumple Putina, potentaci paru przemysłowych branż, stracili w ciągu 24 godzin kilka miliardów dolarów (*„zamrożenie aktywów i majątków”*, które Kreml tak określił: *„Waszyngton zapomina, że konfiskata prywatnej własności i prywatnych pieniędzy jest kradzieżą!”*), a do skóry zaczęto się również dobierać ruskim hakerom (Herbert McMasters, doradca Trumpa od spraw bezpieczeństwa narodowego: *„ — Priorytetową misją amerykańskich służb jest dziś walka z zakłócaniem przez Rosjan demokratycznych mechanizmów zachodniego świata”*, 2018). Upokorzeniem dla Rosji był też fakt, że to nie Moskwa, tylko Waszyngton spacyfikował bandyckie zapędy nuklearne Kim Dzong Una (przynajmniej chwilowo, lecz proTrumpowski efekt prestiżowy był kolosalny).

Last Standing Man

Globalnemu (międzynarodowemu) przeciąganiu lin, w którym Trump często *„nie bierze jeńców”*, bijąc pięścią w stół i twardo stawiając na swoim, towarzyszą sukcesy w politycznej walce wewnętrznej, takie jak chociażby ukonserwatywnienie jednej z głównych sprawczych instytucji USA — Sądu Najwyższego. Pierwszy nominat Trumpa (2017), Neil Gorsuch, zmienił kontrlewicowo stosunek sił w SN, dzięki czemu uniewinniony został cukiernik Jack Phillips, który z powodów religijnych odmówił upieczenia ciasta na weselne przyjęcie dwóch pederastów (za sprawą tego werdyktu żaden Amerykanin nie będzie już musiał świadczyć usług wbrew swym kultowym przekonaniom). Jeszcze cięższą batalią niż ta o zatwierdzenie sędziego Gorsucha była parlamentarna bitwa o zatwierdzenie kolejnego Trumpowskiego kandydata do SN (wrzesień 2018), Bretta Kavanaugha, gdyż antyTrumpowcy (partia Demokratów) postanowili dla uwalenia go wykorzystać najmodniejszą dziś salonową *„Wunderwaffe”*: kobietę rzekomo molestowaną przez 17–letniego licealistę Kavanaugha 36 lat temu na prywatce nastolatków! Kavanaugh zostałby wykończony tym *„zeznaniem”*, gdyby FBI nie udowodniło, że był nieobecny w mieście podczas owej prywatki, i gdyby *„kumpela”* oskarżycielki nie wygadała się, że ta przed badaniem jej wiarygodności na wariografie sondowała u fachowca metody oszukiwania wariografu. Spekuluje się, że dwóch nominatów Trumpa w SN może skasować legalizujące aborcję orzeczenie *„Roe versus Wade”* z roku 1973.

A jeśli już mowa o aborcji: dzięki swoim zdecydowanym działaniom *„pro–life”* ograniczającym *„inżynierię społeczną”* stosującą zabijanie nienarodzonych dzieci (koniec ze wspieraniem jakichkolwiek organizacji proaborcyjnych typu Planned Parenthood) Trump zyskał opinię największego obrońcy życia wśród prezydentów USA ostatnich paru dekad. Uczestnikom waszyngtońskiego Marszu Życia rzekł: *„ — Moja administracja będzie niezłomnie bronić pierwszego prawa Deklaracji Niepodległości — prawa do życia ludzkiego!”*. I ogłosił 22 stycznia Narodowym Dniem Świętości Życia Ludzkiego, po czym odebrał międzynarodowym organizacjom proaborcyjnym (ONZ–owskim, UNESCO–wskim) amerykańskie fundusze wspomagające. Nie cacka się również z organizacjami wspierającymi LGBTQ (jako naczelny dowódca zakazał rekrutowania do armii osób *„transgender”*), z nielegalną imigracją, z gangami meksykańskimi (kartelowymi) i z apologią komunizmu (7 listopada 2017, w setną rocznicę wybuchu tzw. *„Rewolucji Październikowej”*, ogłosił ten dzień Narodowym Dniem Pamięci o Ofiarach Komunizmu). Zwalcza szkolne deprawujące programy *„nauczania seksualnego”* i *„multikulturową”* dechrystianizację (przywrócił *„Merry Christmas”* alias *„Happy Christmas”* wypierane wcześniej przez różne *„Happy Chanukkah”*, *„Happy Ramadan”* i *„Happy Kwanza”*).

„Lewica chce, by wszyscy kupili wizję waszyngtońskiego domu wariatów” (Matthew Tyrmand o Białym Domu), gdzie głównym wariatem jest oczywiście prezydent, ale — przy całej nietypowości Trumpa — to tylko *„chciejstwo”* lewaków. A my, Polacy, nie zapominamy jak pięknie mówił na Pl. Krasińskich o nas i naszej heroicznej historii. Niech mu szczęście sprzyja! ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 52d88eeb8a

eprasa.pl 52dd8eeb8a